

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Wajrak: Okazałem
się ostatnim
przyrodniczym
frajerem
► 26



**WYSOKIE
OBCASY**
Saroise Ronan
Cała Irlandia
jest z niej
dumna

FOT. SHUTTERSTOCK



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



NOWA
SZEFOWA
UNIJNEJ
DYPLOMACJI
KAJA KALLAS

Uśmiechnięta
Europa
może ugryźć
► 4

FOT. MUSTAFA YALCIN/ANADOLU VIA AFP/EAST NEWS

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



**Areszt
wytobowy.**
Rząd Tuska wszedł
w buty PiS? ► 8

**Czy
Zełenskiego**
zastąpi
generał ► 14

Stygnie
miłość
do Starbucks
► 18

Dlaczego
ocalało **tylko**
30 tysięcy
Żydów ► 39

Niemcy, którzy
woleli
mówić
po polsku ► 44

Agnieszka
Kublik

Efekt Komorowskiego

Stare marzenie Jarosława Kaczyńskiego o własnej, naprawdę oglądanej i wpływowej telewizji częściowo zrealizowało się. Polsat przed wyborami ustawia się pod przyszłego lokatora Pałacu Prezydenckiego i zaczyna przypominać stare TVP Info, tylko light. A odświeżona i zasilona gwiadami TvPiS TV Republika ma zaskakująco dużą – po latach jednocyfrowych oglądalności, siermiężnej oferty i pólamatorskiej realizacji – widownię i garną się do niej reklamodawcy.

Lecz to za mało, by wpłynąć na nieprzekonanych i wahających się. Bo obie stacje są adresowane do już zdecydowanych, o ugruntowanym światopoglądzie. Polsat działa koniunkturalnie i nie jest dyspozycyjny. A manewr z przejściem TVN z pomocą węgierskich pieniędzy zablokował Tusk, wpisując stację na listę przedsiębiorstw strategicznych.

Dlatego PiS atakuje dziennikarzy. Postanowił obniżyć naszą wiarygodność w oczach wyborców niezaangażowanych, śledzących politykę z doskoku.

Rysuje się schemat. Takich ataków, jak Morawieckiego na Justynę Dobrosz-Oracz, będzie więcej

To sposób walki z demobilizacją elektoratu nie-pisowskiego. Bez nich Karol Nawrocki jest bez szans.

Mateusz Morawiecki publicznie zarzucił Justynie Dobrosz-Oracz z TVP utrzymywanie kontaktów z Pawłem Rubcowem,

agentem GRU, który działał pod przykrywką dziennikarza. To nieprawda, ale poszła w świat. Taki sam zarzut padł wobec Patryka Michalskiego z Wirtualnej Polski. Jacek Ozdoba, europoseł PiS, krzyczał do Katarzyny Kolendy-Zaleskiej z TVN, że „jest na telefon Donalda Tuska”. Renata Grochal wyprosiła ze studia radiowej Trójki Marcina Przydacza z PiS, gdy napadł na nią, że „pełni rolę funkcjonariusza politycznego”.

Rysuje się schemat. Takich ataków będzie więcej, im bliżej wyborów prezydenckich, tym zacieklejszych. Można wzruszać ramionami, że to standard w dzisiejszej pop-polityce albo że nikt nie traktuje pisowskich harcowników na poważnie. Błąd. Każdy taki atak inicjuje memy, wpisy, wirale, tiktoki o agenturze, sprzedajności, skandalu, budując wśród nieorientowanych odbiorców wrażenie, że „coś jest na rzeczy”. Spin doktorzy PiS wiedzą, że kropla draży skalę i liczą na efekt z 2015 r., kiedy ta metoda pogrążyła (choć z wydatną pomocą beznadziejnej kampanii i zadufania samego kandydata) Bronisława Komorowskiego. Fejki i imby wokół każdej gafy rozpełzały się po sieci i kumulowały, osiągając efekt kul śniegowej.

Ale w obecnych próbach poniżania i dyskredytowania dziennikarzy chodzi o coś jeszcze. O stałe postponowanie Tuska. Bo jeśli dziennikarze są jego „funkcjonariuszami”, to on jest ich szefem. I wykorzystuje media. Kolejny kamyczek do budowania wizerunku diabolicznego „Ryżego”.

Jeśli PiS uda się zasiać wątpliwości wobec dziennikarzy, skolowanym ludziom będzie jeszcze trudniej uwierzyć w odsłony kolejnych afer PiS. ●

Palestyna
Na Wschodzie bez zmian

FOT. REUTERS/RAMADAN ABED

Wysiedlona rodzina Obaidów je obiad w obozie uchodźców. Gazę zepchnął w cień upadek Asada i geopolityczne wysokiego Muska. Ale operacja przeciwko Hamasowi wcale się nie skończyła. Ze Strefy Gazy płyną szokujące wieści o traktowaniu cywilów, lecz pojawiła się nadzieja – Waszyngton mówi o rozejmie „w najbliższych dniach”, izraelscy negocjatorzy są „optymistycznie nastawieni”, a Hamas obiecuje, że zwolni część zakładników.

Kod dostępu
do Wyborcza.plRingo Starr
1/4 Beatlesów, 100 procent country

Ringo Starr to dobry pseudonim dla muzyka rockowego (jego właściciel naprawdę nazywa się Richard Starkey), ale równie dobrze mógłby go nosić rewolwerowiec ze spaghetti westernu. Albo pieśniarz country. Ringo pewnie by się zgodził, bo właśnie wydał album country, zatytułowany „Look Up”. Bez półśrodków – swoją 21. płytę nagrywał w Nashville, w studiu gościł m.in. Alison Krauss, a współautorem i producentem był T Bone Burnett, kiedyś gitarzysta Boba Dylana, później chociażby autor ścieżki dźwiękowej do filmu „Bracie, gdzie jesteś?”.

Choć większość płyt Ringo zawiera szeroko pojmowanego rocka, fascynuje go muzyka amerykańskiego interioru. Jego drugi album, nagrany w 1970 r., tuż po rozpadzie Beatlesów, też powstał w stolicy country, w doborowym towarzystwie lokalnych muzyków. Wtedy nie zrobił furory, dzisiaj krytycy uznają go za jedno z najciekawszych solowych dokonań Czwórki z Liverpoolu.



FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ba, już w czasach The Beatles perkusista grupy zdradzał inklinacje ku takiej muzyce. „Don’t Pass Me By” z „Białego Albumu” to pierwsza piosenka, którą samodzielnie napisał dla zespołu i sam sobie ją zaśpiewał. Utrzymana, oczywiście, w estetyce country. Po beatlesowsku przetworzonej, ale jednak.

Ringo Starr był ostatnim elementem układanki, klasycznego składu The Beatles. Dołączył w 1962 r., zastępując Pete’a Besta. Wcześniej grał rock’n’rolla w popularnej w Liverpoolu grupie Rory Storm and the Hurricanes, a zaczynał – jak niemal wszyscy w tamtym miejscu i czasie – od muzyki skiffle, stylistycznego pomostu pomiędzy folkem a rockiem. ●

Jarek Szubrycht

Andrzej rysuje



Cytat dnia

Bez rodzimej produkcji stali i rodzimych pracowników nasz naród jest słabszy i mniej bezpieczny



JOE BIDEN

o wecie wobec przejęcia giganta US Steel przez Nippon Steel

Więcej ► Wyborcza.biz

Malutcy jeźdźcy burzy

400



FOT. KAMRAN SAFI / MPHAB

KM

potrafią pokonać niemal bez wysiłku borowce wielkie, czyli nietoperze ze swojskiej rodziny mroczków. Naukowców zastanowiło, jak pokonują wyczerpującą podróż, co roku przenosząc się z krańca na kraniec Europy – zimą hibernują na południu, lato spędzają na północy. Wykorzystując miniaturowe nadajniki odkryli, że te niewielkie ssaki nauczyły się szybować, wykorzystując ciepły unoszący wiatr, który pojawia się tuż przed burzami. Więcej w tekście Tomasza Ulanowskiego ► Wyborcza.pl/nauka

Zandberg chce być. Tylko kim?

Razem po 2 procent

Wydawało nam się, że to wymyśliła młodzieżówka PiS – słyszę od polityków Nowej Lewicy Czarzastego o akcji Razem „100 wtop rządu Tuska”.

Gruszczyński



100 wtop rządu Tuska – pod tym hasłem partia Razem postanowiła rozliczyć pierwszy rok rządów Koalicji 15 Października. Ugrupowanie Adriana Zandberga ostatecznie nie weszło do rządu, zasiada w ławach opozycji obok PiS i Konfederacji. Według lidera i jego współpracowników jakiegokolwiek związki polityczne z liberalami i konserwatystami – czyli z KO i Trzecią Droga – pozbawiają lewicę wiarygodności. Inną strategię wybrali niedawni sojusznicy Zandberga – Nowa Lewica Włodzimierza Czarzastego trwa w rządzie.

Lider Razem chce zbudować opozycję, która patrzy władzy na ręce, ale inaczej niż PiS – merytorycznie, bez resentymentu i taniego populizmu. Tyle że lista uchybień przypomina raczej wyskok młodej organizacji politycznej.

Wśród stu wtop Tuska znalazły się sprawy serio, które lewicowe ugrupowanie ma prawo krytykować: impas aborcyjny, brak związków partnerskich, hojne finansowanie Kościoła, opory rządu przed oskładkowaniem umów śmieciowych, fatalny system pomocy społecznej, zawieszenie azylu, niewystarczające środki na ochronę zdrowia oraz niezrealizowanie obietnicy przywrócenia transportu publicznego poza wielkimi miastami. Ale w pewnych punktach Razem jest nieuczciwe.

Partia za niewystarczające uważa podwyżki w szkolnictwie. Jasne, chciałoby się więcej, ale to pierwsze podwyżki dla nauczycieli od lat. Działacze nazywają TVP tubą propagandową rządu

Tuska, wytykają Marcinowi Kierwińskiemu „niechlubny występ dla Dniu Strażaka” i sugerują, że minister był pijany, choć zrobił test.

W kolejnych punktach jest jeszcze dziwniej. Razem wypomina posłowi Marcinowi Józefaciukowi, że nie potrafił odpowiedzieć na pytanie o trójpodział władzy w Polsce, a Bartłomiejowi Ciążyńskiemu, że opłacił paliwo służbową kartą w trakcie wakacji – mimo że to dawna sprawa i wiceminister sprawiedliwości podał się do dymisji zaraz po ujawnieniu niechlubnego zakupu.

Razem donosi również, że Barbara Nowacka spotkała się z przedstawicielami rządu Izraela.

Zandberg chce budować wiarygodną opozycję, odwołując się do pracowników sfery budżetowej, emerytów, osób pobierających świadczenia społeczne oraz do wielkomiejskiej inteligencji, która może być rozczarowana Tuskiem. To idealistyczne założenie, ponieważ grupy wykluczone społecznie i ekonomicznie nie ufają lewicy, która w ich oczach zajmuje się sprawami światopoglądowymi, a młoda inteligencja i aspirująca klasa średnia – często napływowa, świadomie odcinająca się od chłopskich korzeni – nie chce mieć nic wspólnego z klasą ludową.

To nie tylko problem Razem, lecz całej lewicy, nie tylko w Polsce, też na świecie. Prawicowi populiści obiecują powrót do złotych czasów sprzed pandemii, kiedy w sklepach było taniej, rachunki były niższe, jedzenie na mieście smakowało lepiej i ogólnie życie było przyjemniejsze, bo nie trwały żadne wojny w najbliższej okolicy, a Putin wysłał gaz do Berlina.

Manipulują naszymi wspomnieniami, bo przed 2020 rokiem opieka zdrowotna była tak samo fatalna, kelnerzy pracowali na śmieciówkach, mieszkania były drogie, w wielu krajach rzą-

dzili autokraci, a wojny wybuchały, tyle że w innych częściach świata. Lecz populiści odwołują się do aspiracji zwykłych ludzi, którym jest po prostu źle – a lewica z powodu dobrego wychowania albo braku narzędzi nie potrafi grać w politykę XXI wieku, w której należy grać w grę narzuconą przez większego przeciwnika, a dopiero po zwycięstwie wprowadzić własne zasady.

A co dzieje się za kulisami? Ludzie Nowej Lewicy mówią mi, że byli zaskoczeni akcją Razem. – Wydawało nam się, że to wymyśliła młodzieżówka PiS. Bo kto poważny może wytykać rządowi, że któryś z posłów nie wiedział, jak wygląda trójpodział władzy. Polityka to nie klasówka z Wiedzy o społeczeństwie.

W Nowej Lewicy nie mogą też zrozumieć, dlaczego Zandberg chce wystartować na prezydenta, a „100 wtop” ma być prelude kampanii. Pomyśl pachnie porażką. Bo lewica miała by kandydatów aż czterech: Magdalenę Biejat, Zandberga, związkowca Piotra Szumlewicza i senatora Waldemara Witkowskiego.

Wątpliwe, by trójka polityków solistów bez zaplecza w całej Polsce, miała zdolności mobilizacyjne w struktu-

Życzliwi przekonują, że tylko dzięki startowi w tak ważnych wyborach program Razem ma szansę przebić się do świadomości ludzi podczas prezydenckiej debaty telewizyjnej. Nieżyczliwi, że Zandberg chce odebrać poparcie byłej partyjnej koleżance Magdalenie Biejat

rach partyjnych. Każdy kandydat musi dostarczyć 100 tys. podpisów pod wnioskiem o rejestrację. A realnie 150 tys., bo ktoś w międzyczasie umrze albo niewyraźnie wpisze adres. I na końcu na placu boju i tak zostanie Biejat.

Politycy Nowej Lewicy przekonują mnie, że Zandberg chce odebrać byłej partyjnej koleżance 2 proc. poparcia. Razem przekonuje, że tylko dzięki startowi ich program ma szansę przebić się do świadomości ludzi podczas debaty prezydenckiej w telewizji.

Trudno dzisiaj ocenić, która z zasad rządzących polityką zwycięży. Czy ta, że historia lubi się powtarzać, ale jako farsa. Czy ta o mechanizmie historii jako wielkiego koła. Część analityków lubi kreślić porównania do wydarzeń sprzed lat. Wielu komentatorów mówi: 2025 to nowy 2015! A więc rząd jest niepopularny, kandydat popierany przez PO jest zbyt pewny zwycięstwa, a lewica znowu jest podzielona.

Nie warto ufać tym głosom z prostego powodu: po drodze mieliśmy rządy antydemokratycznej prawicy, a atmosfera społeczna jest dzisiaj zupełnie inna.

Pytam więc w klubie lewicy, czy atakowanie rządu przez Razem może zaszkodzić rozmowom o wspólnej liście przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. – Skądże. Myśmy sobie skakali do gardeł w 2015, razemki nazywali nas zbrodniarzami, a my mówiliśmy o ludziach Zandberga też nie najlepiej. Ale kiedy byliśmy na sondażowym dnie, to potrafił się zjednoczyć – słyszę.

Lecz problem jest głębszy: owszem, kilka procent wyborców czeka na antysystemowego kandydata i tyle samo nie odnajduje się w obecnym sporze politycznym, ale jesteśmy na takim etapie dziejowym, że alternatywna lewicowa opowieść o państwie i wspólnocie nie cieszy się społecznym uznaniem. ●

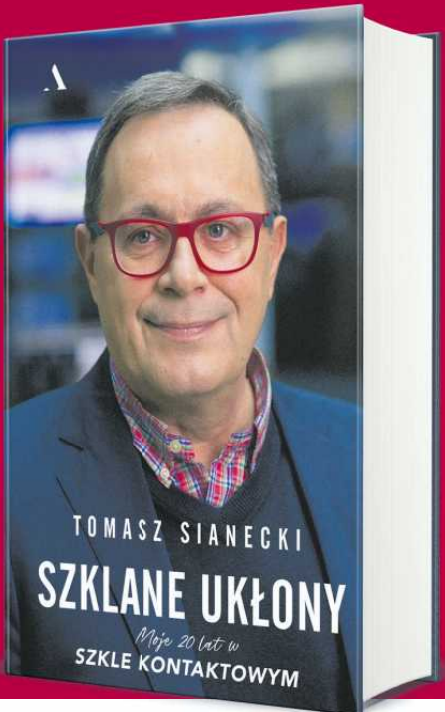
Arkadiusz Gruszczyński

REKLAMA

Kraj/34355965

Dziennikarz o niepodrabialnym
poczuciu humoru i ciętym języku
zaprasza w osobistą podróż
przez historię
Szklą Kontaktowego

PREMIERA 15 STYCZNIA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Patron
medialny:



Wydawnictwo
Agora



• BEZ ZĘBÓW NIKOGO • *nie ugryzie*

Jeśli Bruksela zadzwoni, nikt nie będzie biegł do telefonu

Mateusz Mazzini

Pamiętaj, drogi Antonio. Polityka zagraniczna i bezpieczeństwo to twoje kompetencje i twoja odpowiedzialność.

Po ciemnej klimatyzowanej sali konferencyjnej rozchodzi się pomruk zdziwienia. Rozglądam się, na twarze sąsiadów maluje się konsternacja. Później w kuluarach mnożyć się będą wymówki i teorie spiskowe. Przejął się, miał coś innego na myśli. Powiedział to na potrzeby chwili, bo akurat tak układala się dyskusja. Przecież doskonale wie, jak podzielone są w Unii obowiązki w zakresie dyplomacji. Inni przyznają jednak, że coś może być na rzeczy i w sumie to komentarz niepokojący, zwłaszcza na progu nowego rozdania personalnego we Wspólnocie.

Te słowa wypowiedział Josep Borrell do siedzącego obok Portugalczyka Antonia Costy, od 1 grudnia przewodniczącego Rady Europejskiej.

Dyskusja odchodzącego szefa unijnej dyplomacji i byłego portugalskiego premiera była głównym punktem programu pierwszego dnia dorocznej konferencji Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR) w Madrycie. Miała być symbolicznym przekazaniem pałeczki – już wtedy, w lipcu, wiadomo było, że Costa otrzyma jedno z czterech najważniejszych stanowisk w Unii Europejskiej w nowej, pięcioletniej kadencji. Z kolei Borrell, przez poprzednie pół dekady pełniący funkcję wysokiego przedstawiciela Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, został obsadzony w roli sprawozdawcy z osiągnięć odchodzącej ekipy.

I choć dyskusja była całkiem ciekawa jak na tego typu imprezy, to od początku wybrzmiewał w niej podskórny fałsz. Zestawienie gości było mocno asymetryczne, bo Costa szykował się do przewodnictwa Radzie – nie był więc odpowiednikiem Borrella w nowym rozdaniu. Zamiast niego na scenie powinna była się pojawić Kaja Kallas, była premierka Estonii, dzisiaj następczyni Ka-

talończyka w roli kierowniczkii Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych (European External Action Service – EEAS).

Jej nazwisko padło w dyskusji obu panów tylko raz – kiedy prowadząca zapytała Borrella, jakiego rodzaju gorącego ziemniaka zostawia Estonie na biurku. Ten odpowiedział mało śmiesznym żartem, że to nie ziemniak, ale cała salátka ziemniaczana – aż tyle jest nierozwiązanych problemów w europejskiej polityce zagranicznej, z którymi Kallas będzie musiała się zmierzyć.

Hiszpan sprawiał jednak wrażenie, jakby do jej osoby podchodził lekceważąco, wręcz niepoważnie. Kulminacją były słowa skierowane do Costy, którego rola w unijnych strukturach, tak jak swego czasu Donalda Tuska, powinna być raczej zarządcza niż strategiczna czy operacyjna. Wprawdzie przewodniczący Rady ma wpisane w obowiązki reprezentowanie Unii na zewnątrz, ale kierowanie unijną dyplomacją to zadanie dla Kallas.

Po to zresztą powstało to stanowisko, wyrastające z wprowadzonego w życie w 1999 r. traktatu amsterdamskiego. Pierwszym znaczącym wysokim przed-

stawicielem był Hiszpan Javier Solana, który do struktur unijnych przeszedł prosto z roli sekretarza generalnego NATO. I to całkiem dosłownie, bo pomiędzy odejściem z Sojuszu a przyjęciem nowego stanowiska w Unii upłynęło w jego przypadku 12 dni.

Solana, doskonale znany w Polsce z powodu ważnej roli w procesie rozszerzenia Wspólnoty z 2004 r., był jednak księciem bez własnej armii. Wiele w Brukseli nie do końca rozumiało, po co został powołany i czym się tak naprawdę zajmuje. Zasypanie tej dziury zajęło kolejne dziesięć lat i wymagało przyjęcia następnego traktatu. Ten z Lizbony powołał do życia EEAS, którego pierwszą szefową została Brytyjka Catherine Ashton.

Łatwo więc policzyć, że unijna dyplomacja w bieżącym kształcie instytucjonalnym istnieje prawie półtorej dekady. Nawet po takim czasie trudno jednak nazwać ją armią, zwłaszcza w porównaniu ze strukturami dyplomatycznymi innych najważniejszych graczy w światowej geopolityce.

Według raportu działu kadr EEAS z końca 2022 r. zatrudnionych w unijnej dyplomacji było 5188 osób. Niemal połowa, bo aż 2419 z nich, pracowało jednak w centrali w Brukseli. Zaledwie



SZ

2769 było zatrudnionych na placówkach zewnętrznych – a tych akurat Unia ma całkiem sporo, bo aż 145 w 140 krajach na świecie. Jedna trzecia pracowników EEAS to local agents, czyli osoby miejscowe zatrudnione na placówkach w krajach, z których pochodzą. Nie przechodzą więc chociażby przez rygorystyczny trening stażowy w programie „Blue Book”, chrzest ognia dla przyszłych eurokratów.

Krótko mówiąc, Unię Europejską – a więc organizację mającą ponad 449 mln obywateli, reprezentuje w relacjach z resztą świata 5 tysięcy osób. Oczywiście to liczba trochę relatywna, bo EEAS nie jest jedyną instytucją, która coś dla Wspólnoty robi. Komisja Europejska też ma swoje przedstawicielstwa w innych państwach i zatrudnia w nich 3316 osób. Są też biura Parlamentu Europejskiego, regularne misje eurodeputowanych w państwach ościennych Unii, placówki handlowe i inwestycyjne. Na upartego pracowników tych wszystkich podmiotów też można uznać za wspólnotowych dyplomatów.

Nie można tego nawiasu jednak rozciągnąć zbyt szeroko, obejmując nim na przykład pracowników korpusów dyplomatycznych państw człon-

kowskich. Stwierdzenie, że reprezentując interesy państwa wchodzącego w skład Unii, jednocześnie działają na korzyść całej Wspólnoty, byłoby nie tylko gigantycznym uproszczeniem, ale też nieprawdą. I nie chodzi tu tylko o Węgry pod rządami Viktora Orbána, który z lubością realizuje politykę dokładnie przeciwną wobec tego, czego chce Bruksela.

W 2020 r. Unia Europejska chciała szybko nałożyć sankcje na reżim Aleksandra Łukaszenki po tym, jak białoruski dyktator sfalszował wyniki wyborów prezydenckich i rozpoczął brutalne prześladowania opozycji i protestujących czy choćby wyrażających się krytycznie obywateli. Nałożenie sankcji oprostował jednak rząd Cypru, kieru-

W Gruzji Unia robiła to, w czym jest najlepsza na świecie – wydawała komunikaty

jąc się niebywałym wręcz partykularyzmem. Otóż cypryjscy oficjele stwierdzili, że Wspólnota nie może karać Białorusi, jednocześnie powstrzymując się od sankcji wobec Turcji – zdaniem Cypryjczyków, od dekad skonfliktowanych z Ankarą, będącej agresorem prowadzącym nielegalne odwierty w poszukiwaniu surowców naturalnych na Morzu Śródziemnym. Ostatecznie Cypr skapitulował, ale nie obyło się bez żmudnych negocjacji, przekonywania i dyplomatycznego handlu – a przecież chodziło o sprawę, w której teoretycznie powinno być łatwo o jednomyślność.

Matteo Salvini, dzisiejszy włoski wicepremier, a w latach 2018-19 szef tamtejszego MSW, lider Ligi, czyli dawnej nacjonalistyczno-separatystycznej Ligi Północnej, potrafił otwarcie sprzeciwiać się unijnym pomysłom na stworzenie systemu kwotowego i rozdzielanie migrantów pomiędzy kraje członkowskie, jednocześnie biorąc z Unii pieniądze na prowadzenie własnej polityki migracyjnej.

Jego obecna szefowa Giorgia Meloni, choć z sympatyzującą z pogrobowcami Mussoliniego radykalni zmieniła się w odpowiedzialną unijną chadeczkę, też grała na dwa migracyjne fronty jednocześnie. Z jednej strony domagała się wzmocnienia unijnych działań w zakresie migracji, twierdząc nieustannie, że to właśnie Wspólnota powinna ten problem rozwiązać raz na zawsze, z drugiej – sama te starania podkopywała, zawierając cały szereg bilateralnych umów z państwami trzecimi, do których zamierza migrantów odsyłać lub w których mieliby się zatrzymywać przed dotarciem do wybrzeży Morza Śródziemnego. Wielokrotnie podróżowała do Tunezji i Libii, była też w Algierii, Mozambiku i Kongo, wszędzie rozmawiała przede wszystkim o polityce migracyjnej w formie takiej, w jakiej sama – a nie Unia – ją widzi.

Przykłady można mnożyć. Opozycja Francji i Polski wobec umowy pomiędzy Unią a Mercosurem, latynoamerykańskim blokiem handlowym – Carrefour, jedna z największych francuskich sieci supermarketów, zapowiedział na-

wet, że nie będzie w ogóle sprzedawać latynoskiego mięsa, a francuscy politycy wszystkich praktycznie orientacji takie deklaracje wspierają.

Mimo że z punktu widzenia Brukseli umowa z Mercosurem, rodząca się w bólach przez 25 lat, to jeden z celów strategicznych – docelowo utworzy największą na świecie, liczącą ponad 700 mln konsumentów strefę wolnego handlu, przynajmniej częściowo zniweluje rosnące w krajach Ameryki Łacińskiej gospodarcze wpływy Chin i wzmocni pozycję obu kontynentów w zapowiadanej przez Trumpa wojnie handlowej USA z resztą świata.

Austriacy, zadowoleni z lukratywnego statusu nieformalnego miejsca spotkań i biznesu dla oligarchów, aferzystów i szpiegów z obszaru postsowieckiego, marudzą na sankcje wobec Rosji.

Premier Słowacji Robert Fico odwiezł Putina na Kremlu, deklarując, że wsparcie walczącej Ukrainy szkodzi słowackim interesom.

Orbán łagodzący ograniczenia wizowe dla obywateli Rosji i Białorusi, co niemiecki chadek Manfred Weber, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej, nazwał wprost zagrożeniem dla unijnego bezpieczeństwa – chociaż ta surowa krytyka nie przeszkadza niemieckim koncernom blisko związanym z rządem lokować na Węgrzech kolejne fabryki, od Mercedesa po zbrojeniowego giganta Rheinmetall. Nie mówiąc już o wszystkich fikolkach, które unijni przywódcy musieli wykonywać, żeby węgierski premier łaskawie zgodził się nie blokować wspólnotowej pomocy dla Ukrainy.

Pomiędzy interesami państw członkowskich i celami całej Unii jest często gigantyczna różnica – i nie zawsze jest ona dziełem kilku renegatów, których tradycyjnie oskarża się o nielojalność wobec Brukseli.

Wróćmy więc do liczb. Pięć tysięcy pracowników EEAS ma reprezentować Unię Europejską na zewnątrz, ale też spinać jej dyplomację od środka. W art. 27 traktatu o Unii Europejskiej, czyli traktatu z Maastricht, ale zawierającego modyfikacje wynikające z traktatu lizbońskiego, przeczytać można bowiem, że zadaniem urzędu kierowanego dziś przez Kaję Kallas jest także „zapewnienie spójności, skuteczności i przejrzystości działań Unii w dziedzinie polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i współpracy rozwojowej” oraz odpowiedzialność za koordynację z innymi działaniami Unii oraz państw członkowskich. Nie trzeba być ekspertem od polityki unijnej, żeby od razu stwierdzić, że to zadanie karkołomne. Jedna służba, parę tysięcy osób i cel polegający na zbudowaniu silnej pozycji Unii na świecie przy jednoczesnym budowaniu kompromisów pomiędzy 27 krajami.

Jednocześnie i z samej Brukseli, i z najważniejszych stolic od lat płyną coraz głośniejsze wezwania o zwiększenie „strategicznej autonomii” całej Unii. Europa ma być silna, niezależna – zwłaszcza od rosyjskich zasobów naturalnych i amerykańskiego parasola bezpieczeństwa. Mamy być konkurencyjni jak Dolina Krzemowa, ale jednocześnie dbać o regulację i prawa konsumenta. Chcemy się postawić Chinom, przestać się dawać wykorzystywać przy kradzieży własności intelektualnej i nielegalnych państwowych subsydiach z Pekinu. Próbujemy zarządzić migracją przez uszczelnienie własnych granic i przekonywanie, mieszane z przekupywaniem, rządów krajów afrykańskich do zatrzymywania migrantów na ich terytorium. Unia ma wielkie ambicje odgrywania kluczowej roli na świecie.

Ale chce robić to rękami minimalnej wręcz służby dyplomatycznej, która w dodatku ma bardzo ograniczone kompetencje. Dla porównania, Stany Zjednoczone, kraj 334 mln ludzi, trzy czwarte populacji, jaką ma Unia, w Departamencie Stanu zatrudniają 70 tysięcy osób, z czego 13 tysięcy pracuje w 270 zagranicznych placówkach.

Chiny mają 274 placówki dyplomatyczne, w których zatrudnienie znalazło 6 tysięcy osób. To jednak liczba mocno zaniżona, bo nie obejmuje Instytutów Konfucjusza, sieci centrów edukacyjnych będących dzisiaj głównym narzędziem budowania przez Chiny miękkiej siły w stosunkach międzynarodowych, także w Europie. To kolejne 1500 osób formalnie podlegających pod ministerstwo edukacji, ale w praktyce realizujących dyplomatyczną strategię Xi Jinpinga.

Widać jak na dłoni, że Unia nie ma narzędzi, żeby rywalizować o wpływy zagraniczne z Waszyngtonem i Pekinem. Inna sprawa, że często sama sobie tych narzędzi nie daje. Bywa też, że takich wpływów zdobyć po prostu nie chce.

Mijający rok był doskonałym papierkiem lakmusowym skuteczności unijnej polityki zagranicznej. Praktycznie wszędzie na zewnętrznych granicach Unii w ostatnich 12 miesiącach konflikty wybuchły lub zyskały na intensywności, a kraje ze wspólnotowej „bliskiej zagranicy” trzęsą się w politycznych posadach.

Bruksela wykazała się całkowitą biernością, kiedy Putin w tyleż sprawny, co boleśnie przewidywalny sposób wyciągał Gruzję z unijnej orbity i pozwolił przekształcać ją w kolejną marionetkę na wzór Białorusi. Prozachodnim demokratom cudem udało się zachować władzę w Moldawii, choć tam Rosjanie też nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Na Bliskim Wschodzie Unia nie ma już nic do powiedzenia – jeśli Bruksela zadzwoni, nikt nie będzie biegł do telefonu, liczą się tam tylko Amerykanie. Libia, kraj absolutnie kluczowy dla ruchu migracyjnego przez Morze Śródziemne, to dziś, 14 lat po międzynarodowej interwencji zapoczątkowanej przez Francję, a konkretnie pragnącego poprawić notowania za pomocą imperialnych tęsknot prezydenta Sarkozy’ego, państwo upadłe, w którym głównymi rozgrywającymi są Rosja Putina, Turcja Erdogana oraz autorytarne Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Podobnie jest w Sudanie, skąd od wybuchu aktualnej wojny domowej w kwietniu 2023 r. uciekły już ponad 3 miliony osób.

Unia nie była też w stanie szybko zareagować w sprawie kryzysu na Morzu Czerwonym, kiedy 12 miesięcy temu ataki Huti paraliżowały jeden z najważniejszych szlaków handlowych na planecie. Amerykanie natychmiast zwiększyli swoją obecność militarną, a Josep Borrell próbował stworzyć unijną misję jeszcze w grudniu 2023 r.

Cel wydawał się o tyle łatwy do zrealizowania, że Wspólnota dysponowała całkiem niezłym wzorcem dla takiej operacji. W 2008 r. zainicjowała misję „Atalanta” mającą chronić statki przed atakami piratów właśnie w basenie Morza Czerwonego, niedaleko wybrzeży Somalii. Misja ta uchodzi za jeden z największych sukcesów unijnej polityki zagranicznej.

Borrellowi się jednak nie udało, bo powtórki z Atalanty nie chciały liczne państwa członkowskie, zwłaszcza Hiszpania. Premier Pedro Sánchez tłumaczył wtedy, że hiszpańska marynarka jest już obciążona na innych obszarach. Margarita Robles, szefowa minister-

• **Kaja Kallas (rocznik 1977) to nowa szefowa dyplomacji UE i była premier rządu Estonii (2021-24). Na zdj. z wizytą na ćwiczeniach „Wiosenna burza” czyli corocznych obronnych manewrach wojsk krajów NATO, które w maju 2023 r. przez trzy tygodnie odbywały się w Estonii.**

FOT. ROBERT MARKUS LINV / SILEY OBRONNE

stwa obrony, wyliczała reporterom dziennika „El Mundo” 17 innych operacji międzynarodowych z udziałem hiszpańskich jednostek: w Zatoce Gwinejskiej, na Oceanie Indyjskim, na Morzu Śródziemnym, nawet na Antarktydzie, gdzie wspierają prace stacji badawczej Juan Carlos I. A sam Sánchez dodawał, że tak poza tym to zajmowanie się takimi rzeczami jak tworzenie ofensywnych misji nie jest kompetencją Brukseli.

Dlatego sporo stolic nie czekało, aż Borrell da radę przekonać wszystkich, i zamiast tego wzięło sprawy w swoje ręce. Duńczycy i Holendrzy dołączyli do misji brytyjskich i amerykańskich, które na chwilę ograniczyły zapędy Huti.

To był akurat spory sukces, bo Huti, sponsorowana przez irański reżim i działająca na terenie Jemenu bojówka, należy dzisiaj do najskuteczniejszych organizacji satelickich Teheranu. Tylko w ostatnich kilkunastu miesiącach uszkodzili ponad 100 statków handlowych na Morzu Czerwonym, głównie za pomocą dronów i pocisków średniego zasięgu. Uderzają we wszystko, co tamtędy przepływa, przy okazji grożąc zaangażowanym militarnie w jemeńską wojnę domową Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonym Emiratom Arabskim.

Unijna inicjatywa przeciwko nim zmateriałizowała się dopiero dwa miesiące później – w przypadku tego typu kryzysu to jak po całej epoce – pod nazwą Aspides, a ówczesny szef EEAS na każdym kroku podkreślał, że ma ona charakter stricte defensywny. Na nic nie zdały się apele europejskich przedsiębiorców, którzy podkreślali, że atakowane są głównie statki pod banderami krajów unijnych, a tracą przede wszystkim spółki z kontynentu. Sánchez i kilkoro innych przywódców, w tym kanclerz Niemiec Olaf Scholz oraz premierka Danii Mette Frederiksen, pozostawało nieuciągliwych.

W dodatku Aspides od początku borykał się z problemami, bo choć prowadzenie takich misji jest dopuszczalne w ramach wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony UE, czyli obszaru działań EEAS, państwa członkowskie robiły wszystko, żeby temu projektowi spiłować pazury – z obcinaniem pieniędzy na czele. Cała misja, której dano roczny mandat na działanie, miała budżet wynoszący zaledwie 8 mln euro. Tytuł co 2,5 luksusowego supersamochodu Bugatti Chiron albo 1/4 rocznej pensji Roberta Lewandowskiego w FC Barcelonie.

O roli Unii w konflikcie w Gazie nie ma za bardzo co wspominać, bo jest prawie żadna. Niedługo po krwawym ataku Hamasu na izraelskie pogranicze 7 października 2023 r. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen poleciała z przewodniczącą Parlamentu Europejskiego Robertą Metsolą wyrazić wsparcie dla Beniamina Netanjahu na miejscu. Wywołała tym samym gigantyczną falę oburzenia w europejskich stolicach, ale też wśród niektórych unijnych urzędników, bo Wspólnota z dużym zdziwieniem odkryła, że Stary Kontynent wobec relacji izraelsko-palestyńskich jest mocno podzielony.

Najwięksi gracze, jak Niemcy czy Francja, jednoznacznie stanęły i trwają po stronie Izraela, nawet jeśli z czasem prezydent Emmanuel Macron zaczynał krytykować działania izraelskich wojsk w Gazie. Państwa skandynawskie były już jednak znacznie bardziej ostrożne w osądach, a inni szybko przeszli na pozycję propalestyńskie. W 2024 r. państwowość Palestyny uznały trzy kraje członkowskie Unii: Hiszpania, Irlandia i Słowenia. Eksministra Catherine Ashton w rozmowie z Gideonem Rachmanem z „The Financial Times” mogła jedynie ze smutkiem konstatować, że „opinie na temat Bliskiego Wschodu znacznie się od siebie oddaliły w porównaniu z czasami, gdy pracowała w Brukseli”.

Na żadnym etapie negocjacji pomiędzy stroną palestyńską i izraelską Unia nie odegrała żadnej roli – a przecież to konflikt nie tylko obligujący do działania z etycznego punktu widzenia, bo związany z tzw. euro-

Wielu urzędników, mało dyplomatów

Tylko 2769 z 5188

osób zatrudnionych w unijnej dyplomacji pracuje nie w Brukseli, a na placówkach zagranicznych

145 placówek

w 140 krajach na świecie ma Unia Europejska, kraj-państwo 449 mln obywateli

13 tysięcy

pracowników Departamentu Stanu reprezentuje 334 mln Amerykanów w 270 zagranicznych placówkach

274

placówki dyplomatyczne mają Chiny, zatrudniając w nich 6 tysięcy osób

8 mln euro

wynosił roczny budżet unijnej wojkowej misji Aspides, mającej zatrzymać ataki Hutich na europejskie statki

Tylko 14 z 27

ministrów ds. europejskich krajów UE podpisało się pod listem wzywający rząd Gruzji do wytłumaczenia się z wyborczych nieprawdowości i pacyfikowania protestów

pejskimi wartościami, a u swych kolonialno-syjonistycznych korzeni bardzo „europejski”, ale przede wszystkim dziejący się w bezpośrednim jej sąsiedztwie. Od samego jego początku istniała realna groźba rozlania się przemocy na cały Bliski Wschód, co łatwo mogłoby skutkować kolejnym kryzysem migracyjnym. Biorąc pod uwagę, że to właśnie migracja okazała się w 2024 r. najważniejszym tematem dla europejskich wyborców, windując do władzy lub co najmniej podnosząc notowania skrajnej prawicy w kilku miejscach na kontynencie, można było mieć nadzieję, że unijna dyplomacja przynajmniej tu jakoś się zaktywizuje.

Tymczasem Borrell jako unijny urzędnik był w Izraelu od wybuchu wojny tylko raz – 16 listopada 2023 r. Drugi raz miał przyjechać we wrześniu tego roku, ale ówczesny izraelski minister spraw zagranicznych, a dziś szef tamtejszego MON Israel Katz zamknął przed nim drzwi. Dosłownie wydał komunikat, w którym napisał, że na oficjalną wizytę szefa EEAS się nie zgadza – i tyle. Dodał, że Borrell może przyjechać w październiku, kiedy już wygaśnie jego mandat.

Upadkiem reżimu Baszara al-Asada w Syrii Unia też była całkowicie zaskoczona. W dodatku kiedy syryjski dyktator był już w Moskwie, Stary Kontynent nie był w stanie porozumieć się nawet co do wspólnego przekazu na temat syryjskich uchodźców. Jeden po drugim ministrowie spraw wewnętrznych państw członkowskich zawieszali przyjmowanie wniosków o azyl od obywateli Syrii, niektórzy – jak Austriak Gerhard Karner – zaczęli mówić wprost

o deportacjach już kilka dni po ustanowieniu nowej, wywodzącej się pierwotnie ze struktur Al-Kaidy władzy w Damaszku. W tym samym czasie jego rodak Magnus Brunner, nowy unijny komisarz spraw wewnętrznych, prezentował całkowicie odmienne podejście. W czasie pierwszego od upadku Asada szczytu unijnych szefów MSW twierdził, że trzeba czekać na rozwój sytuacji, rozważyć pomoc przy dobrowolnych powrotach i wstrzymać się z mówieniem o deportacjach.

Nic jednak w mijającym roku, a może nawet w ostatniej dekadzie, nie obnażyło unijnej bezradności dyplomatycznej bardziej niż wydarzenia w Gruzji.

26 października Gruzini głosowali w wyborach parlamentarnych, których triumfem została sponsorowana przez potężnego, związanego interesami z Rosją oligarchę Bidzinę Iwaniszwilego, otwarcie antyzachodnia partia Gruzińskie Marzenie. Głosowanie trudno jednak uznać za w pełni wolne, równe i uczciwe, bo niezależnie od zakulisowych rosyjskich machinacji praktycznie każda organizacja międzynarodowa, która wysłała do Gruzji obserwatorów, zgłosiła w raporcie rażące nieprawdowości. International Republican Institute, amerykański think tank badający jakość demokracji na świecie, w opublikowanym 23 grudnia dokumencie jednoznacznie stwierdził, że gruzińskie partie o zachodniej orientacji były systemowo prześladowane, tak samo jak instytucje społeczeństwa obywatelskiego. Podobne wnioski zostały zawarte w raporcie OBWE oraz ENEMO, europejskiej sieci organizacji monitorujących wybory.

Nikt w Europie nie miał wątpliwości, że wybory ukradła partia, która z podziwem patrzy w kierunku Putina i jego poglądów na rzeczywistość. Już wcześniej politycy Gruzińskiego Marzenia zaczęli wprowadzać rozwiązania ściągnięte z Moskwy, jak prześladowania osób LGBT+, chwilowo zablokowana przez odchodzącą prezydentkę ustawa o „zapobieganiu propagandzie LGBT” czy słynna ustawa o zagranicznych agentach wpływu wymagająca rejestracji w MSW jako „podmiot realizujący interesy obcego państwa” każdej instytucji, która otrzymywała zagraniczne wsparcie finansowe. Prorosyjscy oligarchowie nie bawili się w subtelności. Gruzińska policja przeszukała mieszkania i bez nakazu skonfiskowała sprzęt nawet współpracownikom Atlantic Council, jednego z najbardziej wpływowych amerykańskich think tanków, blokując im przy okazji dostęp do własnych kont bankowych.

Od kilkunastu miesięcy widać było, że Gruzja coraz szybciej płynie w objęcia Putina. Unia nie zrobiła nic, by ten trend odwrócić. Mało tego, już po wyborach Bruksela ogłosiła całkowitą kapitulację. Orbán, wtedy jeszcze premier kraju sprawującego w Unii prezydencję, już dzień po głosowaniu polecił do Tbilisi pogratulować zwycięstwa politykom Gruzińskiego Marzenia. Tymczasem od 26 października żaden ważny unijny polityk nie pojawił się w Gruzji, żeby wesprzeć tłamszone przez policję na ulicach tamtejsze społeczeństwo obywatelskie.

Unia robiła wyłącznie to, w czym jest najlepsza na świecie – wydawała komunikaty, w których krytykowała użycie siły wobec protestujących. Dopiero 11 listopada, a więc dwa tygodnie po wyborach i głośniejszym

Orbána, do Gruzji przyjechali przedstawiciele ośmiu państw członkowskich.

W tej grupie jednak nie znalazł się nikt, kogo indywidualny polityczny ciężar mógłby zmusić Gruzińskie Marzenie przynajmniej do zaprzestania represji. Kiedy pod koniec listopada Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą do powtórzenia wyborów, domagając się przy okazji nałożenia sankcji na premiera Irackiego Koba-chidze, wielu w Europie słusznie uznało, że to symboliczny gest bez znaczenia, bo mleko już się rozlało.

Największym gestem poparcia dla gruzińskiego społeczeństwa, które w większości chce się związać z Europą na stałe – a już na pewno nie chce zamiany swojego państwa w kolejną Białoruś – była deklaracja Borrella o przekazaniu 100 mln euro na działalność tamtejszych organizacji pozarządowych. Wcześniej te pieniądze były przeznaczone dla gruzińskiego rządu w ramach pakietu przedakcesyjnego, bo Gruzja przecież w grudniu 2023 r. oficjalnie uzyskała status państwa kandydującego do Unii.

W tym przypadku należy jednak być ostrożnym z optymizmem. Po pierwsze, nie jest powiedziane, że miliony trafią do właściwych adresatów. Po drugie, co z tego, że prozachodni aktywiści dostaną worek pieniędzy, skoro władza zabierze im do nich dostęp, jednocześnie bijąc pałkami po głowie za każdy wyraz obywatelskiego nieposłuszeństwa?

Znacznie bardziej wymowny był sygnał, który ze Zjednoczonej Europy popłynął do Tbilisi zaraz po wyborach. Kiedy Orbán był już w samolocie do Gruzji, ministrowie do spraw europejskich krajów członkowskich UE opublikowali list otwarty wzywający rząd Kobachidzego do wytłumaczenia się z wyborczych nieprawdowości. Problem w tym, że Unia Europejska ma 27 państw członkowskich, a pod listem podpisał się zaledwie 14 – w tym przedstawiciel Polski Adam Szlappa.

Krótko mówiąc, Zjednoczona Europa nie była w stanie zmobilizować się nawet do wydania jednoznacznego głosu poparcia dla walczących o swoją europejską przyszłość Gruzinów. Zabrakło 13 podpisów, a więc nie chodziło tylko o tych, o których chodzi zawsze: Orbána czy Fico. Europa po prostu nie ma żadnej ponadnarodowej wspólnoty interesów w polityce zagranicznej, a przypadek Gruzji pokazał, że nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady.

Co więcej i co gorsza, ta wiedza jest już powszechna poza Unią. Kiedy dwa dni przed opuszczeniem urzędu prozachodnia prezydent Gruzji, urodzona we Francji Salome Zurbiszwili udzielała wywiadu w znanym brytyjskim podcaście „The Rest is Politics”, współprowadzący program Alastair Campbell, były rzecznik rządu Tonyego Blaira, zapytał wprost, czy nie jest rozczarowana brakiem wsparcia ze strony Unii. Zurbiszwili ze stoickim spokojem odpowiedziała, że rozczarowania nie czuje, bo za dobrze zna unijnych dyplomatów, żeby się ludzić, że sprawy mogły się potoczyć inaczej.

Bierność Unii w polityce zagranicznej i niezdolność do szybkiej reakcji na kryzysy w bezpośrednim sąsiedztwie ośmiela wszystkich, którzy zjednoczonej Europie złe życzą. Przedłużające się negocjacje akcesyjne z krajami takimi jak Czarnogóra czy Macedonia Północna tworzą próżnię, w którą ochoczo wchodzi Chirńczy, Turcy, Rosjanie, nawet Arabia Saudyjska.

Całkowicie bezkarny czuje się Putin, któremu Bruksela dostarcza argumentów, by wierzył, że bez amerykańskiego wkładu żadnego zachodniego wsparcia dla Kijowa już nie będzie.

Brak politycznych wpływów na Bliskim Wschodzie powoduje też, że Unia jest nieskuteczna w walce z przestępczością zorganizowaną – notorycznie pojawiają się problemy chociażby z ekstradycją kryminalistów z Dubaju, co Amerykanie robią z łatwością. Nie mówiąc o tym, że w skuteczność unijnej polityki wątpią już same państwa członkowskie – czego najlepszym do-

Kaja Kallas, nowa szefowa unijnej dyplomacji, nie ma wielu sojuszników. Liczy na Polaków, Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego

wodem są indywidualne decyzje w zakresie strategii migracyjnych.

•
Gruzja w ostatnich tygodniach przyciągała uwagę mediów, ale nie da się zapomnieć o innych wyzwaniach europejskiej polityki zagranicznej. Równie ważnych albo nawet ważniejszych, ale powoli stających się tłem dla codzienności. Taka jest smutna prawda zarówno o wsparciu dla Ukrainy, jak i o rozszerzeniu Wspólnoty na Bałkanach Zachodnich, gdzie status kandydata ma aż pięć państw: Serbia, Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra i Macedonia Północna.

Z tym wszystkim mierzyć się musi Kaja Kallas, nowa szefowa EEAS. Stanowisko objęła dopiero w grudniu, a już pokazała, że charyzmy ma więcej niż wszyscy jej poprzednicy razem wzięci. W ciągu pierwszych kilku tygodni w Brukseli kilka razy uderzyła pięścią w stół, jak wtedy, gdy stwierdziła, że w kontekście Ukrainy nie zamierza rozmawiać o negocjacjach pokojowych, tylko o zwiększeniu pomocy dla Kijowa.

Estonka próbuje sobie też wyszarpać więcej autonomii na brukselskich korytarzach, nie ma zresztą wyjścia – wciąż wiele osób nie traktuje tam poważnie ani jej osoby, ani jej instytucji. Borrell mówiący na madryckiej scenie do Costy, że polityka zagraniczna to jego domena, był tylko jednym z dowodów potwierdzających tę tezę. Na razie, choć mocno liczy na wsparcie Polaków: Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego, nie ma wielu sojuszników.

Nie przeszkadza to jej jednak w prezentowaniu ambitnych pomysłów. Już zapowiedziała, że będzie chciała przymusić Rosję do zamknięcia baz wojskowych w Syrii. Publicznie daje też rady Trumpowi – podpowiada, by był ostry wobec Rosji, bo inaczej nikt w Pekinie nie uwierzy, że będzie w stanie tak samo zachowywać się wobec Chin, a na tym mu przecież zależy.

Kallas jest znana z bezkompromisowej polityki wobec Moskwy – co teraz Unii potrzebne jest jak tlen. Nie wszyscy jednak cieszą się z jej nominacji. Hiszpańska dyplomatka wyższego szczebla, z którą rozmawiałem latem, dzieliła się ze mną obawami o jednowymiarową politykę Kallas. „Będzie myśleć tylko o Wschodzie, a zapomni o Ameryce Łacińskiej, która dla nas jest najważniejsza” – mówiła mi. Dla nas – Hiszpanów, nie dla nas – Europejczyków.

Unijna polityka zagraniczna przypomina dzisiaj bezżebne małe dziecko. Wywołuje sporo hałasu, ale niewiele z niego wynika. Co może akurat działać na korzyść Kallas, bo oczekiwania są dość niskie.

Kiedy latem zapytałem Carla Bildta, byłego premiera i ministra spraw zagranicznych Szwecji, o największą klęskę dyplomatyczną Unii, odpowiedział:

– Nasza polityka wobec Bliskiego Wschodu jest dzisiaj pobjojowiskiem.
– A co zrobić, żeby nim przestała być?
– dopytywałem.

– Nie wiem. Ale starczy, że przestanie być pobjojowiskiem, to już będzie duży sukces. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Kim jest i jak zmieni Unię Kaja Kallas

Szeroko otwiera okna

Mateusz Mazzini

Stanowisko wysokiego przedstawiciela UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa sprawuje dopiero od kilku tygodni, a już pokazała, że nie ma co porównywać jej do poprzedników.

Dotychczas unijna służba dyplomatyczna, czyli EEAS, nie miała szczęścia do liderów. Ani Brytyjka Catherine Ashton, ani Włoszka Federica Mogherini nie wyszły poza ciasne ramy stanowiska. Nie miały dość charyzmy i ochoty lub odwagi nadeptnięcia na odciśniętym graczom w Brukseli, żeby odegrać rolę w unijnej polityce.

To największy problem wysokiego przedstawiciela – na papierze jego kompetencje są ograniczone, to nie jest urząd zaprojektowany do bycia strategicznym kołem zamachowym w Brukseli. Ale nie jest powiedziane, że nie może nim być – wszystko zależy od tego, w jakim kierunku poprowadzi go osoba kierująca EEAS. Jak wiele rzeczy w unijnych strukturach również zakres działań można tu sobie po prostu wyinterpretować z traktatów – i robić potem to, co samemu się uważa za słuszne.

Po erze dwóch pokornych dyplomek stery przejął Josep Borrell, który szybko skonfliktował się z innymi kluczowymi politykami Europy. Dziś jego kadencja oceniana jest jako katastrofalna, choć sam ma o niej lepsze zdanie. Zarzuca mu się niemoc na Bliskim Wschodzie, spóźnione reakcje w sprawie Afganistanu, konfliktów na Kaukazie oraz w Afryce Północnej oraz nieumiejętność poskromienia unijnych dywersantów, którzy łamią konsensus w polityce zagranicznej – z Orbánem i Robertem Fico na czele.

Na tle poprzedników Kaja Kallas, była premiera Estonii i nowa szefowa unijnej dyplomacji, wygląda jak pewny siebie taran, który nie boi się konfrontacji z nikim.

•
Już w czasie przesłuchania przed Parlamentem Europejskim dała do zrozumienia, że z przeciwnikami Europy zamierza się siłować, a nie ich obłaskawiać. Publiczna odpowiedź była konieczna, bo wysoki przedstawiciel jest także automatycznie wiceprzewodniczącym całej Komisji Europejskiej – musi więc zostać zaakceptowany przez europosłów. Kallas wizję unijnej polityki zagranicznej objaśniała przez bite trzy godziny. W tym czasie okrążyła całą planetę, dotykając niewrażliwych obszarów na wszystkich kontynentach.

Od początku wiadomo było, że zaostrzy kurs wobec Rosji. Kallas jest zdecydowaną krytyczką Putina, a postawa ta wynika z racji pochodzenia z kra-

ju, który rosyjskiego imperializmu doświadczał regularnie od XIX wieku.

Ale Kallas ma też własne porachunki z Rosjanami. Rodzina premierki została bardzo mocno naznaczona represjami w czasach sowieckich. Jej matkę wywieziono z matką i babcią na Syberię w marcu 1949 r., gdy miała sześć miesięcy. Na Wschodzie spędziła dekadę.

Tamte deportacje, znane jako operacja „Priboj”, objęły 20 tys. ludzi. To bardzo dużo dla nieco ponadmilionowego kraju, który dopiero co stracił przeszło 20 tys. obywateli podczas eksterminacji elit i wywózek za pierwszej sowieckiej okupacji po 1939 r. Do dzisiaj są uznawane za jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w historii narodu.

Rodzina Kallas mogła być pewna, że po wkroczeniu Armii Czerwonej nic dobrego jej nie spotka. Pradziadek szefowej unijnej dyplomacji, prawnik Eduard Alver, był jednym z dowódców Estońskiej Ligi Obrony, ochotniczej organizacji zasłużonej w wojnie z bolszewikami o niepodległość w latach 1918-20, a następnie szefem wywiadu cywilnego.

W ślady przodka poszedł ojciec premierki, Siim Kallas, który pozostaje jedną z najważniejszych postaci estońskiej polityki – nie tylko dlatego, że przez półtorej dekady krzepnięcia państwowości był liderem założonej przez siebie, liberalnej Estońskiej Partii Reform, do dziś jednej z najważniejszych sił w kraju. Zaraz po ogłoszeniu niepodległości został prezesem banku centralnego, potem szefem MSZ i ministrem finansów, by uwieńczyć karierę krajową teką premiera w latach 2002-03.

Krajową, bo po wejściu Estonii do Unii dwukrotnie zasiadał w Komisji Europejskiej. Za pierwszym razem przypadły mu sprawy gospodarcze i walutowe, które zamienił na sprawy wewnętrzne i audyt. W kolejnym rozdaniu zajmował się polityką transportową. Ojciec wysokiej przedstawicielki we wrześniu ogłosił, że wycofuje się z polityki, ale estońskie media są zdania, że nadal ma spory wpływ na córkę. Wciąż regularnie komentuje wydarzenia krajowe i zagraniczne i nie przebiera w słowach, mówiąc o Rosji Putina.

Choć jego córka oficjeli na Kremlu denerwuje znacznie bardziej. W lutym zeszłego roku rosyjskie MSW wpisało ją na listę osób poszukiwanych – gdyby pojawiła się na terytorium Federacji Rosyjskiej, zostałaby aresztowana. Powodem jest „bezczeszczenie pamięci” o bohaterach ZSRR, czego dowodem według Kremla jest decyzja o przeniesieniu tzw. brązowego żołnierza.

Statua z czasów sowieckich, upamiętniająca „wyzwolenie” Tallinna spod hitlerowskiej okupacji, została wprawdzie przeniesiona z centrum miasta na cmentarz wojskowy jeszcze w 2007 r., ale Kallas jako premierka kontynuowała politykę poprzedników i przenosiła inne monumenty, Estończykom kojarzące się z sowiecką dominacją.

•
W czasie przesłuchania przed europosłami uderzała w Putina bezpardonowo. Mówiła, że „każdy w Europie chce pokoju, ale agresorom nie można dać tego, czego chcą – bo wtedy zatakują ponownie”. Dodała też przekornie, że porażki w wojnach kolonialnych wychodzą dawnym imperiom na dobre. Dlatego Rosjanom „trzeba dać szansę przegrać w ich ostatniej wojnie kolonialnej, w Ukrainie” – żeby mogli rozpocząć marsz ku lepszej przyszłości. Najwięcej braw zebrała jednak dzięki ciętym ripostom eurosceptycznym deputowanym, w tym z AfD, którzy oskarżali ją o prowokowanie Rosji i ściąganie na Europę ryzyka kolejnego konfliktu.

Wbrew temu, co sugerują zwolennicy „odpowiedzialnego” dogadywania się mocarstw ponad głowami mniejszych narodów, Estonka nie ma wcale obsesji na punkcie Rosji – bo wrogów Europy widzi też gdzie indziej. „Systemowym rywalem” Unii nazywa Chiny, ryzyko identyfikując w dwóch obszarach. Po pierwsze, Wspólnota musi zwalczyć asymetrię w handlu z Pekinem. Po drugie, Chiny powinny być świadome, że wspierając Rosję w wojnie, dokonują wyboru – narażają w ten sposób relacje z Europą, nadal jedną z największych potęg gospodarczych i kulturowych globu. Estonka wręcz pogroziła palcem Xi Jinpingowi, mówiąc, że „jeśli Chińczycy chcą popierać Rosję, muszą mieć świadomość, że będzie ich to wiele kosztować”. Jak na unijną dyplomatkę to bardzo ostre słowa.

Presję na Państwo Środka szefowa dyplomacji chce wywierać wielotorowo, także w porozumieniu z równie, jeśli nie bardziej, zaniepokojonymi chińską „asertywnością” Japonią, Australią i Nową Zelandią. To kolejny dowód na to, że Kallas widzi Europę jako część coraz bardziej złożonej globalnej układanki. I wie, że zagrożenie może przyjść z każdej strony, z bardzo odległych obszarów.

•
Priorytetem jej polityki zagranicznej mają być relacje ze Stanami Zjednoczonymi, ale nic nie wskazuje na to, żeby chciała się Trumpowi podlizywać. Raczej będzie po prostu pragmatyczna. Z jednej

strony jak mantrę powtarza uprzejmą frazę, że to nie obywatela Europy, tylko Amerykanie wybierają prezydenta za oceanem, a Unia musi umieć współpracować z każdym lokalnym Białym Domem. Jeszcze jako szefowa estońskiego rządu miała kontakt z Trumpem, i z J.D. Vance’em. Szczegóły jej rozmowy z przyszłym wiceprezydentem nie zostały upublicznione, ale Kallas powiedziała, że debatowali „bardzo długo” jeszcze przed listopadowymi wyborami, kiedy Republikanie nie byli wcale pewni zwycięstwa. To kolejny dowód na jej dyplomatyczną sprawność, bo ewidentnie zabezpieczała oba fronty.

Z drugiej – spotkanie z Trumpem planuje „najszybciej, jak to będzie możliwe”, ale dodaje, że strategiczne partnerstwa muszą być budowane również gdzie indziej. Zaraz po Waszyngtonie wymienia Londyn, ale także New Delhi. Uważa, że zwłaszcza na tym ostatnim odcinku – w relacjach z bogacącym się i błyskawicznie rozwijającym technologicznie państwem subkontynentem będącym przeciwwagą dla Chin – Unia ma wiele do zyskania i do nadrobienia jednocześnie.

Z kolei na Bliskim Wschodzie idealnym według Estonki scenariuszem byłoby dwa suwerenne państwa, ale tu Kallas będzie mieć pod górkę. Benjamin Netanjahu regularnie daje do zrozumienia, że nie słucha rad innych przywódców, zdarzało mu się lekceważyć nawet Bidena, czyli jednocześnie najważniejszego sojusznika Izraela i znajomego od 40 lat. Raczej więc nie uzna jej za partnerkę do rozmowy. Tym bardziej że Bruksela go wkurza humanitarną krytyką działań armii w Gazie, a zaraz będzie miał „swojego” prezydenta w Waszyngtonie, w Unii zaś „swojego człowieka” już ma – i to znaczącego, bo za sprawą koleżeństwa z Trumpem międzynarodowa pozycja Orbána rośnie.

•
Kallas nie wydaje się tymi przeszkodami zniechęcona. Wręcz przeciwnie, rozdaje ciosy na lewo i prawo. Na razie tylko retoryczne, ale to już spora zmiana. POLITICO Europe komentuje, że „jako główna dyplomatka Unii jest gotowa, by zachowywać się w sposób niedyplomatyczny”. Wygląda na to, że po latach samoograniczania się w polityce zagranicznej Unia wreszcie dała sobie szansę, by odegrać większą rolę nie tylko w Starym Świecie, ale też na całym świecie.

Kaja Kallas otworzyła szeroko okna. Na razie się rozgląda, ale sięga wzrokiem daleko od Europy, a to już jak na unijne standardy rewolucja koperska. ●



Tortur nie

Czy rząd dotrzyma jednego ze swoich najważniejszych zobowiązań.

Dominika Wielowieyska

Osoby aresztowane w związku z aferą Funduszu Sprawiedliwości są traktowane zgodnie z przepisami i poszanowaniem ich godności? Prawo i Sprawiedliwość głosi, że podejrzani byli „torturowani”. Rzecznik praw obywatelskich orzekł, że tortur nie było, ale niektóre działania służb można określić mianem „niehumanitarnych” i dopatrzeć się różnych „naruszeń”. Na ministrów Tomasza Siemoniaka i Adama Bodnara spadają gromy.

One są elementem politycznej gry i publicystycznej swady. Ale jeśli krytycznie wypowiada się RPO, można rzeczywiście nabrać wątpliwości, czy wszystko jest, jak należy. Co w zarzutach RPO ma sens?

I jak wyglądają dzisiejsze areszty w porównaniu z tymi za czasów PiS?

Niektórzy publicyści krytycznie oceniają działania podwładnych ministra spraw wewnętrznych i administracji Tomasza Siemoniaka oraz ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Milczeli jednak, gdy o wiele ostrzej traktowano aresztowanych za czasów rządu PiS. Wychwalali Zbigniewa Ziobrę, ówczesnego ministra sprawiedliwości, choć przecież po dwóch latach jego rządów w tym resorcie za „pierwszego PiS” (lata 2005-07) było wiadomo, w jaki sposób działa.

A już skrajnie niewiarygodni są politycy PiS, którzy chcieli zaostrzenia rygoru wobec zatrzymanych i aresztowanych, lecz teraz załamują ręce nad procedurami, które sami wprowadzili lub utrwalali. Nie kto inny, ale właśnie wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS Michał Woś mówił, że więzienie to nie sanatorium i trzeba zaostrzyć warunki w tych placówkach. Oraz ograniczyć możliwość składania skarg.

Warto przywołać działania i deklaracje nie tylko Ziobry, ale także byłego szefa MSWiA Mariusza Ka-

mińskiego oraz bardzo ważną w tej historii postać Bogdana Święczkowskiego, ekszefa ABW i byłego prokuratora krajowego, prawą rękę Ziobry. Jak wyglądała praktyka za pierwszych i drugich rządów Ziobry?

• Areszt wydobywczy był instrumentem często stosowanym. W takim areszcie była **Barbara K.** zwana – w nawiązaniu do bizneswoman milionerki z kultowego w latach 90. serialu „Dynastia” – **śląską Alexis**. Trzymano ją tam tak długo, aż obciążyla była posłankę SLD Barbarę Blidę w sprawie mafii węglowej. Ziobro chciał to zatrzymanie polityczki wykorzystać propagandowo. Kamery stały w gotowości pod domem posłanki, materiał miał być przekazany kontrolowanej przez PiS TVP.

Gdy w kwietniu 2007 r. ABW, kierowana przez Bogdana Święczkowskiego, wkroczyła do jej domu, Blida popełniła samobójstwo. A „Alexis” w 2013 r. prawomocnie uniewinniono.

• Jednym z najbardziej bulwersujących wydarzeń było zatrzymanie na polecenie prokuratora Adama Rocha w listopadzie 2006 r. **ciężarnej Marii D.**, księgowej Marka Dochnała, lobbysty brylującego wtedy na europejskich salonach biznesowych i towarzyskich. Sąd zgodził się na areszt. Kobieta była w dzie-



było

wiątym miesiącu ciąży, mogła zacząć rodzić w każdej chwili, ale odmówiono środków higienicznych, widzenia z rodziną i adwokatem. Maria D. została przewieziona na porodówkę, zaczęła rodzić ale akcję porodową zatrzymano i śledczy próbowali ją przesłuchać. W sprawie kobiety interweniowała nawet pierwsza dama Maria Kaczyńska. Bez skutku.

Maria D. opuściła areszt trzy miesiące po porodzie. Wytoczyła Polsce sprawę przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. W 2013 r. proces zakończył się ugodą, a polski rząd przyznał, że wobec niej dopuszczono się „niehumanitarnego traktowania oraz tortur”. Kobieta została przeproszona i otrzymała odszkodowanie.

Czy PiS wyciągnął jakieś wnioski z tej sprawy? Nie, skoro Adam Roch za sprawą neo-KRS i prezydenta Andrzeja Dudy znalazł się w Sądzie Najwyższym, w osławionej Izbie Dyscyplinarnej, którą po jakimś czasie PiS zlikwidował.

W czasie pierwszych rządów ministra Ziobry w resorcie sprawiedliwości dr Andrzej Szaniawski przesiedział prawie rok w areszcie wydobywczym. Dostał za to 450 tys. złotych odszkodowania. Ale w tym czasie odebrano mu prawo wykonywania

• **Ks. Michał Olszewski – po wpłaceniu za niego kaucji 350 tys. zł. – wychodzi z Aresztu Śledczego na ul. Kłobuckiej w Warszawie (25. 10. 2024). Nadal pozostaje podejrzanym w aferze Funduszu Sprawiedliwości**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy patrzymy na osoby, które wychodzą z aresztu – czy jest to ks. Michał O.

czy Sławomir Nowak – to widzimy

postarzałych w krótkim czasie ludzi, wychudzonych i zmarniałych. A są to osoby w świetle prawa wciąż niewinne.

Lepsze warunki panują w zakładach karnych niż w aresztach

zawodu, a źle leczone złamanie szczęki – w chwili aresztowania jechał do lekarza – sprawiło, że do końca życia jadł przez słomkę. „Więzienie zrujnowało mu zdrowie” – pisał „Newsweek”. Straumatyzowany i złamany, nie był w stanie leczyć się i odbudować kariery.

To ofiara antykorupcyjnego szalu Ziobry i Kamińskiego i pokazowej akcji przeciwko środowisku lekarskiemu. I tej właśnie akcji dotyczyła wypowiedź Bogdana Świńczkowskiego w RMF FM, który tłumaczył, że wielogodzinne przesłuchania nocą to bardzo dobre rozwiązanie. – Wszystkie służby specjalne przesłuchują tak świadków. Nocne przesłuchanie może być skuteczniejsze niż dzienne. Jeśli ktoś prowadzi nocny tryb życia, wygodniej jest przesłuchiwać go nocą – tłumaczył.

W 2019 r., gdy Ziobro znów był ministrem i prokuratorem generalnym, prokurator z Łomży wysłała do aresztu pana Daniela oskarżonego o molestowanie przez pasierbicę. Gdy domniemana ofiara wycofała zeznania i przyznała, że zmyślała w zemście, mężczyzna nadal siedział. Był bity i gwałcony, bo na prawie pół roku posadzono go z groźnymi przestępcami. Gdy sąd potwierdził, że jest niewinny, wystąpił o odszkodowanie. Sprawę dostała ta sama prokurator, która sugerowała groszowe odszkodowanie, a gdy sąd przyznał mu wyższą sumę, zarzuciła ofierze „chęć wzbogacenia się”.

Po Władysława Frasyniuka – legendę podziemnej „Solidarności” w latach 80., przedsiębiorcę, a za rządów PiS jednego z najaktywniejszych działaczy obywatelskich protestów – przyszła policja i zakulała go w kajdanki „dla bezpieczeństwa jego i policjantów”, jak określił to funkcjonariusz. Ręce mu skuto na plecach.

Wtedy Piotr Semka z tygodnika „Do Rzeczy”, i Sebastian Kaleta z Solidarnej Polski kpili z oburzenia polityków opozycji. Kajdanki im nie przeszkadzały. A powód tak brutalnego zatrzymania? Frasyniuk nie stawiał się na wezwania prokuratury, według prokuratorów miał popchnąć policjanta na jednej z antyrządowych demonstracji. W 2020 r. sąd umorzył sprawę blokowania przez opozycjonistę miesięcznicy smoleńskiej, Sąd Najwyższy decyzję podtrzymał. I uznał, że zatrzymanie było niezasadne.

Joanna z Krakowa w lipcu 2023 r. do krakowskiego szpitala dojechała w eskorcie mundurowych. Wcześniej źle się poczuła i wyznała swojej lekarce, że wzięła tabletkę wczesnoporonną. Była w złym stanie psychicznym. W szpitalu policjanci kazali jej się rozebrać i kucać, zabrali telefon, legitymowali lekarzy, którzy protestowali. Interesowało ich to, skąd Joanna miała tabletki. Potem twierdzili, że interweniowali, bo kobieta chciała popełnić samobójstwo. Ale ich interwencja trwała także wtedy, gdy żadnego zagrożenia związanego z samobójstwem nie było, a prokuratura za czasów Ziobry wszczęła śledztwo, kto pomagał Joannie w domniemanej aborcji. Dziś w sądzie toczy się proces o odszkodowanie.

Aresztowani za czasów PiS biznesmeni skarżyli się, że siedzieli w ciasnych celach po 16 miesięcy. Jeden z nich opowiadał, że pierwsze widzenie z rodziną było możliwe po dwóch miesiącach.

W 2021 r. przedsiębiorca Michał Sobański trafił do aresztu we Wrocławiu na siedem miesięcy. Przebywał w pełnej izolacji, w jednoosobowej celi o powierzchni 8 m kw., bez okna. Cella jest monitorowana przez całą dobę. Żarówka w dzień świeci na okrągło. W nocy zapala się co godzinę, bo oko kamery musi

widzieć więźnia. Pod celą codziennie kipisz. Strażnicy wywracają wszystko, łącznie z jedzeniem, które ładuje na podłogę. Więzień jest przeszukiwany. Przy każdym wyjściu z celi i przy powrocie rozbiera się do naga i musi dać się obejrzeć. Codziennie ma tylko 5 minut na rozmowę telefoniczną z bliskimi, przerywaną, gdy jego dzieci lub żona Francuzka wtrąca słowo w tym języku. Na kontakt z kapłanem dostaje zgodę po trzech miesiącach.

Sobański wyszedł za kaucją 10 mln złotych. Wiele wskazuje na to, że areszt miał charakter wydobywczy, bo choć oficjalnie zatrzymano go w sprawie reperywizacyjnej – osoby, którym doradzał, zdaniem prokuratury nie wskazały wszystkich potencjalnych spadkobierców nieruchomości – nieoficjalnie indagowano go na okoliczność kupna przez resort kultury kolekcji sztuki od Fundacji Czarotoryskich. Biznesmen obracał się w tych kręgach i znał osoby, które ją przeprowadzały. Niewykluczone, że szukano haków na ministra kultury Piotra Glińskiego w ramach wojny między frakcjami Ziobry i premiera Mateusza Morawieckiego.

Przemysław Krych, przedsiębiorca, opowiadał „Wyborczej”: „O szóstej rano wałęsałem się do drzwi. Otwieram w szlafroku. Trzech facetów, za nimi strażak z piłą tarczową. W drodze do prokuratury w samochodzie śmierzdzi śledziami, funkcjonariusze mówią, że balowali wczoraj z »panem ministrem«. Na posiedzenie aresztowe oczekuję całą noc w klatce w podziemiach sądu. Za oknem ktoś codziennie odtwarza korespondencję z WhatsAppa między mną a moją żoną, moimi córkami. Schudłem do 58 kg”.

Założyciela funduszu inwestycyjnego Griffin Real Estate katowicka prokuratura oskarżyła o „wręczanie łapówek” senatorowi Stanisławowi Kogutowi. Łapówką miały być darowizny dla Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym w Stróżach. – To się nasz senatorka doigrała – komentował wówczas radny PiS z Sądecczyny. Senator był skonfliktowany z frakcjami Joachima Brudzińskiego i Ziobry.

W rozmowie z Jarosławem Kurskim Krych komentował półroczną odsiadkę: „Patrik Jaki załamywał publicznie ręce nad jedną z tymczasowo aresztowanych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, która – jego zdaniem – jest traktowana jak terrorystka, bo założono jej kajdanki zespolone na ręce i nogi. Jaki uważa, że przypomina to zachowania mafii, »która chce wymusić zeznania«. Pusty śmiech. Otóż przez sześć miesięcy – a Jaki był wtedy wiceministrem sprawiedliwości, któremu podlegały więzienia – za każdym razem, gdy byłem doprowadzany przez policję na przesłuchanie, zakładano mi kajdanki zespolone pomimo sprzeciwu moich obrońców”.

Europoseł Włodzimierz Karpiński, minister w rządach PO-PSL, podejrzany o przyjęcie łapówki w przetargu na gospodarowanie odpadami w Warszawie, mówił w RMF FM po dziewięciu miesiącach aresztu: „Pamiętam, jak wszedłem tam, do tego pomieszczenia, raczej nie pamiętam następnych trzech tygodni. Cella miała jakieś 5 metrów na 2 metry. Najgorsze jest to, że nie wiesz, co z najbliższymi. Synów widziałem po prawie ośmiu miesiącach. Osiem miesięcy zajęło prokuratorowi, żeby dać zgodę na rozmowy telefoniczne i na widzenie z pierwszym synem. Z żoną po dwóch miesiącach, zgoda została wydana, na rozmowę telefoniczną – mogłem rozmawiać ze swoją kochaną osobą osiem minut tygodniowo. Dwa razy na tydzień przez osiem minut mogłem brać prysznic. Nie miałem ciepłej wody,

więc musiałem sobie radzić z czajnikiem elektrycznym na różne sposoby”.

– O warunkach, jakie panują w tych miejscach, rozmawialiśmy z ówczesnym szefem MSWiA Mariuszem Kamińskim oraz z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą. Nie wykazali zainteresowania, by coś zmienić czy poprawić – wspominała w „Wyborczej” Hanna Machińska.

Była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich za rządów PiS przedstawiła rządowi raport z kontroli Europejskiego Komitetu do Spraw Zapobiegania Torturom oraz Nieludzkiemu lub Poniżającemu Traktowaniu albo Karaniu (CPT), przeprowadzonej w Polsce we wrześniu 2020 r.

Zatrzymani skarżyli się na „użycie nadmiernej siły podczas zatrzymywania lub bezpośrednio po nim, w stosunku do osób, które – według relacji – pozostawały już pod kontrolą i nie przeciwstawiały się (lub już nie przeciwstawiały się) zatrzymaniu. Niewłaściwe traktowanie miało polegać głównie na silnym przyciskaniu osoby twarzą do ziemi (lub twarzą do ściany), kłeczeniu na osobie, w tym na jej twarzy, lub nadeptaniu na nią, któremu czasami towarzyszyły uderzenia otwartą dłońią, kopnięcia lub uderzenia pięścią.

Pojawiły się również liczne zarzuty dotyczące stosowania, w sposób bolesny i długi, kajdanek za plecami, a niektóre osoby twierdziły, że zostały podniesione za kajdanki i/lub, będąc skute kajdankami, były ciągnięte po ziemi. Niewielka część zasłyszanych przez delegację zarzutów dotyczyła niewłaściwego traktowania fizycznego polegającego na uderzaniu otwartą dłońią i, w jednym przypadku, kopaniu w trakcie przesłuchiwania na komisariacie policji” – czytamy w raporcie.

Prokuratura pod rządami Ziobry prowadziła wiele śledztw przeciwko urzędnikom i menedżerom państwowych spółek, którzy pełnili te funkcje za rządów PO-PSL. Sądy często nie zgadzały się na areszty, ale mrożono im majątki i blokowano konta. Rozmawiałam z tymi ludźmi: sześć-siedem lat wyjętych z życiorysu plus prokuratura niezdolna przez ten czas napisać aktów oskarżenia. – Ja marzyłem o akcie oskarżenia, bo po tych ciężkich latach może sąd wreszcie by ocenił, co ci prokuratorzy Ziobry przygotowali, tymczasem te śledztwa się ciągną w nieskończoność – mówił mi jeden z nich.

Dziś budzące wątpliwości śledztwa z czasów dwóch kadencji PiS – 600 spraw z lat 2016-23 – analizuje zespół Katarzyny Kwiatkowskiej.

Rząd PiS konsekwentnie zastrzał przepisy karne i zwiększał uprawnienia prokuratury. Do nowelizacji kodeksu postępowania karnego wrzucono przepis, który daje prokuratorowi możliwość wstrzymania decyzji sądu o uchyleniu tymczasowego aresztu.

PiS zastrzył też zasady postępowania z nieletnimi: obniżył wiek odpowiedzialności przed sądem z 13 do 10 lat, ale psychologów, pedagogów i obrońców praw człowieka zszokował inny zapis: rozszerzenie zestawu represji i kar w placówkach wychowawczych, choćby poprawczakach. „Wobec dzieci będzie można stosować przemoc fizyczną, obezwładnianie, zakładanie kajdanek, krępowanie pasami, umieszczanie w izolatkach” – wyliczał w OKO.press prof. Marek Konopczyński, specjalista od resocjalizacji z PAN.

Media opisywały, jak funkcjonariusze zatrzymali 14-letnią Oliwię za udział w pobiciu koleżanki. Weszli do mieszkania o 6 rano. Wywlekli ją z łóżka. Dziewczyna w panice wciągnęła o wiele za duże spodnie starszej siostry, założyła bluzę i trampki, a przecież była zima. Plakała i krzyczała. Policjanci wykręcili jej ręce, zakuli w kajdanki i pochyłoną wyprowadzili z mieszkania do radiowozu. Ojciec pytał, po co te kajdanki, czy boją się, że 14-letnia dziewczynka zrobi im krzywdę albo ucieknie. Nie odezwali się. Mama Oliwii: „Kiedy pierwszy raz mo-

gliśmy odwiedzić Oliwkę w zakładzie, zobaczyliśmy nasze dziecko ubrane w jaskrawoczerwony uniform. Wyglądała jak największa zbrodniarka z amerykańskiego filmu o niebezpiecznych więźniach”.

Portal Konkret24 zwrócił uwagę, że w latach 2015-20, za rządów PiS, dwukrotnie wzrosła liczba tymczasowych aresztów. O blisko 70 proc. wzrosła liczba prokuratorских wniosków do sądów o zastosowanie tymczasowego aresztowania.

Rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek, zanim wziął się do badania szczegółowych zarzutów w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, stwierdził, że mamy systemowy problem związany z przedłużającymi się aresztami i traktowaniem podejrzanych. Wymieniając te przykłady zatrzymywania i traktowania podejrzanych za PiS, nie można tych praktyk uznawać za usprawiedliwienie obecnych działań służb. Złe praktyki miały się skończyć. Czy dzisiejsze zarzuty pod adresem rządzących są uzasadnione?

W związku z aferą w Funduszu Sprawiedliwości w zeszłym roku zatrzymano znanego księdza Michała O. i dwie urzędniczki resoru sprawiedliwości, Urszulę D. i Karolinę K. Dziś wszyscy są na wolności, wyszli po siedmiu miesiącach aresztu. Prokuratura zapowiada, że wkrótce do sądu wysłany będzie akt oskarżenia. Takie tempo to nowość.

Politycy PiS głosili, że ksiądz i dwie kobiety były torturowane. Rzecznik praw obywatelskich postanowił sprawdzić te oskarżenia. I bardzo dobrze, ponieważ służby muszą mieć poczucie, że jest społeczna kontrola nad ich działaniami.

Oczywiście wcześniej RPO – nie kto inny, tylko Adam Bodnar – krytykował rozmaite praktyki za czasów PiS. Ale ta partia kompletnie to ignorowała. Jednocześnie na Bodnara spada teraz większa odpowiedzialność, bo znalazł się po drugiej stronie barykady. Teraz to on i jego koledzy są sprawczy w kwestii aresztów, traktowania zatrzymanych i surowości prokuratorów.

Po zbadaniu skarg trójki podejrzanych RPO stwierdził, że tortur nie było, ale ksiądz był traktowany niehumanitarnie. Miał też zastrzeżenia do działań służb wobec dwóch byłych urzędniczek. Przy czym zastrzegł, że nie wszystkie skargi zbadał, bo nie mógł się oprzeć na materiale z nagrań monitoringu z różnych miejsc, ponieważ w chwili pojawienia się informacji medialnych i podjęcia sprawy minął już przewidziany przepisami okres ich przechowywania. O zabezpieczenie nagrań mogli w odpowiednim czasie wystąpić obrońcy zatrzymanego, jednak tego nie uczynili i nagrania zostały trwale usunięte.

To symptomatyczne, bo początkowo podejrzani i ich obrońcy nie skarżyli się na sposób traktowania, krytyczne refleksje pojawiły się u nich później. Ale o tym za chwilę.

W sprawie księdza RPO wytknął służbom nadmierne stosowanie podczas konwoju kajdanek, zakładanych na ręce i na nogi. Stwierdził, że przy zatrzymaniu ABW prowadziła czynności procesowe nieprzerwanie przez 15 godzin, bez odpoczynku, posiłku, bez przerwy w kajdankach, nawet gdy aresztowany przebywał w pomieszczeniach bezpiecznych i pod nadzorem funkcjonariuszy ABW. Naruszone zostało prawo do „niekrępującego korzystania z urządzeń sanitarnych w celi mieszkalnej”. Kącik sanitarny był na widoku. Nie zrealizowano zalecenia kontroli lekarskiej osadzonego raz w miesiącu. RPO dopatrzył się uchybień w dokumentacji, w długim oczekiwaniu „na przyznanie wyżywienia dietetycznego” i w braku czajnika elektrycznego w celi przejściowej.

Natomiast w przypadku urzędniczek rzecznik uznał, że doszło do „naruszeń”: wielogodzinnych przesłuchań bez posiłku, niepotrzebnego zakładania kajdanek na ręce i nogi podczas konwojowania czy tzw. sprawdzeń prewencyjnych przez mężczyzn, choć powinny to zrobić kobiety. Jed-



FOT. FOTOPATRZYK OGÓRZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

PiS wprowadził – i bezwzględnie egzekwował – surowe zasady z kajdankami – a teraz sam na nie pomstuje. Natomiast oskarżany o prześladowanie dzisiejszej opozycji i brutalne traktowanie zatrzymanych obecny rząd zamierza te zasady uczłowieczyć

na z aresztowanych została umieszczona bezprawnie w izolatce, nie mogła korzystać z czajnika – z braku prądu w gniazdku – i była narażona na wielogodzinny uciążliwy hałas spowodowany awarią głośnika radiowęzła.

Jak na te zarzuty odpowiadali ministrowie i prokuratorzy? Tomasz Siemoniak w TVP Info pytany o użycie wobec ks. O. tzw. kajdanek zespolonych „nawet w miejscach bezpiecznych” odparł, że takie są procedury. – Funkcjonariusze kierują się własnym bezpieczeństwem i bezpieczeństwem osoby zatrzymanej, więc trudno do nich mieć pretensje. Pamiętamy sytuacje tragiczne, gdy nie założono kajdanek i popełniła osoba samobójstwo.

Użycie zespolonych kajdanek jest dopuszczalne w konkretnych sytuacjach. W katalogu takich sytuacji jest działalność w zorganizowanej grupie przestępczej, o co ksiądz jest oskarżany, więc formalnie wszystko się zgadza. Niemniej użycie zespolonych kajdanek wydaje się nadmiarowe.

Jeśli chodzi o pozostałe kwestie, warto pamiętać, że obrońca ks. Michała O. mecenas Krzysztof Wąsowski na platformie X napisał 27 marca, a więc dzień po zatrzymaniu duchownego: „Poinformował mnie, że jego »opiekunowie« z ABW zachowywali się bardzo »po ludzku«, za co jest im tak po ludzku wdzięczny. Poinformował mnie też, że cały wtorek i aż do naszego spotkania nie jadł, bo nie może ze względów zdrowotnych przyjmować produktów pszennych”.

Wpis został skasowany, a dwa miesiące później mecenas informował, że ksiądz był źle traktowany. Pokazał mediom list napisany przez zatrzymanego, który miał dowodzić winy służb. Potem okazało się, że to nie ksiądz go pisał, lecz obrońca na podstawie relacji księdza. Były tam skargi opisane później przez RPO.

Na zatrzymanie księdza obrońca złożył zażalenie. Sąd je oddalił w październiku. Co ciekawe, z uzasadnienia sądowego wynika, że początkowo mecenas podnosił tylko złe umocowanie prokuratora i zatrzymanie w Wielki Tydzień, co uznał za demonstrację wobec księdza katolickiego. Dopiero potem uzupełniał wnioski o kolejne zarzuty w dodatkowych pismach częściowo cytowanych przez RPO. Była wśród nich treść wspomnianego listu, drukowanego zresztą w mediach. Sędzia tych zarzutów nie uznał i stwierdził, że sam podejrzany przed sądem tych zastrzeżeń nie potwierdził.

Wąsowski zeznał, że chaos i rozbieżności między tym, co mówi ksiądz w sądzie, a treścią pism uzupełniających wynikają z tego, że nie miał kontaktu z księdzem. Ale sędzia

zauważył, że mecenas spotkał się z klientem w kwietniu, a pisma uzupełniające składał w lipcu, czyli miał szansę skonsultować pisma z księdzem. Gdy sąd dopytywał o szczegóły opowieści zawartej w liście, podejrzany płatał się w zeznaniach. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ta krytyczna relacja powstała dopiero po dwóch miesiącach od zatrzymania. Twierdził, że chodziło o uspokojenie rodziny. Jednak sąd uznał, że wcześniej ksiądz wielokrotnie kontaktował się z rodziną, więc trudno uznać to wyjaśnienie za racjonalne.

„Zatrzymanie było legalne, zasadne i prawidłowe” – stwierdził ostatecznie sędzia.

W uzasadnieniu czytamy także, że ksiądz początkowo nie poinformował o problemach z dietą i podpisał oświadczenie, że nie ma żadnych kłopotów zdrowotnych. Dlatego początkowo nie uwzględniano wymagań dietetycznych. Stało się to dopiero po dwóch tygodniach aresztu. Ale faktycznie taka decyzja mogła zapaść wcześniej. Ksiądz miał swoje kanapki, które przygotowała mu osoba przebywająca z nim w domu w chwili zatrzymania. Potem robił zakupy w miejscowej kantynie. Po szczegółowej analizie sąd nie dopatrzył się także uchybień w związku z transportem księdza i zatrzymaniem na stacji benzynowej, gdzie musiał iść do toalety w kajdankach. Sąd uznał, że było to konieczne.

Także zatrzymanie dwóch urzędniczek sąd uznał za zasadne i prawidłowe. Można odnieść wrażenie, że RPO w ogóle uzasadnienia tych decyzji sądu nie czytał.

Sam Michał O., po wyjściu z aresztu, w mediach społecznościowych dziękował Służbie Więziennej. „Dziękuję mediom, Służbie Więziennej, szczególnie wychowawcom, oddziałowym, psychologom, kapelanom i współwięźniom. Dziękuję Wam wszystkim”. A wcześniej mecenas Wąsowski mówił w wPolsce24, telewizji braci Karńskich: „Ks. Michał prosił, bym przekazał, że Służba Więzienna zachowuje się wyjątkowo dobrze. W tym areszcie, przed którym jesteśmy, jest to tak profesjonalnie i wręcz z dużym zrozumieniem i życzliwością ci ludzie podchodzą. Także zachęcałbym wszystkich, którzy tu przychodzą, by nie protestować przed aresztem. Są inne miejsca, gdzie decyduje się, że ks. Michał będzie znajdował się tutaj. Tu w areszcie na Kłobuckiej, ci ludzie wręcz ratują mu życie”. Wąsowski twierdził, że były dwie ekipy funkcjonariuszy, jedna zachowywała się dobrze, druga bardzo źle. Stąd jego początkowy pozytywny wpis o ABW, a potem – pod dwóch miesiącach – krytyczny list.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego odpięła zarzut 15 godzin czynności: z zatrzymanym nie wykonywano jednej nieprzerwanej czynności, lecz wiele, w postaci: przeszukań, konwoju, badania lekarskiego oraz oględzin, w których brał bierny udział, nie będąc zaangażowanym intelektualnie. „Zatrzymanie z przeszukaniem trwało około 3,5 godziny, konwój do Warszawy niemal 4 godziny, przeszukiwanie w Warszawie około 1,5 godziny, następnie odbyło się badanie lekarskie, następne przeszukiwanie, a po kolejnej 1,5 godziny nastąpiło osadzenie”. Tymczasem niektóre media piszą o 15 godzinach nieustającego przesłuchania bez posiłku.

Z kolei Służba Więzienna odpowiedziała na zarzut naruszenia prawa do niekrępującego korzystania z urządzeń sanitarnych w celi mieszkalnej. Chodzi o to, że ks. Michała O. umieszczono w celi, w której kącik sanitarny nie był osłonięty tak, aby osoby wchodzące nie mogły go zobaczyć podczas czynności intymnych. „Wyjaśniamy, że każda z cel, w których przebywał Michał O., była jednoosobowa. Kąciki sanitarne w tych celach nie są zabudowane, są jednak przesłonięte kotarą. Przesłanianie kącika sanitarnego jest objęta monitoringiem wyłącznie w zakresie, który nie obejmuje strefy intymnej”. SW odpowiada też na zarzuty RPO o użycie kajdanek zespolonych: „Dyrektor aresztu może podjąć decyzję o zwolnieniu z prewencyjnego użycia kajdanek,

biorąc pod uwagę względy bezpieczeństwa. Tak się stało w 9 lipca 2024 r. w przypadku ks. Michała O.”.

I w tym samym piśmie wyjaśnia szerszy kontekst: „Zgodnie z przepisami ustawy o SW (z lipca 2022 roku) funkcjonariusze Służby Więziennej mają obowiązek prewencyjnego stosowania kajdanek wobec wszystkich osób przebywających poza celą w zakładach karnych typu zamkniętego oraz aresztach śledczych. Zasada ta dotyczy wszystkich tymczasowo aresztowanych”. Na razie, bo „obecne kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości i Centralnego Zarządu Służby Więziennej przygotowało nowelizację przepisów kodeksu karnego wykonawczego i ustawy o SW, by ograniczyć nadużywanie stosowania kajdanek”.

Tak więc PiS wprowadził – i bezwzględnie egzekwował – surowe zasady z kajdanekami – a teraz sam na nie pomstuje. Natomiast oskarżany o prześladowanie dzisiejszej opozycji i brutalne traktowanie zatrzymanych obecny rząd zamierza te zasady uczłowieczyć – na czym skorzystają w przyszłości aresztanci związani z aferami i przestępstwami z czasów rządów PiS.

A co więziennicy odpowiedzieli w sprawie Karoliny K.? Do zarzutu bezprawnego umieszczenia urzędniczki w celi izolacyjnej odnieśli się następująco:

„Wyjaśniamy, że Karolina K. podczas pobytu w Areszcie Śledczym w Warszawie-Grochowie przebywała czasowo w celi jednoosobowej objętej całodobowym monitoringiem, ponieważ nie było innej wolnej pojedynczej monitorowanej celi. Nie był to więc wynik kary, tym samym nie miały wobec niej zastosowania ograniczenia wynikające z tego powodu. Karolina K. podczas szeregu rozmów wychowawczych oraz codziennej wizytacji celi nigdy nie zgłaszała uwag dotyczących zakwaterowania, warunków bytowych czy innych niedogodności związanych z izolacją penitencjarną”.

Na zarzuty braku oświetlenia w kąciu sanitarnym, przez co podejrzana nie mogła swobodnie korzystać z urządzeń sanitarnych, niemożności skorzystania z czajnika elektrycznego przez niesprawne gniazdko i przebywania w wielogodzinym uciążliwym hałasie wskutek awarii instalacji głośnika radiowęzła, odpowiedziano tak: „Wyjaśniamy, że cela, w której była Karolina K., spełniała wszystkie wymogi (była wyremontowana w lutym 2024 r.). Czasowe braki zasilania w gniazdkach elektrycznych były spowodowane problemami technicznymi po stronie dostawcy prądu (dlatego nie działał przez chwilę czajnik). Administracja więzienna uruchamiała wówczas agregat. W czerwcu 2024 r. Karolina K. zgłosiła, że nie może wyciszyć głośno grającego radia. Funkcjonariusz pokazał Karolinie K., jak należy używać przycisku ściszenia urządzenia. Urządzenie działało prawidłowo”.

„Wyjaśniamy, że Karolina K. 25 kwietnia 2024 r. odebrała paczkę z książkami z magazynu depozytowego. Po sprawdzeniu jej zawartości okazało się, że są w niej dwa różańce. Karolina K. nie posiadała zgody na ich otrzymanie, zostały więc pozostawione w magazynie. 16 maja 2024 r. Karolina K. otrzymała zgodę na ich odebranie, co zrobiła dopiero 9 lipca 2024 r., pomimo wcześniejszej możliwości” – to o zarzucie niewydania do celi mieszkalnej przedmiotów kultu religijnego przesłanych osadzonej w paczce. Różaniec był tak niezbędny urzędniczce, odebrała go po prawie półtora miesiąca. Choć jeśli chodzi o pierwotną zwłokę z przekazaniem różańca, faktycznie mieliśmy do czynienia z nadmierną biurokratyczną pryncypialnością.

Do listy zarzutów RPO swój na ostatniej konferencji prasowej dorzucił Zbigniew Ziobro. Stwierdził, że urzędniczki musiały korzystać z toalety pod nadzorem obserwujących je mężczyzn. W raporcie RPO nie ma o tym mowy. Natomiast we wszystkich trzech przypadkach – księdza i obu urzędniczek resortu – RPO zamieszcza długą listę zarzutów, sformułowanych przez osoby

podejrzane, np. uniemożliwienia kontaktu z obrońcą, które się nie potwierdziły.

Po analizie raportu RPO i odpowiedziach służb można odnieść wrażenie, że rzecznik raczej z ich stanowiskiem się nie zapoznał. A w każdym razie nie zawarł kontry, co powinien zrobić, jeśli uznał je za niewiarygodne. Na przykładzie: jeśli SW twierdzi, że pani Karolina po prostu nie potrafiła obsłużyć pokrętności, a zdaniem rzecznika to nieprawda i była specjalnie źle traktowana, w raporcie powinna się znaleźć wzmianka: „tłumaczenie SW jest chybione”, plus wyjaśnienie dlaczego.

Ważne jest jednak, że raport powstał, bo są tam zarzuty, na które instytucje rządowe nie odpowiedziały. Urzędniczki były „sprawdzane prewencyjnie przez mężczyzn, choć w tym wypadku powinny to zrobić kobiety”. To bardzo upokarzające dla kobiet w areszcie. A w tej sprawie służby milczą. I czy faktycznie w nocy trzeba zapalać światło co godzinę?

Minister Siemoniak dość ostro wypowiadał się o RPO. To błąd. Rzecznik ma zadanie patrzeć władzy na ręce i monitorować przestrzeganie praw człowieka. Ma stać po stronie osób zatrzymanych.

Pytany w Polsce o wypowiedź Siemoniaka Marcin Wiącek odpowiedział, że według orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka państwo musi zapewnić zatrzymanemu pełnowartościowy posiłek co kilka godzin. Odrzucał argumenty, że duchowny miał przygotowane własne jedzenie. – Z obowiązku tego nie zwalnia państwa to, iż człowiek samodzielnie wziął sobie z domu czy gdzieś po drodze zakupił coś do jedzenia – tłumaczył. I trudno się tu z rzecznikiem nie zgodzić.

Pytanie fundamentalne brzmi: czy stosujemy filozofię PiS, że areszt „to nie sanatorium”?

Z założenia areszt nie jest karą, bo karę wymierza sąd po procesie. Tymczasem gdy patrzymy na osoby, które z tego aresztu wychodzą – czy jest to ks. Michał (siedem miesięcy aresztu), czy Sławomir Nowak, lata temu jeden z najważniejszych polityków PO, oskarżony o korupcję, gdy kierował ukraińskim urzędem drogownictwa (dziewięć miesięcy aresztu), czy Włodzimierz Karpiński (dziewięć miesięcy aresztu) – to widzimy postarzałych w krótkim czasie ludzi, wychudzonych i zmarniałych. A są to osoby w świetle prawa wciąż niewinne. Paradoksalnie lepsze warunki panują w zakładach karnych niż w aresztach. Choć w więzieniu są ludzie skazani, odbywający karę, natomiast w aresztach – ludzie niewinni w świetle prawa. Areszt wiąże się z nieprawdopodobnym stresem, którego ci wszyscy, którzy nie przeżyli tego na własnej skórze, nie rozumieją.

Polityka nowej ekipy powinna zmierzać w stronę lepszych warunków w aresztach i poluzowania rygorów. Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiada wiele zmian w tej dziedzinie, i to jasne, że nie wprowadzi ich od ręki, bo jeśli przepisy mają być przemyślane, urzędowe młyny muszą mieć powoli – niemniej po Adamie Bodnarze można się było spodziewać przyspieszenia prac nad tymi projektami.

W końcu sam jako rzecznik praw obywatelskich przez lata krytykował rozmaite praktyki służb i policji, ujmował się za pokrzywdzonymi przez system, nie tylko – za co najlepiej go pamiętamy – represjonowanymi z przyczyn politycznych za czasów PiS, ale też zwykłymi obywatelami zderzającymi się z bezduszością służb porządkowych i wymiaru sprawiedliwości. Krytycznie wypowiadał się o nadmiernej penalizacji i literalnym stosowaniu litery prawa bez uwzględniania jego ducha i indywidualnych okoliczności. Zna tę materię bardzo dobrze.

Komentatorzy powinni pilnie obserwować, co dzieje się w tej sprawie i czy rząd dotrzyma jednego ze swoich najważniejszych zobowiązań. ●

Suweren nie ma umysłu

Kaczyński i Rydzyk dziękują czytelnikom „Wyborczej”.



Marcin Matczak

Czytanie komentarzy pod własnymi felietonami na forum „Wyborczej” to zajęcie ryzykowne. Nasiąka się emocjami, które ludzie wyrażają, a potem się te emocje oddaje. A ponieważ w większości tych komentarzy ludzie wyrażają emocje złe, nasiąka się złem i się potem nim śmierdzi, jakby się siedziało w swetrze, który przesiąkł dymem tytoniowym.

Pod tekstem o świątecznych rozmowach pojawił się jednak komentarz, który nazwałbym diagnostycznym. Ciekawy do tego stopnia, że warto by mu było poświęcić nie tylko osobny felieton, ale i minirozprawę socjologiczną pod tytułem „dlaczego prędej czy później do TVP wróci disco polo oraz transmisje mszy świętej z Łagiewnik”.

Pisze pani Isabella: „Jestem od p. Matczaka starsza o 15+ lat, czyli o mniej więcej tyle samo dłużej mam do czynienia z suwerenem”. Pięknie. Pod tekstem, w którym mowa o ethosie, a więc wiarygodności kogoś, kto chce przekonywać do swego zdania, czytelniczka się uwiarygodnia. Wprawdzie dłuższe o 15 lat doświadczenie dotyczy czasów dawno minionych (1961-76), kiedy i inteligenci byli inni, i suweren inny niż dzisiaj, i jedni z drugimi umieli się porozumieć, ale napięcie międzyklasowe zaczyna w komentarzu narastać. Nie ma wątpliwości, że „suweren” to zbiorcza nazwa grupy polskich obywateli, głoszących na PiS, posiadających konserwatywne przekonania, utożsamianych z prowincją. Etykieta to strasznie upraszczająca, ale tak już często w inteligenckich umysłach jest, co zrobić.

Pani Isabella stwierdza: „Powiem krótko – jak p. Matczak ma ochotę okazywać empatię emocjom i poglądom suwerena, to niech ją sobie okazuje, ale beze mnie. Bo do umysłu suwerena trafić się nie da, gdyż go brak, a babranie się w jego emocjach jest dla mnie obrzydliwe”. Autorka stawia sprawę jasno – suweren to grupa bezmózgów, żadna rozmowa z nim nie ma sensu, a pochylanie się nad emocjami mas to jak nurzanie się w szambie. Oto polski inteligent w pełnej rozciągłości – wybitna intelektualnie i wysublimowana emocjonalnie dusza, która głowę nosi tak wysoko, że ludzi niedorastających do jej poziomu po prostu nie zauważa.

Jej poczucie wyższości działa jak bota-fumeiro – półtorametrowy trybularz z kapidłem w Santiago de Compostela, który przed prezbiterium rozhuśtuje ośmiu ludzi. Tradycyjnie oddzielał klasę wtajemniczonych kapłanów intelektu od prostaczków barierą wonności, żeby ci pierwsi nie musieli wdychać zapachu tych drugich.

Nie chodzi o to, pani Isabello, że ja mam ochotę okazywać empatię emocjom suwerena. Chodzi o to, że tę empatię okazują Jarosław Kaczyński i ojciec Rydzyk, a potem na niej budują swoją polityczną siłę. Im te emocje nie śmierdzą, oni w nich chętnie się pobabrzają, bo po przefiltrowaniu używają z nich coś cennego: władzę. ●

Od początku dwudziestego wieku niby wiadomo, że każdy populistą zagospodarowuje emocje zwykłego człowieka i rozwała demokrację od środka w oparciu o proste założenie, że pani głos i głos kogoś, kogo uważa pani za pozbawionego umysłu, znaczy dokładnie tyle samo. Ale jak widać, ta wiedza wciąż pozostaje tajemna.

„Jak dla mnie – rezerwat, wysoki mur z drutem kolczastym u góry, i niech się suweren kisi w środku, we własnym towarzystwie, póki nie wymrze” – pisze dalej Isabella. To intrygujący, choć nie do końca oryginalny pomysł. Stare, dobre getto, w którym, jak rozumiem, zamknie się około 10 milionów ludzi,

traktowanych już nawet nie jak zwierzęta, ale warzywa – bo kisi się przecież ogórki. Ja oczywiście rozumiem, pani Isabello, że to taka metafora tylko, ale trzeba przyznać, że ma pani rozmach. Bo nawet metaforycznie trudno mi jakoś wyobrazić konstrukcję, w której tych ludzi się wyłączy, odizoluje, wyśle na Madagaskar albo zorganizuje się dla nich polityczny obszar eks-terytorialny, w którym przestaną normalnie żyć i głosować. Co więcej, ludzie, którzy w Polsce popierają prawicowe ugrupowania populistyczne, są często młodzi. Jest zatem duża szansa, że wcześniej wymrzymy pani i ja niż oni. Tak więc z tym gettem to taka średnia strategia, bym powiedział.

Nagle w komentarzu następuje zwrot: „I owszem, zdaję sobie sprawę, że suweren może postawić na swoim. No to niech stawia, i niech potem żyje ze skutkami tegoż”. Płonna nadzieja. To nie suweren, kiedy postawi na swoim i wybierze po raz kolejny populistyczną władzę, będzie musiał żyć ze skutkami swego wyboru, ale pani i ci, którzy myślą tak jak pani. Bo suwerenowi będzie w tej nowej-starej sytuacji lepiej – będzie miał poszanowanie ze strony mediów publicznych, które ponownie docenią jego gust i jego potrzeby duchowe. A wy będziecie zgrzytać zębami i mówić, że się chamstwo w salonie rozsiadło. Bo nie potrafić szanować kogoś, kto myśli inaczej. Bo jak słusznie mówi Twardoch, cechą definicyjną polskiej inteligencji jest pogarda dla zwykłego człowieka.

I wreszcie wygłos komentarza: „Ponoć narkoman musi sięgnąć dna, zanim do niego dotrze, że tak się nie da. Im szybciej tego dna dosięgnie, tym lepiej – ja go powstrzymywać nie mam zamiaru, szkoda fatygi”.

A więc suweren, który ćpa populizm. I w tym ćpaniu się stoczy, oczywiście sam, bez nas, sięgnie dna i wtedy dopiero się będzie można zająć budowaniem Polski na nowo? To się układa w jakąś całość – zamknie się tego suwerena najpierw za jakimś kordonem sanitarnym i tam, oddzielonemu od nas, pozwoli mu się doświadczyć konsekwencji wszystkich jego błędów. Jakich? Polexitu na przykład? Rozumiem, że suweren wyjdzie z Unii, ale pani, pani Isabello, w niej zostanie?

Czytam ten komentarz i przypomina mi się scena z „Lalki”, gdy Łęcka rozmawia ze Starskim w pociągu po angielsku, a tej rozmowie przysłuchuje się Wokulski. Wyższa klasa, pogarda dla prowincji, pewność siebie. Bariera językowa, umysłowa, kulturowa – jakby Jacek Dehnel tłumaczył po francusku Magdzie Środzie, dlaczego opuszcza Berlin.

Oby tylko ten suweren, który, jak Wokulski, rozumie więcej, niż się arystokracji wydaje, nie powiedział pani, pani Isabello, przy urnie wyborczej z dobrym akcentem Dominika Tarczyńskiego „*Farewell, miss Iza, farewell!*”. I nie odjechał pani na wschód. ●

SŁOWA NIEROZBROJONE



• Interaktywna wystawa „Nowe narzędzia tortur „ zorganizowana pod rondem Kaponiera w Poznaniu w weekend 5-7 kwietnia 2019 r. Część miejskiej kampanii społecznej przeciw mowie nienawiści „Hejt Boli #NiePozwalam” FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy słyszymy, że dwójka gejów mówi do siebie „pedale”, to później użycie tego słowa w sytuacji agresywnej oceniamy jako mniej obraźliwe.

Z **DOMINIEM PUCHAŁĄ**
Z CENTRUM BADAŃ
NAD UPREDZENIAMI NA UW
ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

SEBASTIAN SŁOWIŃSKI: Co byś zrobił, gdybyś usłyszał, że na ulicy ktoś krzyczy do kogoś „pedale”?

DOMINIK PUCHAŁA: Pewnie bym się przestraszył, choć to, o czym będziemy mówić, nieco temu przeczy.

Istnieje coś takiego jak przejęta mowa nienawiści, czyli wykorzystanie przez daną grupę mniejszościową języka nienawiści w celach emancypacyjnych. Ludzie się „obrażają”, ale niekoniecznie idzie za tym agresja. Natomiast nie znając kontekstu sytuacji, słysząc słowo „pedał”, zwłaszcza w kraju silnie homofobicznym, jakim jest Polska, pierwszym odruchem jest strach, spodziewamy się bowiem, że to będzie atak werbalny.

No właśnie. Spytałem o twoją reakcję nie bez powodu, bo pokazujesz w badaniach, że mniejszości seksualne używają słów ze słownika mowy nienawiści. Wyraz „pedał” może mieć wydźwięk neutralny bądź nawet afirmatywny?

– Tak, i w większości sytuacji pomiędzy członkami środowiska LGBT taki wydźwięk faktycznie ma. Mowę nienawiści pierwotnie rozumie się jednak jako komunikat obraźliwy. Aby uznać takie słowo za nieobraźliwe, musi być spełnionych kilka warunków.

Przede wszystkim musimy wiedzieć, czy osoba, która używa takiego sformułowania, jest do tego uprawniona. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że jest osobą LGBT albo sojusznikiem. Kiedy tego nie wiemy, będziemy postrzegać słowo jako obelgę.

W Polsce ze słowem „pedał” nie jesteśmy na takim etapie jak ze słowem „queer”, które przeszło drogę od słowa obraźliwego do całkiem neutralnego czy nawet afirmującego. Proces przejmowania słów jest powolny, ale wydaje się – to wynika z moich badań – że używanie ich także w Polsce przez osoby LGBT powoduje, że są odbierane jako mniej obraźliwe niż zwykłe obelgi.

I co w związku z tym? To jest proces neutralizacji mowy nienawiści? W listopadzie rząd przyjął projekt Ministerstwa Sprawiedliwości uwzględniający mowę

nienawiści m.in. ze względu na orientację seksualną. Skoro ona może być neutralizowana, to może nie ma sensu jej kryminalizować?

– Nie, należy ją kryminalizować, ponieważ w większości przypadków jest nienawistna i też nie do końca uważam, że przejmowanie jej ma tylko pozytywne skutki. Są trzy motywacje używania tego przejętego języka. Każda może mieć potencjalnie inne konsekwencje.

Po pierwsze, osoby LGBT chcą wzmacniać solidarność pomiędzy sobą, dlatego tworzą własny język, na który składa się także język dotychczas uznawany za obraźliwy. Przy czym tylko one mogą go używać tego języka, bo jeśli zrobi to ktoś inny, odbiorą to jako obelgę. To rodzaj slangu sprzyjający budowaniu tożsamości.

Po drugie, przejęty język jest elementem poczucia kontroli. W sytuacji gdy dookoła jest mowa nienawiści, przejęcie języka nienawiści jest swoistym odzyskaniem władzy nad nim.

Trzecia motywacja to motywacja, którą określam jako humorystyczną. Parodiując

język homofobiczny, możemy go rozbrajać, używać w sposób ironiczny.

Ten pierwszy czynnik, autoidentyfikacyjny, można przyrównać do amerykańskiego słowa „nigga”? Jest tu oczywiście to ryzyko, że używają go rasiści, argumentując, że przecież czarni sami się tak określają. To nie jest rodzaj zezwalania na obrażanie?

– W momencie, w którym słuchamy przejętej mowy nienawiści, czyli języka obraźliwego używanego przez same mniejszości, to bardziej odważliwamy się na zwykłą mowę nienawiści. Chyba że mamy już liberalne poglądy i wspieramy mniejszości. I to wynika z moich badań. Gdy słyszymy, że dwójka gejów mówi do siebie „pedale”, to później użycie tego słowa w sytuacji agresywnej oceniamy jako mniej obraźliwe.

To z kolei przekłada się na to, że mamy większe uprzedzenia w stosunku do osób LGBT. Powiedziałbym zatem, że przejmowanie mowy nienawiści jest indywidualnym sposobem radzenia sobie mniejszości, natomiast niekoniecznie pomaga im to społecznie. Może mieć sporo negatywnych konsekwencji.

Czy to nie izoluje tych grup, które tak konstruują swój język? To bardzo wsobny socjolekt, do użycia którego prawo ma jednak wąska część społeczeństwa. To element emancypacji czy autoidentyfikacji, która oddziela osoby LGBT od języka całej wspólnoty?

– Uważam, że w ramach danych grup to jest dobre, bo buduje poczucie solidarności. I tożsamości. Natomiast społecznie faktycz-

Parodiując język homofobiczny, możemy go rozbrajać, **używać w sposób ironiczny**

nie jest to izolujące. Jest natomiast jeszcze inne ryzyko. Gdy osoby LGBT używają języka obraźliwego skierowanego do samych siebie w sposób prześmiewczy, to okazuje się, że te same osoby są mniej skłonne, aby działać na rzecz swojej mniejszości.

To znowu wynik badań, a nie luźna obserwacja. Czyli takie osoby są mniej skłonne, aby iść np. na demonstrację czy podpisać apel. Może być tak, że jeśli poradzimy sobie na poziomie jednostkowym, m.in. poprzez ironizację, nie będziemy czuli potrzeby do obiektywnej zmiany statusu osób LGBT w kraju.

To trochę sytuacja, kiedy ktoś uporał się z prywatną traumą i cynicznie patrzy na osoby mierzące się z tym samym. Nie ma ochoty systemowo przeciwdziałać czy zapobiegać wypadkom, które jego spotkały. – Miecz obosieczny. Z jednej strony taki język może pomagać jednostkom, a z drugiej wcale nie polepszać sytuacji całej grupy. Nie wiemy, co przeważa; może stać się tak, że konsekwencje będą głównie pozytywne. Trudno teraz jednoznacznie oceniać.

Wydaje mi się, że rozmawiając o przejętym języku nienawiści, rozmawiamy o czymś całkowicie niejednolitym. Nie wierzę do końca w to, że „queer” i „n-word” mają ze sobą dużo wspólnego – jak się przypuszcza. Jedno i drugie nazywamy przejętą mową nienawiści, ale pamiętajmy, że „queer” jest pozytywnym słowem, a „n-word” nigdy się nim do końca nie stało. „N-word” jest zarezerwowane wyłącznie dla konkretnej grupy i nie jest zneutralizowane jak „queer”.

Zamiast „nigga” mówisz „n-word”. Cemu? – Żeby właśnie nie użyć tego słowa. To, że istnieje ten odpowiednik, też coś mówi – że słowo, które się pod nim kryje, nie jest neutralne, więc używamy zastępnika.

Ale wiesz, że większość ludzi nie wie, co to znaczy, i nie rozumie, czemu tak to nazywać? – Bo „nigga” to obraźliwe słowo i my, nienależący do tej grupy mniejszościowej, możemy posługiwać się zastępnikiem, żeby opisać pewne zjawiska językowe, nie powielając mowy nienawiści.

Rozumiem, ale jednak używasz słowa na „n”. Jak byśmy się czuli, gdyby nas opisywali słowem na „p”? Czy to nie jest gorsze niż zwykle „pedale”? Przecież w słowie na „n” czy „p” jest zaszyty jakiś ogromny strach wypowiedzenia jakiegoś słowa. I nie mówimy o homofobach, ale o sojusznikach, którzy się boją scancelowania, wymazania. Czy przejmowanie mowy nienawiści nie buduje kultury strachu mówienia pewnych słów i nie umacnia sztucznej poprawności politycznej? – To ciekawe. W pewnym sensie masz rację, ale to dotyczy tych słów, które nie przeszły jeszcze pełnego procesu przejęcia i nie stały się neutralnym elementem wspólnego języka. Słowa „queer” nikt już nie boi się używać.

Ale akurat pojęcie „queer” jest nadużywane. Albo jest ironiczne, albo w większości przypadków nic nie znaczy. To samo ze słowem „performatywne” – wszystko dziś może być performatywne. Na przykład ten wywiad. I co to znaczy? Nic. Więc nie jestem pewien, czy neutralizacja tego słowa coś dała. Raczej na odwrót. – Może poza wyjątkiem teorii i tego, jak jest wykorzystywane w badaniach.

Ale ja mówię o społecznej praktyce. „Queer” nie ma nic wspólnego ze swoim pierwotnym znaczeniem, to bardzo często wydmuszka. Ile znasz nic niewartych tekstów naukowych, w których ktoś się zajmuje np. autoentografią komarów z perspektywy queerowej? – Tak, to jest nadużywane, ale pamiętajmy, że sama teoria queer jest ważna. I wciąż możemy znaleźć teksty, w których „queerowanie” coś jednak wnosi.

Wróćmy do sytuacji, w której ktoś mówi o osobach LGBT jako o tych na „p”. Może nie ma sensu tego odczarowywać i po prostu mowę nienawiści uznać za nienawistną, a nas nazywać: geje, lesbijki, osoby biseksualne, transpłciowe. Czy tak nie byłoby prościej? To może generować sytuację, w której ludzie będą bali się do nas zwrócić w jakiś sposób.

– Wydaje mi się, że jeśli chodzi o słowo na „n”, to jest ono używane w kontekście tego, jak inni obraźliwie mówią, a nie po to, żeby obraźliwie czy neutralnie zwrócić się do osób czarnych. To ma sugerować wykorzystanie mowy nienawiści, bez jej powielenia. Pełne i spełnione przejęcie mowy nienawiści byłoby wtedy, gdyby ludzie nie bali się używać danego słowa, bo dla większości społeczeństwa nie byłoby obraźliwe. To byłaby całkowita neutralizacja. To, że wciąż mówimy o „słowie na »n«”, pokazuje, że to przejęcie się po prostu nie udało; buduje solidarność wśród czarnych, ale to – wydaje się – tyle.

To powoduje, że to Butlerowskie rozbrajanie słów się nie powiodło i stawia pod dużym znakiem zapytania te wszystkie queerowe teorie języka i przejmowania słów nienawiści. Bo skoro wciąż jest słowo, którego można użyć jako broni, można nim kogoś obrazić, to nie zostało ono rozbrojone.

Czyli nie chodzi tylko o przejęcie na potrzeby wąskiej grupy i jej socjolektu, ale aby zostało włączone w jej obręb, tam rozbrojone, a następnie zwrócone społeczeństwu jako słowo neutralne? – Tak, to jest idea. Jeśli poszukać, w ilu przypadkach ta idea doszła do skutku, to pewnie wymienimy sobie tylko słowo „queer”. To pokazuje, że przejmowanie mowy nienawiści nie jest tak kolorowe, jak Judith Butler czy inne teoretyczki queeru próbują pokazać.

Może w ogóle nie jest, skoro, jak sam mówiłeś, dodatkowo osłabia zaangażowanie społeczne i znieczula na obiektywną sytuację mniejszości? – Są tacy ludzie, których to izoluje, ale jednocześnie zapewnia im pewną indywidualną autonomię w społeczeństwie tak homofobicznym jak Polska. Tacy ludzie nie mają potrzeby wpływania na obiektywną i ogólną sytuację osób LGBT, bo liczy się dla nich ich własny status, i trzeba zrozumieć, że dla nich walka kończy się wraz z ich własnym dobrostanem. W takich pojedynczych procesach ten język pomaga, znieczula, pozwala ironizować i przetrwać.

Tego rodzaju indywidualne praktyki są promowane w USA, gdzie wszyscy boją się jakiegokolwiek „cenzury”, i systemowych zmian, w tym ochrony prawnej przed mową nienawiści. Natomiast patrząc na badania, mam wątpliwości, czy to faktycznie skuteczna strategia.

A myślałem, że będziemy przewrotnie rozmawiać o tym, jak to emancypacyjnie jest mówić o sobie per pedal.. – Wiesz, trochę to jest emancypacyjnie, ale tylko w tym indywidualnym planie. Mowę nienawiści trzeba zwalczać poprzez m.in. kryminalizację i edukację. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Dominik Puchała

● doktorant w Centrum Badań nad Uprzedzeniami na Uniwersytecie Warszawskim. Związany z Instytutem Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Trzykrotnie otrzymał stypendium MEiN za znaczące osiągnięcia naukowe. Zajmuje się mową nienawiści i ruchami skrajnie prawicowymi.

Rocky vs. Apollo

Krótko mówiąc, „nic” Kononowicza i „nic” Nawrockiego to są dwa różne „nice”.



Michał Rusinek

D oczekaliśmy się już hasła kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego, czekamy wciąż na hasła pozostałych kandydatów i kandydatki. Jak na razie tylko Karol Nawrocki zaprezentował coś w rodzaju hasła przewodniego. A może i – niechący – coś w rodzaju aż dwóch haseł.

Pierwsze z nich brzmi: „Nie uważam nic”. W ten sposób odpowiedział na pytanie dotyczące sprawy zbiegłego posła Marcina Romanowskiego. Komentatorzy niesłusznie skojarzyli tę wypowiedź ze słynną frazą Krzysztofa Kononowicza, który w 2006 roku – startując w wyborach na prezydenta Białegostoku – powiedział, że zależy mu na tym, „żeby nie było bandyctwa, żeby nie było złodziejstwa, żeby nie było niczego”.

Owszem, obie wypowiedzi łączą skupienie na tej samej kategorii filozoficznej, jaką jest nicność. Przy czym Nawrocki lokalizuje ją we własnej świadomości, Kononowicz zaś – w rzeczywistości. Nie wiadomo, czy w rzeczywistości Białegostoku, Polski, czy też w ogóle wszechświata, który jego zdaniem powinien niebawem zaniknąć.

Filozofowie od zarania dziejów zmagali się z problemem niebytu. Parmenides uważał go za pojęcie puste i wewnętrznie sprzeczne. Św. Tomasz z Akwinu – za kategorię czysto teoretyczną. Dla Hegla był antytezą bytu, a więc elementem koniecznym do stawiania się realności jako syntezy. Dla Heideggera jest jednym z centralnych pojęć filozofii; to raczej był jest zjawiskiem powierzchownym, bo na poziomie ontologii fundamentalnej istnieje wyłącznie nicność. Można więc powiedzieć, że nicność Kononowicza ma właśnie taki, ontologiczny charakter.

Nicość Nawrockiego natomiast bliższa byłaby antropologicznemu pojmowaniu tego pojęcia przez Sartre’a, który uważał, że urealnienie nicości następuje w człowieku. Życie człowieka jest przecież nicością: wylaniamy się z niebytu tylko na chwilę, nasza egzystencja zawieszona jest w ontologicznej i etycznej próżni, jesteśmy napiętnowani niedającym się pokonać brakiem, także brakiem wiedzy i opinii o świecie. A więc i brakiem sądów o Marcinie Romanowskim.

Krótko mówiąc, „nic” Kononowicza i „nic” Nawrockiego to są dwa różne „nice”. „Nie uważam nic” Nawrockiego przypomina raczej Sokratejską frazę: „Wiem, że nic nie wiem”, która mogła obić się o uszy doktorowi nauk humanistycznych. W czasie przemówienia w krakowskiej Hali Sokoła, kiedy to ogłoszono kandydaturę Nawrockiego, powiedział on – dość zabawnie gestykulując, jakby trzymał w obu dłoniach batuty; widocznie zwrócono mu uwagę, że

by nie wygrażał pięściami – „Szedłem do was przez czas pracy intelektualnej, setki, a może tysiące książek”. Jest to zdanie wysoce poetyckie: oto wyobrażamy sobie kandydata Nawrockiego jako niestrudzonego piechura, który idzie ku najwyższemu urzędowi w państwie, a więc się wspina. Ale idzie nie tak, jak szedłby każdy z nas: drogą. On idzie przez czas.

Ponieważ jednak wędrowanie przez czas jest pewną abstrakcją, a więc trudne jest do wyobrażenia, Nawrocki w drugiej części zdania przedstawia siebie jako idącego „przez [...] setki, a może tysiące książek”. To już łatwiej sobie wyobrazić, bo posługujemy się przecież metaforą przedzierania się przez teksty, zwłaszcza jeśli stawiają nam poznawczy opór. On jednak idzie przez książki, jakby nimi usłana była jego droga na szczyt. Nie można więc wykluczyć, że Sokratejskie zdanie: „Wiem, że nic nie wiem”, nie tyle obilo się Karolowi Nawrockiemu o uszy, ile zachręściło mu pod butem. I teraz nie uważa on nic.

Być może jednak Nawrocki po prostu nie chce być celebrytą, bo celebryta to ktoś, kto musi mieć zdanie na każdy aktualny temat. Nawrocki – nie ma. I należy to, jego zdaniem, docenić. Zarazem jednak posłużył się niedawno innym hasłem, z pewnością okupionym potem i zarwanymi nocami jego doradców i współpracowników.

Brzmi ono: „Now, Rocky”, czyli jakby z angielska (przynajmniej w połowie). Pojawia się w nim odniesienie do dyscypliny sportowej uprawianej i promowanej przez kandydata obywatelskiego popieranego przez PiS, a to za sprawą przydomka Roberta „Rocky’ego” Balboa, fikcyjnej postaci zagranej przez Sylvestra Stallone w kultowych filmach z serii „Rocky”. A więc jednak – uklon w stronę świata celebrytów.

Warto przy tej okazji przypomnieć fabułę tych filmów, a przynajmniej pierwszego z nich. Oto mamy chłopca mieszkającego w Filadelfii, który dość wcześnie kończy edukację. Ojciec radzi mu więc, żeby zaczął używać nie mózgu, ale ciała. Rocky zostaje więc bokserem i pracuje dla lokalnego gangstera Tony’ego Gazzo. Właściwie zaprzepaścił już swoją karierę, ale przypadek sprawia, że ma stanąć do walki z mistrzem świata wagi ciężkiej o pseudonimie Apollo.

Nikt nie wróży Rocky’emu wygranej. Wierzy w niego tylko jego trener, który zmusza go do ciężkich treningów. W czasie walki to Apollo pada pierwszy na deski, ale mimo wszystko wygrywa minimalnie na punkty. Rocky mimo porażki czuje się moralnym zwycięzcą.

W tej fabule są dość niebezpieczne analogie dla Karola Nawrockiego, który znowu będzie musiał się tłumaczyć, że nic go nie łączy z żadnymi gangsterami. Jest też zasadnicza różnica: nie zakończył edukacji na szóstej klasie szkoły podstawowej, ale zrobił doktorat, „idąc przez tysiące książek”. Są też analogie do walki o fotel prezydencki – może nie z mistrzem świata, ale z zawodnikiem, który ma już doświadczenie polityczne i jak na razie jest faworytem bukmacherów. Jest także coś w rodzaju wróżby: jeśli przystojny jak Apollo kandydat Koalicji Obywatelskiej wygra w drugiej turze na punkty, to Nawrocki i tak ogłosi się moralnym zwycięzcą tej walki. A to z pewnością nie będzie ostatnia jego walka. Przypomnijmy, że filmów o Rockym Balboa było – jak do tej pory – aż sześć. ●

Jakub Herold

Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych obserwowano z wielką uwagą również w kontekście ukraińskim. Stopień zaangażowania Waszyngtonu w konflikt po stronie Ukrainy ma dla niej charakter wręcz egzystencjonalny. Warto przypomnieć stres Ukraińców związany z wielomiesięcznym wstrzymywaniem przez senat akceptacji wielomiliardowego pakietu pomocowego Ukrainy.

Od dłuższego czasu pobrzmiwała również złowieszcza fraza kandydata Republikanów: „Zakończę wojnę w 24 godziny”. Według przecieków z otoczenia prezydenta elekta przedstawiane są różne scenariusze. Jest w nich mowa o: zamrożeniu konfliktu wzdłuż linii frontu, utworzeniu strefy zdemilitaryzowanej, oddaniu Rosji zajętych terytoriów, odmowie przyjęcia Ukrainy do NATO przez następne 20 lat. Równolegle padają zapewnienia o możliwości szkolenia żołnierzy oraz „innego wsparcia” Ukrainy, choć główny ciężar mają wziąć na siebie: Niemcy, Polska, Francja i Wielka Brytania. Inne źródła podają, że USA nie zaprzestaną dostaw broni i amunicji.

Niezależnie od warunków pokoju czy zamrożenia konfliktu po ustaniu działań wojennych nad Dnieprem pojawi się kwestia wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Zwłaszcza że Donald Trump może warunkować swoje decyzje wyłonieniem nowej reprezentacji politycznej w Kijowie. Prezydent elekt jest świadom, jak jego wybór przyjęto nad Dnieprem – a przyjęto bardzo chłodno. Do tego część Republikanów, właśnie alt-rightowa i trumpistowska, upiera się, że wybory powinny się odbyć w 2025 roku niezależnie od sytuacji. Trump nieraz wzywał Zelenskiego do pertraktacji z Putinem i zakończenia wojny, która pociąga ofiary i generuje koszty (w domyśle – dla amerykańskiego podatnika).

Wie też, że Zelenski w pewien sposób grał z Bidenem, który nie mógł sobie pozwolić na kolejną przegraną po żenującej ewakuacji z Afganistanu – a tak byłoby odebrane ograniczenie pomocy dla Ukrainy. Ponoć w jednej z rozmów telefonicznych prezydent Ukrainy stanowczym tonem wymieniał, co ma dostać od Stanów Zjednoczonych. Doszło do spięcia. Trudno sobie wyobrazić, że Trump pozwoli na podobne traktowanie.

Kadencje Rady Najwyższej Ukrainy i Wołodymyra Zelenskiego upłynęły w 2023 i 2024 roku, lecz zapisy konstytucji Ukrainy oraz ustawy o prawnym statusie stanu wojennego zakazują organizacji wyborów parlamentarnych w reżimie stanu wojennego, który jest automatycznie przedłużany od 24 lutego 2022 r. W ubiegłym roku przedstawiciele wszystkich sił w parlamencie podpisali porozumienie o organizacji wyborów sześć miesięcy po jego ustaniu.

Obecnie żadna z sił nad Dnieprem nie prowadzi kampanii wyborczej sensu stricto. Ekspersi są zgodni, że rozpoczęcie takowej może się okazać politycznym falstartem. Zgodnie z badaniami opiniotwórczego Centrum Razumkowa z czerwca jedynie 22 proc. respondentów uważało, że Ukraina powinna przeprowadzić wybory przed zakończeniem wojny. Organizacje pozarządowe też nieraz jednoznacznie wymagały dezaprobatę wobec głosów o konieczności rozpisania wyborów bez zważania na wojenne obostrzenia w tej kwestii, mglście tłumaczonych troską o ciągłość procedur demokratycznych.

Tym niemniej warto już teraz przyjrzeć się bliżej prognozą ukraińskich politologów, działaczy społecznych i naukowców dotyczących postwojennej konfiguracji Rady Najwyższej. Wszyscy są praktycznie zgodni, że zasiądzie w niej liczna reprezentacja wojskowych, weteranów i wolontariuszy. Kwestią sporną będzie skala zjawiska.

Prof. Jurij Ostapiec, wybitny ekspert od systemu partyjnego Ukrainy, w artykule „Transformacja systemu partyjnego Ukrainy w okresie postwojennym” zaznacza, że jednym z elementów nowej sceny politycznej będą spersonifikowane, „imienne” partie powiązane z ukraińskimi wojskowymi. Pytanie, jaką odegrają na niej rolę, bo profesor Uniwersytetu Użhorodzkiego mówi mi, że ukraińskich wojskowych zasiadających dotychczas w parlamencie cechuje brak zaangażowania w prace Rady Najwyższej.

Z kolei Olga Babkina, kierowniczka wydziału nauk o polityce Państwowego Uniwersytetu im. Drahomanowa, w artykule „Reżim polityczny Ukrainy przed

stanem wojennym i podczas niego” dowodzi, że w dobie kryzysu zaufania do Rady Najwyższej i instytucji państwowych oraz w obliczu indolencji frakcji parlamentarnych w postwojennym parlamencie może się zarysować podział na partie cywilne oraz wojskowe, które będą zasilane żołnierzami Sił Zbrojnych Ukrainy, Państwowej Służby ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, Gwardii Narodowej i wolontariuszami z organizacji pozarządowych. Dla tych podmiotów na 100 proc. znajdzie się miejsce w parlamencie, bo sprzyja im wiele czynników – stabilne struktury i zmiany w finansowaniu partii politycznych związane z dezoligarchizacją Ukrainy.



Wybory w Ukrainie

GENERALOWIE. wygrywają

stanem wojennym i podczas niego” dowodzi, że w dobie kryzysu zaufania do Rady Najwyższej i instytucji państwowych oraz w obliczu indolencji frakcji parlamentarnych w postwojennym parlamencie może się zarysować podział na partie cywilne oraz wojskowe, które będą zasilane żołnierzami Sił Zbrojnych Ukrainy, Państwowej Służby ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, Gwardii Narodowej i wolontariuszami z organizacji pozarządowych. Dla tych podmiotów na 100 proc. znajdzie się miejsce w parlamencie, bo sprzyja im wiele czynników – stabilne struktury i zmiany w finansowaniu partii politycznych związane z dezoligarchizacją Ukrainy.

Politolog i historyk dr Walerij Majdaniuka w artykule „Które partie polityczne przetrwają wojnę w Ukrainie?” ocenia, że włączenie na listy wyborcze żołnierzy, komendantów i wolontariuszy wspomagających walczących będzie stanowiło istotny element nowej układanki.

Ze sceny politycznej mogą całkowicie zniknąć partie Batkiwszczyna i Holos. Politycznej śmierci tak doświadczonej i rozpoznawalnej graczy jak Julia Tymoszenko jeszcze nie można wieszczyć, jednak ostatnio jej aktywność jest marginalna. Zajęła stanowisko w kwestii systemu podatkowego i własności ziemskiej – dość skromnie jak na jedną z najbardziej charzmatycznych postaci w ukraińskiej polityce lat 90. i początku XXI wieku. Do tego kurczy się jej tradycyjny elektorat, czyli mieszkańcy miasteczek i wsi oraz osoby starsze. Cieniem na reputacji liderki Batkiwszczyny kładzie się też jej wyjazd do córki Jewgienii do Emiratów Arabskich na początku wojny.

Holos stworzył wokalista słynnego zespołu rockowego Okean Elzy, lwowiak Światosław Wakarczuk. W ostatnich wyborach parlamentarnych jego partia zdobyła 5,8 proc. głosów, głównie dzięki zachodniej Ukrainie. Rockman w dużej mierze sukces za-

wdzięcza członkom Ukraińskiej Halickiej Partii, którzy zmienili barwy. Odejście Wakarczuka z polityki zbiegło się z wybuchami konfliktów między grupami jego posłów i kłótniami w lokalnych komórkach partyjnych.

Były prezydent Petro Poroszenko i jego Europejska Solidarność swoją działalność wolontariacką będą próbować przekuć na sukces polityczny, lecz nowe partie wojskowo-wolontariackie mogą odebrać mu część tradycyjnego elektoratu.

Partia Sługa Narodu – polityczne (choć w znacznie mniejszym stopniu niż kiedyś) zaplecze Zelenskiego – przejdzie rebranding i reorganizację, a jej skład osobowy ulegnie wymianie. Według Majdaniuka w partii już dawno omawia się scenariusz pozyskania topowych, rozpoznawalnych komendantów wojskowych. W ten sposób prezydencka partia, z której wywodzą się kierownicy centralnych organów państwa, może uciec przed krytyką i rozliczeniami z nieprzygotowania kraju do wojny oraz wadliwym i skorumpowanym systemem mobilizacji.

O parlamentarnych i prezydenckich aspiracjach ukraińskich wojskowych oraz weteranów może świadczyć zeszłoroczny kongres Stowarzyszenie Przedsiębiorców Weteranów ATO (Antyterrorystyczna Operacja).

1 marca w Kijowie zebrało się 550 weteranów i byłych żołnierzy, obecnie przedsiębiorców, delegatów wielu organizacji pozarządowych. Podpisali memorandum, w którym podkreślili wkład przedsiębiorców w ukraiński budżet – 75 proc. – oraz fakt, że 200 tys. z nich walczyło lub walczy na froncie. Ale istotniejsze wydają się zarzuty wobec urzędników określonych mianem kolaborantów i zdrajców o „niszczenie ukraińskiego biznesu”.



Partia generała
Załużnego, Partia
3. Szturmowej
Brygady i Partia
Batalionu Azow.
Będzie trzęsienie ziemi
w ukraińskiej polityce?

Za mundurem
wyborcy sznurem

45 proc.

Ukraińców – już po wojnie – zaufałyby partii, której członkowie wywodziliby się ze środowisk wojskowych

93 proc.

takim zaufaniem cieszą się Siły Zbrojne Ukrainy

81 proc.

Ukraińców nie ufa obecnym partiom politycznym

94 proc.

takie poparcie ma gen. Walerij Załużny, zdymisjonowany głównodowodzący z pierwszej, najtrudniejszej fazy wojny z Rosją

66 proc.

Ukraińców poparłoby Kyrytę Budanowa, szefa wywiadu wojskowego

15 proc.

tylko tylu Ukraińców narzeka na mobilizację. Bardziej martwią ich korupcja (51 proc.) i podwyżki ceny żywności (43 proc.)

22 proc.

to najmniejszy elektorat negatywny – ma go generał Walerij Załużny

52 proc.

to największy elektorat negatywny – ma go prezydent Zełenski

83 proc.

wyborców oddałoby głos na kogoś nowego

27 proc.

chce głosować na już istniejące partie

Największy zarzut działacza dotyczy braku spójnej polityki skierowanej do weteranów próbujących odnaleźć się na rynku pracy, leczenia – zwłaszcza chorób psychicznych (tu Pozniak chwali „jedy-ny działający” program zaopatrzenia weteranów w protezy) – czy pochówków wojskowych, które po- winny być uroczyste, a nie zawsze są. Nie ma pro- gramów adresowanych do weteranów przedsiębior- ców wpisujących się w szerszą politykę skierowa- ną do nich. Brakuje też szkoleń policjantów i urzęd- ników – zwłaszcza funkcjonariusze, którzy nie wie- dzą, jak rozmawiać i traktować weteranów, z których wielu cierpi na zespół stresu pourazowego, są przy- tłoczni sytuacją i zdarza się, że w miejscach publicz- nych czy w domu reagują nieadekwatnie do sytuacji, np. agresją.

– W sytuacji, w której cały naród walczy, to spo- łeczeństwo powinno się adaptować do weteranów, a nie na odwrót – podsumowuje Pozniak i wylicza: przedsiębiorcy to dzisiaj najliczniejsza grupa wśród wojskowych (13 proc. walczących). Profil przecięt- nego przedsiębiorcy na froncie się zmienił, teraz po- szli walczyć naprawdę duzi biznesmeni. Część z nich straciła dzieci na froncie. Walczy mały i wielki biznes.

Pytam, czy nie boi się, że wraz ze zdobyciem przez wojskowych choćby części władzy może zaistnieć po- kusa ograniczenia demokracji. Pozniak jest przekon- any, że to właśnie wojskowi będą nowym filarem demokracji w Ukrainie, gdyż, po pierwsze, w dużej mierze wojskowi są niezawodowi, w cywilu wywo- dzą się z niemal wszystkich grup zawodowych i spo- łecznych. A po drugie, są bardzo wyczuleni w kwestii sprawiedliwości społecznej, a to kluczowe w ukra- ińskich realiach. Ta wrażliwość ma być „nieocenio- nym orężem” w już trwającej dezoligarchizacji pań- stwa. Podobnie sądzi zresztą Oleksij Koszel, szef Ko- mitetu Wyborców Ukrainy, zasłużonej organizacji watchdog monitorującej ukraiński parlamentaryzm. Komitet od 1994 r. obserwuje i analizuje procesy wy- borcze nad Dnieprem, monitoruje prace Rady Naj- wyższej, edukuje i zabiega o przejrzystość działań or- ganów publicznych.

Jeśli Pozniak czegoś się obawia, to zbyt szybkie- go podejmowaniu decyzji, bo przyzwyczajeni do ko- nieczności szybkiego reagowania weterani mogą po- czątkowo mieć problem z pracą zgodną z długofalo- wą strategią.

Ale wszystko powinno być dobrze, bo przecież – argumentuje – „w dojrzałych demokracjach elity polityczne wywodzą się w dużej mierze ze społecz- ności wojskowych i weteranów. W Wielkiej Brytanii wszyscy politycy przeszli służbę wojskową. W USA walczyła cała dynastia Bushów, w II wojnie świato- wej walczył Reagan, w Wietnamie senator McCain. Aż 30 proc. listy najbogatszych »Forbesa« to ludzie po akademii wojskowej West Point. W Izraelu nie jest możliwe zajęcie wysokiego stanowiska państwowego bez odbycia służby wojskowej”.

Czy jego krytyka wpisuje się w działalność opo- zycyjną wobec władzy, a szczególnie prezydenta? Pozniak zaprzecza. Docenia, że Zełenski wykonał gest dobrej woli i utworzył przy Radzie Bezpieczeń- stwa Narodowego i Obrony Ukrainy radę biznesu na czas stanu wojennego. Dzięki temu na kilka miesię- cy wprowadzono moratorium na kontrole i przeszu- kania.

Pozniak deklaruje, że nie zamierza tworzyć par- tii – „teraz” – choć nie ukrywa, że już dostaje propozy- cje połączenia sił od nowych inicjatyw politycznych, w tym od popularnego wolontariusza Serhija Prytu- ły. Ale decyzje będą podejmowane kolektywnie przez radę stowarzyszenia w odpowiednim momencie.

Z badania opinii publicznej Centrum Razumko- wa z lipca 2023 r. wynika, że 51 proc. respondentów w okresie powojennym zaufałyby partii, której człon- kowie wywodziliby się ze środowiska wojskowych. 26 proc. zaufałyby istniejącym partiom, 24 proc. – wywodzącym się ze środowiska wolontariuszy, 18,5 proc. – z organizacji społeczeństwa obywatelskie- go, 17 proc. – z kręgu humanistycznej bądź technicz- nej inteligencji, a 8 proc. dałoby kredyt zaufania no- wym politykom ze środowiska biznesowego.

Badania pokazały również, że największym za- ufaniem społecznym cieszą się Siły Zbrojne Ukrainy – 93 proc., bataliony ochotnicze – 87 proc., organiza- cje humanitarne – 83 proc. Co ciekawe, jednocześnie obecnym partiom politycznym nie ufa 68 proc. re- spondentów. Gorszy wynik ma jedynie system sądo- wy – 70 proc.

Świeższe badanie z 21-27 marca zeszłego roku po- kazuje, że choć nieco mniejszym, to wciąż najwięk-

„Chcemy być wysłuchani przez tych urzędników, którzy, żyjąc na nasz koszt, postanowili zniszczyć przedsiębiorczość w Ukrainie. Zniszczenie gospodar- ki oznacza zniszczenie armii i państwowości. Nie po- zwolimy na to! Dziś Ukraina musi być bardziej zjed- noczona niż kiedykolwiek!!! Tych, którzy bezprawni- mi działaniami będą popychać nas do różnych prote- stów, będziemy uważać za zdrajców i kolaborantów, którzy chcą zniszczyć kraj od wewnątrz”.

Wezwanie do rozliczeń i lustracji aktywności woj- skowej w obronie Ukrainy zaczyna polaryzować ukraińskie społeczeństwo. Oś podziału przebiega po linii: walczył – nie walczył, pozostał – wyjechał, zo- stał zmobilizowany – uniknął poboru, stając się tzw. uchylantem.

Podczas spotkania w Kijowie z Serhijem Pozna- kiem – prezesem Stowarzyszenia i jednocześnie po- rucznikiem Gwardii Narodowej, 50-letnim finansistą z dyplomem MBA, współwłaścicielem firmy inwest- ycyjnej Finstream – starałem się wysondować, na ile ta inicjatywa stanowi opozycję wobec władzy i czy mo- że stanowić załazek nowego ugrupowania polityczne- go w Ukrainie.

Pozniak – który walczył w latach 2014-16, wrócił do służby w momencie wybuchu pełnoskalowej woj- ny i mimo utraty nogi na froncie wciąż jest aktyw- ny wojskowo, szkoląc snajperów – prezentuje swo- ją organizację jako pozarządową platformę zrzesza- jącą weteranów i jednocześnie przedsiębiorców wal- czących o swoje prawa. Kijowskie centrum stowarzy- szenia zawiaduje pracą regionalnych liderów, którzy wchodzi w koalicję z innymi organizacjami wetera- nów. Współpracuje też z samorządami, prowadząc seminaria online o zakładaniu i prowadzeniu bizne- su oraz pomagając weteranom w poszukiwaniu pra- cy. Flagowy projekt – pod patronatem amerykańskiej rządowej agencji pomocowej USAID – dotyczy zago-

• **Prezydent Wołodymyr Zełenski i generał Oleksander Syrski (z prawej) na stanowisku dowodzenia armii ukraińskiej w Kupiańsku w obwodzie charkowskim**

FOT. SERWIS PRA- SOWY PREZYDENTA UKRAINY/AFP/EAST NEWS

spodarowania weteranów w rolnictwie, kluczowej gałęzi ukraińskiej gospodarki.

Związek prowadzi działalność szkoleniową i po- mocową dla członków, wspierając finansowo działal- ność przedsiębiorczą. Są zapraszani na ekskluzywne wydarzenia w rodzaju gali „Forbes” Ukraina. Stowa- rzyszenie emituje nawet – przy wsparciu Kredoban- ku (wchodzącego zresztą w skład grupy kapitałowej PKO BP) akcje i obligacje. Atrakcyjnie oprocentowane – 6 proc. w skali roku – do tej pory zebrały 11 mln hry- wien (ok. 1,5 mln zł), z czego sfinansowano 12 przed- sięwzięć biznesowych weteranów.

Pozniak twierdzi, że trwa kampania urzędników i struktur siłowych skierowana przeciw nim – konfi- skaty majątku na cele wojskowe, przeszukania biur, zajmowanie aktywów, blokowanie kont. Tłumaczy, że gdy przedsiębiorcy w dużej mierze stanowią o bu- dżecie i walczą o swój kraj, takie działania są skanda- liczne, więc weterani muszą się bronić, a najlepiej to robić przez działalność polityczną. Zauważa, że usta- wa o weteranach pochodzi z 1993 r. i nie przystaje do obecnej, wojennej rzeczywistości – daje status wete- rana nie tylko nielicznym żyjącym żołnierzom II woj- ny światowej, ale też licznym grupom zawodowym; są np. weterani lotnictwa, weterani pracy.

*Serhij Pozniak, szef związku weteranów:
W dojrzałych demokracjach elity polityczne
wywodzą się w dużej mierze ze społeczności
wojskowych i weteranów. W USA walczyła cała
dynastia Bushów, w II wojnie światowej walczył
Reagan, w Wietnamie senator MacCain*

szym poparciem – 45 proc. – cieszyłaby się partia polityczna powstała w oparciu o woj-skowych. Przy okazji badanie prezentuje podział regionalny wyborców w tej kwestii: zachód kraju postawiłby na „partię wetera-nów” w 51 proc., na południu dałoby jej swój głos 48 proc. badanych, w centralnej Ukra-inie 43 proc., na wschodzie – 40 proc.

Równie ciekawą statystykę pokazuje Ki-jowski Międzynarodowy Instytut Socjologii, który rok temu w grudniu przebadal zaufa-nie Ukraińców do liderów ze sfer polityki, wojska i sektora społecznego.

Największym, bo 94-procentowym, cie-szył się głównodowodzący w pierwszej, naj-trudniejszej fazie wojny gen. Walerij Za-lużny (z którego dymisją zbiegł się czas ba-dania), drugie miejsce zajął szef wywia-du wojskowego Kyryło Budanow z wyni-kiem 66 proc., a trzecie prezydent Zelen-ski – 65 proc. Dalej byli wojenny wolontar-iusz Serhij Prytuła – 61 proc. i obecny głów-nodowodzący Zbrojnych Sił Ukrainy Olek-sandr Syrski.

Na przełomie listopada i grudnia gło-snym echem odbiły się w ukraińskich me-diach badania wykonane przez Centrum Społeczny Monitoring na zamówienie Ame-rican Political Services. Z badania „Ocena społeczno-politycznych nastrojów miesz-kańców Ukrainy” zrealizowanego mię-dzy 15 a 21 listopada wynika, że największy-mi społeczno-ekonomicznymi problemami Ukraińców są: korupcja (51 proc.), podwyżka cen produktów spożywczych (43 proc.), wy-sokie taryfy usług komunalnych (39 proc.). Co ciekawe, na zły poziom obrony kraju na-rzekalo jedynie 17 proc., a na mobilizację bli-skich do sił zbrojnych tylko 15 proc.

Największym zaufaniem społecznym wśród polityków cieszą się kolejno: Za-lużny (72 proc.), Budanow (55 proc.), Ze-lenski (44 proc.), Prytuła (38 proc.), Syrski (33 proc.). Warto zauważyć, że trzech z tej piątki nie jest politykami, przy czym naj-mniejszy elektorat negatywny – 22 proc. – ma niepolityk generał Zalużny, a najwięk-szy – 52 proc. – prezydent Zelenski. Insty-tucjami, które cieszą się największym za-ufaniem, są armia (90 proc.), wolontariat (80 proc.) oraz wywiad wojskowy (61 proc.). Prezydent Ukrainy jako organ cieszy się za-ufaniem 47 proc. badanych, 50 proc. mu nie ufa. Jeszcze gorszy wynik notuje biuro pre-zydenta – 27 proc. zaufania i 69 proc. braku zaufania. Zestawienie zamykają partie poli-tyczne, którym ufa 12 proc., a nie ufa 81 proc.

Jakie były przyczyny odwołania Zalużne-go z funkcji głównodowodzącego? Wołody-myrr Fesenko zauważa, że nigdy nie zostały przedstawione, choć wszyscy się domyślają.

Początkowo Zelenski był zadowolony z Zalużnego. Generał był mistrzem woj-ny obronnej i świetnie wpisywał się w wize-runek bohatera, na którego było zapotrze-bowanie społeczne. Można powiedzieć, że do momentu porażki zeszłorocznej kontro-fensywy ich relacje były modelowe i wbrew obiegowej opinii nie przeszkadzała jej wła-sna przestrzeń medialna – liczne wywiady i występy w telewizji – stworzona przez oko-liczności i osobistą charyzmę Zalużnego, w którą z czasem wszedł też szef wywiadu Kyryło Budanow.

Rzecz w tym, że Zelenski oczekiwał suk-cesów militarnych, których Zalużny nie mógł mu dostarczyć. Niewypowiedzia-nym argumentem przeciw generałowi by-ła klęska jesiennej kontrofensywy z 2023 r., z którą cały świat wiązał głębokie nadzieje. 22 brygady wyposażone w zachodnią broń oraz częściowo szkolone za granicą miały wyprzeć Rosjan z zajętych terenów. Dłaczego się nie udało, generał opowiedział w gło-snym wywiadzie w „The Economist”. To była kropla, która przelała czarę goryczy: nie sam fakt, że głównodowodzący szcze-rze mówił rzeczy niezupełnie zbieżne z ofi-cjalną propagandą, ale to, że wywiadu nie uzgodnił z biurem prezydenta.

Do tego nie było tajemnicą, że od pew-nego czasu Petro Poroszenko – jeden z naj-potężniejszych ukraińskich biznesmenów,

właściciel m.in. koncernu spożywczego Roshen, który został prezydentem po Maj-danie, prozachodniej rewolucji 2013/14 ro-ku i ucieczce putinowskiego prezyden-ta Wiktora Janukowycza, wielki przegra-ny wyborczej rywalizacji z komikiem, ak-torem i przedsiębiorcą medialnym Zelen-skim w 2019 r. – próbował zachęcić Zalużne-go do połączenia sił w postwojennej polity-ce. W tym układzie Zalużny miał zostać pre-zydentem, a Poroszenko premierem.

Kryzys trwał trzy miesiące i zakończył się dymisją Zalużnego. Według Fesenki for-mą nacisku na niego miało być wszczę-cie kryminalnej sprawy dotyczącej oddania Chersonia w pierwszych dniach wojny, za co w jakimś stopniu miał być odpowiedzial-ny. Wyjazd na ambasadorską placówkę do Wielkiej Brytanii był ultimatum – jeżeli zo-staniesz, możesz zostać oskarżony o zdra-dę państwową.

Trump wie, że Zelenski w pewien sposób grał z Bidenem. Może warunkować swoje decyzje wyłonieniem nowej reprezentacji politycznej w Kijowie

Do tego Zalużnemu wyciągnięto obro-nę pracy habilitacyjnej na niesławnej Ode-skiej Akademii Prawniczej, której rektorem jest Serhij Kiwałow, niegdyś szef Centralnej Komisji Wyborczej Ukrainy, odpowiedzial-ny za fałszerstwa w 2004 r., które dały zwy-cięstwo związanemu z Kremlu premie-rowi Janukowyczowi i skończyły się słynną pomarańczową rewolucją. Atmosfera wo-kół uczelni dodawała sugestywnego, choć – zważywszy na wojenne zasługi generała – niesprawiedliwego ciężaru zasadnym py-taniem o to, kiedy Zalużny znalazł czas na pisanie habilitacji.

Fesenko jest przekonany, że powstanie partia Zalużnego grupująca dużą część śro-dowiska wojskowych i to on będzie decydo-wał, którzy mundurowi będą musieli pró-bować zaspokoić ambicje na listach in-nych partii. A jednocześnie szybko zderzy się z polityczną rzeczywistością. Będzie po-trzebował ludzi, których da się delegować do rządu, i wtedy powstanie konieczność wchodzenia do koalicji – np. z liderem partii UDAR, popularnym merem Kijowa, byłym czempionem bokserskim Witalijem Kliczką – współtworzenia bloków z innymi partiami i szukania specjalistów z zakresu finansów czy oświaty w NGOs-ach.

Dyrektor Instytutu Światowej Polityki Jewhen Maħda dodaje, że dziś Zalużny ma ambicje, ale nie ma zaplecza, co jednak go nie dyskwalifikuje, bo gdy zechce, to je z ła-twością zdobędzie.

Wkrótce odbędzie się nieformalny kon-kurs na sponsora partii i spekuluje się, że Poroszenko będzie chciał go wygrać.

Oleksij Koszel przewiduje, że w przyszłym parlamencie wojskowi zajmą 50 proc. miejsc + 1. Przedstawia mi kilka scenariuszy uczestnictwa wojskowych w życiu politycz-nym Ukrainy:

Powstanie silna partia Walerija Zalużnego która zagospodaruje gros środowiska woj-skowych; wojskowi rozbiegą się po różnych

Wkrótce odbędzie się nieformalny konkurs na sponsora partii weteranów i Petro Poroszenko będzie chciał go wygrać

partiach; powstaną partie oparte na konkret-nych, rozpoznawalnych strukturach jedno-stek wojskowych (jak 3. Szturmowa Bryga-da czy słynny, niegdyś niezależny, ochotni-czy i nacjonalistyczny, dziś bardziej różnorod-ny i zintegrowany ze strukturami armii, lecz wciąż odrębny wizerunkowo Azow).

Według prof. Anatolija Romaniuka, dzie-kana politologii Uniwersytetu im. Iwana Franka, w przyszłym parlamencie znajdzie się miejsce dla 5-6 partii. Na pewno dla siły, którą stworzy Wołodymyr Zelenski – bo jest raczej pewne, że nie będzie chciał być dłużej łączony ze Sługą Narodu w obecnym kształ-cie i stworzy nowy projekt dobrze znaną metodą rebrandingu innej już istniejącej i mało znanej partii.

Co ciekawe, Romaniuk nie wyklucza, że w tym projekcie jakąś rolę może odegrać sam Zalużny. Bo choć powszechnie jest kre-owany raczej na oponenta niż na sojuszni-ka Zelenskiego w przyszłych wyborach pre-zydenckich, to ów może uznać, że bez obie-canego pełnego zwycięstwa w zmęczonym wojną kraju lepiej spełnić starą obietnicę, że będzie prezydentem jednej kadencji, wes-przeć Zalużnego i mieć wpływ na państwo za pośrednictwem popularnego partnera.

Do parlamentu dostanie się również ugrupowanie, którego liderem będzie Wi-talij Kliczko. Według agencji ratingowych w samym Kijowie lider partii UDAR może li-czyć na 30 proc. wyborców, czyli milion gło-sów. Do tego należy doliczyć wielu miesz-kańców regionu, którzy dojeżdżają do pracy i mają rodzinę oraz znajomych w Kijowie.

Jednocześnie prof. Romaniuk zauważa, że w Kijowie wytworzyła się grupa bizne-sowo-polityczna, która chce zmiany Klicz-ki i może rozpętać wokół niego kampanię czarnego PR-u. Jednym z argumentów, któ-ry wykorzystają, będzie głośna awaria czę-ści stołecznego metra, która była konse-kwencją niewłaściwej konserwacji.

Trzecią siłą będzie nowa partia jednocząca elektorat południowego wschodu Ukrainy. Bardzo długo specyfiką tej części kraju była przewaga języka rosyjskiego, rosyjskiej kul-tury oraz rosyjskiej/radzieckiej mentalności. To tam grupował się elektorat prorosyjskiej Partii Regionów, a po jej rozpadzie Opozycyj-nego Bloku i Opozycyjnej Platformy za Życie.

Wojna zmieniła wiele. Obecnie za ojczy-sty ukraiński język uważa 73 proc. mieszkań-ców regionu. Gdy jednak pyta się ich, jakim językiem posługują się na co dzień w domu, 30 proc. mieszkańców wschodu i 50 proc. południa wymienia rosyjski. To również część kraju, która najbardziej ucierpiała i głównie tam będzie realizowana odbudowa Ukrainy, więc kampania wyborcza w tych stronach będzie krążyć wokół tych kwestii.

Kto może stać się liderem takiej siły po-lytycznej? Na przykład były doradca sze-fa Biura Prezydenta Ukrainy Ołeksij Aresto-wycz, który jest jednym z najpopularniej-szych ukraińskich blogerów i youtuberów zajmujących się geopolityką, czy obecny mer Dnipra, dawnego Dniepropietrowska, Borys Filatow. Albo Dmytro Razumkow, eksmarszałek Rady Najwyższej z ramienia Sługi Narodu, który w latach 2006-10 był członkiem Partii Regionów, a po usunię-ciu go w 2021 r. ze stanowiska marszałka za-czął podróżować po kraju, lansując własny ponadpartyjny projekt pod nazwą Rozum-na Polityka. Mimo że obecnie jest na bocz-nym torze, przewija się w rankingach popu-larności polityków, uzyskując kilka procent w sondażach prezydenckich.

W rozgrywce o region na pewno nie powiedział ostatniego słowa najbogatszy Ukrainiec – Rinat Achmetow, przed pełno-skalową inwazją Rosji sympatyzujący z Par-tią Regionów i związanych interesami z Ro-sją, który po lutym 2022 r. stanął po stronie władz w Kijowie,łożył duże sumy na armię, a obecnie ściśle współpracuje z byłym pre-mierem Arsenijem Jaceniukiem.

Czwarte miejsce w Radzie Najwyższej może zająć Europejska Solidarność Petra Poroszenki, który obecnie jest główną si-łą opozycyjną wobec Zelenskiego i Sługi

Narodu. Jego partii może być jednak trud-no uzyskać wynik z poprzednich wyborów – 8,1 proc. – zwłaszcza że zaliczył kilka wpa-dek, jak chociażby fałszywe oskarżenie pre-zydenta o ucieczkę w pierwszych dniach wojny. Dodatkowo w jego otoczeniu panuje pogląd, że to właśnie oni są jedynymi patrio-tami Ukrainy, a taka wyższościowa postawa może się okazać przeciwnie skuteczną.

Ale jeżeli eksprezydent zechciałby sfor-mować szerszą koalicję kilku „etatowych” partii, sytuacja przedstawia się już inaczej. Zatem niewykluczone, że Poroszenko połą-czy siły z Julią Tymoszenko (Batkivszczy-na), Anatolijem Hrycenką (Hromadjan-ska Pozycja) i Ołegiem Tiahnybokiem, od lat głównym graczem wśród nacjonalistów (Swoboda). Ta koncepcja bazuje na dwóch komponentach: osobistej rozpoznawalności liderów różnych opcji w myśli zasady „dla każdego coś milego” oraz na elektoracie ne-gatywnym Zelenskiego.

Prof. Romaniuk przewiduje, że Ra-da Najwyższa może zostać uzupełniona o dwie partie umownie nazwane wojsko-wymi, z których jedna będzie mieć radykal-ny, a druga umiarkowany charakter. Pierw-sza powstanie w oparciu o struktury kon-kretnych jednostek wojskowych, np. bry-gady Azow, której obronę Mariupola i wal-kę w podziemiach kombinatu Azowstał śle-dził cały świat, albo 3. Szturmowej Brygady, słynnej ze swej zaciętości w walkach w Don-basie. Jednostki te powszechnie są ocenia-ne jako bardzo profesjonalne i nie mają pro-blemu z naborem do swoich szeregów. Po-zostaje niewiadomą, czy takie ugrupowanie będzie w stanie wypracować program wy-borczy, a potem poruszać się w meandrach nieprostej ukraińskiej polityki.

Drugą partią wojskowych będzie ta, któ-ra się wytworzy wokół Zalużnego. Nie jest też wykluczone, że w tym układzie jakąś rolę będą chcieli odegrać inni wojskowi, jak Budanow czy obecny głównodowodzący Oleksandr Syrski.

Choć może się okazać, że Zalużny zro-bi niespodziankę i... nie wejdzie do polityki. Bo – zwracając uwagę obserwatorzy – gdy-by miał polityczne ambicje, to powinien kuć żelazo, póki gorące, i zając stanowisko w momencie usunięcia z funkcji główno-dowodzącego. Tego nie zrobił, nie krytyko-wał również Zelenskiego. Z drugiej strony – napisał książkę, co jest dobrym krokiem w stronę polityki.

W kwestii wojskowych niewiadomych jest dużo więcej, ponieważ najprawdopodob-niej znajdują się oni na listach wszystkich po-zostałych ugrupowań. Czy więc potencjalny „wojskowy elektorat” nie roztrwoni się na kilka sił politycznych?

Prof. Romaniuk ocenia, że to możliwe, wszak pierwsza piątka kandydatów ogólno-krajowych list wyborczych wszystkich par-tii będzie wyglądać mniej więcej tak samo – stworzą ją obrońcy Ukrainy.

Możliwe, że partię Zalużnego zasili po-pularny wolontariusz Serhij Prutyła. Ukra-ińskie media na początku lutego 2022 in-formowały, że tworzy własne ugrupowa-nie, Polityczną Partię 24 Sierpnia. Data w jej nazwie to dzień uzyskania niepodległo-ści przez Ukrainę w 1991 r. Ponoć 5 lutego 2022 r. odbyły się spotkania grup inicjatyw-nych, podczas których omawiano struktu-rę organizacyjną przyszłej partii. Inicjatywę zamroziła wojna.

Prytuła już wtedy nie był debutantem w świecie polityki. W 2019 r. porzucił karie-rę aktorską, wstąpił do partii Hołos, lecz nie dostał się do parlamentu. Rok później w wy-borach na mera stolicy zdobył 7,8 proc. gło-sów, wyraźnie ustępując Kliczce. Portal Ukraińska Prawda podaje, że w 2021 chciał objąć kierownictwo nad Hołosem. Kiero-wanie ugrupowaniem politycznym „to cięż-ka systematyczna praca, a nie występy w te-lewizji czy na stadionie” – skomentowała te zamiary Kira Rudnyk, szefowa ugrupowa-nia. Wtedy Prytuła opuścił Hołos.

Od momentu wybuchu wojny dał się po-znać jako szef prężnie działającej fundacji

Szybko się męczy. Wojskowi w ukraińskiej polityce

W latach 90. na wizerunek wojskowych w społeczeństwie rzutował stan armii. Wojsko niepodległej Ukrainy praktycznie pozostało niezreformowaną armią radziecką z całym spektrum negatywnych zjawisk. Wyrzeczenie się potencjału nuklearnego, rozkradzenie mienia, ogólna bieda i diedowszczyzna (wschodnia odmiana polskiej fali) determinowały wizerunek wojskowych.

Ich wpływ na politykę był nieznaczny. Jedną z niewielu wyrazistych postaci tego okresu wywodzącą się z środowiska służb i armii był Jewhen Marczuk – szef Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i późniejszy wicepremier i minister obrony. Gdy kierował SBU w latach 1991-94, jego instytucja nie wykryła żadnego przestępstwa w sferze rozkradania własności państwowej, w które byli zamieszani wysocy urzędnicy.

Wicepremierem był tylko kilka miesięcy. Usunięto go za „formowanie własnego wizerunku

politycznego”. W 1995 r. zwyciężył w wyborach uzupełniających do Rady Najwyższej, zdobywając 83,71 proc. głosów. W parlamencie kierował frakcją Społeczno-Rynkowy Wybór, potem wstąpił do Zjednoczonej Socjaldemokratycznej Partii Ukrainy, której liderzy przeszli do prorosyjskiej Partii Regionów. Blok, który stworzył przed wyborami w 2006 r., Zwycięstwo! uzyskał 0,11 proc. poparcia i na tym zakończyła się jego kariera.

Z armii wywodził się gen. Hryhorij Omelczenko deputowany czterech kadencji z ramienia bloku Ukraino Naprzód! i partii Blok Julii Tymoszenko, późniejszej Batkiwyszczyny. Był członkiem wielu komisji Rady Najwyższej, ale w październiku 2009 r. zrezygnował z członkostwa w partii, narzekając na kryminalne sprawy ciężące na członkach ugrupowania, jak grupowy gwałt, bandytyzm i oszustwa.

Wojskowym, który odegrał do tej pory największą rolę w ukraińskiej polityce, jest Anatolij Hrycenko, trzykrotny minister obrony w rządach Julii Tymoszen-

ko, Jurija Jehanurowa i Wiktora Janukowycza. W latach 1993-94 studiował na amerykańskim Uniwersytecie Sił Powietrznych, zrobił doktorat z nauk technicznych, w ukraińskim lotnictwie przeszedł wszystkie szczeble do rangi pułkownika. Przez 6 lat kierował Ukraińskim Centrum Badań Ekonomicznych i Politycznych im. Oleksandra Razumkowa, powszechnie znanym jako Centrum Razumkowa. Prywatnie mąż Julii Mostowej – redaktor naczelnej wpływowego tygodnika „Dzerkało Tyżnia”.

Partia, którą przez 9 lat kierował, Hromadjanska Pozycja tylko raz dostała się do parlamentu w 2012 r. – gdy współtworzyła wspólny blok z Batkiwyszczyną i Frontem Zmian. Hrycenko kandydował też w wyborach prezydenckich, zdobywając 1,2 proc. w 2010, w 2014 5,48 proc. i 6,91 proc. w 2019 r. Ale według Wołodymyra Fesenki, dyrektora ośrodka PENTA, Hrycenko miał swój czas i mógł zająć naprawdę wysoko, lecz pojawił się Wołodymyr Zelenski. Hrycenko zaś nie potrafił zbudować stałego ze-

społu, zdawał się nie pamiętać o swoich aktywistach i dziś ma nad Dnieprem opinię człowieka, który myśli, że ludzie sami do niego przyjdą, a ostatnimi czasami jest obrażony na wszystkich. W ten sposób nie da się przyciągnąć elektoratu, nawet grając wojskową kartą, która jest obecnie mocna.

Kamieniem milowym dla wojskowych z aspiracjami politycznymi okazały się przedterminowe wybory do Rady Najwyższej w 2014 r. Na fali bohaterstwa pierwszych miesięcy konfliktu z Rosją wielu zasiłło pierwsze miejsca list partyjnych. Dzięki temu w Radzie Najwyższej zasiadli pilotka Nadia Sawczenko z Batkiwyszczyny Julii Tymoszenko i Semen Semenczenko z Samopomocy.

Według Fesenki ta dwójka to przykład awanturników, którzy nawiązali do tradycji machnowszyny utożsamianej z ukraińską odmianą anarchizmu państwowego. Ich działalność w ławach poselskich była minimalna. Wołeli realizować się poza nimi. Se-

menczenko organizował blokady nielegalnej wymiany towarowej z zajęętym przez Rosjan i separatystów Donbasem, gdzie pomimo konfliktu kwitł handel węglem i drewnem.

Sawczenko, niegdyś fetowana bohaterka wojenna, symbol niezłomności i oporu podczas niewoli (pojmaną w Donbasie Rosjanie oskarżyli o morderstwo i skazali na 22 lata łagru), została oskarżona o przygotowywanie zamachu na parlamentarzystów i przedstawicieli władz oraz podburzanie i zachęcanie do tego innych żołnierzy. Według niektórych źródeł wniosła do budynku Rady Najwyższej pistolet i granat. Oboje na pewien czas zostali aresztowani.

Warto też przypomnieć plk. Julija Mameczura – nr 6 z listy Bloku Petra Poroszenki – którego cały świat zapamiętał jako dowódcę, który na Krymie poprowadził swoich nieuzbrojonych żołnierzy z hymnem na ustach na pozycję „zielonych ludzików”. Tym niemniej trudno było zauważyć aktywność Mameczura w ukraińskim parlamencie. ●

własnego imienia, która nie tylko wyposażała żołnierzy w helmy czy kamizelki kuloodporne, ale też potrafiła zebrać środki na zakup drona Bayraktar czy fińskiego satelity ICEYE, co uczyniło ją jedną z największych organizacji tego typu w Ukrainie.

Tymczasem w maju portal śledczy Glavkom dotarł do zaskakującej informacji: były dyrektor ds. logistyki w jego fundacji został prezesem mało znanej partii Platforma Sprawiedliwości. Komentatorzy nad Dnieprem nie mają wątpliwości, że w istocie to wstęp do realizacji politycznych ambicji znanego wolontariusza. W którego ślady mogą pójść kolejni – Wołodymyr Fesenko zauważa, że gdyby Taras Czumut, szef fundacji Wróć Żywy, która zebrała 12 mld hrywien (ok. 1,2 mld złotych) miał więcej charyzmy i cech lidarskich, mógłby również odegrać znaczną rolę w ukraińskiej polityce.

Prof. Romaniuk zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt przyszłych wyborów parlamentarnych. W Ukrainie rośnie trend głosowania na nowe partie. 2012 r. na „nowe twarze” głosowało około 60 proc. wyborców, w 2014 r. już blisko 70 proc., w 2019 r. – 83 proc. I ten stan się utrzymuje – obecnie jedynie 27 proc. Ukraińców jest gotowych oddać głos na „stare siły”. Najpewniej w następnych wyborach Ukraińcy też będą głosować na partie, które dopiero powstaną. Przy czym z reguły to „nowe” już na starcie jest obarczone patologiami „starego”. Nowe partie powstają metodą rebrandingu już istniejących, co sprzyja korupcji. Nad Dnieprem nie jest tajemnicą, że cena kupna gotowej struktury partyjnej zaczyna się od kilkuset tysięcy dolarów.

Kwestie korupcji wiążą się też z przymiowaniem oka na brak aktywności ugrupowań politycznych. Zgodnie z ustawą o partiach politycznych Ukrainy siły, które przez 10 lat nie delegowały kandydatów w wyborach prezydenckich lub parlamentarnych, na wniosek ministerstwa sąd skreśli z listy partii politycznych. Zgodnie z badaniami prof. Romaniuka jedynie 124 partie z blisko 370 mogą brać udział w wyborach. W rzeczywistości dopuszczane są również te fantomowe, istniejące na papierze. Na spotkaniu z kierownikiem departamentu rejestracji państwowej ministerstwa prof. Romaniuk został zapewniony, że „coś w tej sprawie będzie robione”.

Osobą, którą z pewnością każda partia będzie chciała mieć na liście, jest mistrz olimpijski z Londynu Oleksandr Usyk. Co prawda pięściarz pochodzący z Symferopola na Krymie w 2018 r. otrzymał z rąk Onufrija, metropolity Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego, order św. Ilji Muromca oraz pokazywał się w towarzystwie polityków zdelegalizowanej kremłowskiej partii Opozycyjna Platforma za Życie, niemniej po wybuchu pełnowymiarowej wojny natychmiast wrócił do ojczyzny, aby wstąpić do obrony terytorialnej. Jednocześnie kontynuował treningi i w tym trudnym czasie zdołał wywalczyć pasy mistrzowskie wielu federacji w konfrontacji z najlepszymi pięściarzami świata w królewskiej wadze ciężkiej. Jego walki, jak ta stoczona z Brytyjczykiem Tysonem Furym w Arabii Saudyjskiej, elektryzowały widownie na całym świecie.

Dużą część niebagatelnych wygranych przeznacza na wsparcie Sił Zbrojnych Ukrainy. Jego dom w podkijowskiej wsi w 2022 r. zajęli i z premedytacją zniszczyli Rosjanie. Dla wielu Usyk stał się symbolem oporu. 24 sierpnia, w ubiegłoroczny Dzień Niepodległości, pięściarz otrzymał z rąk Wołodymyra Zelenskiego Order Wolności przyznawany za „wybitne zasługi w ugruntowaniu suwerenności i niepodległości Ukrainy, konsolidacji ukraińskiego społeczeństwa, rozwoju demokracji, społeczno-ekonomicznych i reform politycznych, obrony praw konstytucyjnych oraz wolności człowieka i obywatela”. Niedługo potem dostał odznakę Narodowej Legendy Ukrainy za wkład w rozwój sportu.

Co prawda Usyka nie można łączyć z żadną siłą polityczną, ale w wywiadzie ze znanym dziennikarzem Mateuszem Borkiem w Kanale Sportowym opowiadał, że chciałby pracować z młodzieżą, i rzucił, że zostanie ministrem sportu. Trudno wyobrazić sobie, że żadna partia nie zaproponuje komuś takiemu wyborczej jedyńki.

Wszystkie te scenariusze może zmodyfikować scenariusz ostatni: powrót do mieszanego systemu wyborczego, zgodnie z którym połowa (225) składu Rady Najwyższej będzie wybierana w jednomandatowych okręgach wyborczych, a połowa z krajowych list partyjnych. Niewykluczone, że Rada Najwyższa przegłosuje to rozwiązanie, bo wielu

obecnych parlamentarzystów wyraża chęć powrotu do poprzedniego systemu.

W tym wariantcie zdecydowana większość mandatów ze wszystkich JOW-ów przypadnie lokalnym bohaterom wojennym i wolontariuszom znanym lokalnym społecznościom. Dodając do tego wojskowych z list krajowych, może się okazać, że połowę foteli w przyszłym parlamencie Ukrainy zajmą ludzie w mundurach i z orderami na piersi, którzy poznali instytucje własnego państwa dosłownie w boju, od najgorszej i najlepszej strony.

Najnowsza historia Ukrainy dowodzi, że to państwo potrafi przeprowadzić proces wyborczy w wymagających i nieprzewidywalnych warunkach. Takimi były cykle wyborcze lat 2004 i 2014 r. W pierwszym przypadku społeczeństwo wystąpiło przeciw fałszerstwom, doprowadzając do powtórzenia drugiej tury i zwycięstwa Wiktora Juszczenki. Pamiętam z Kijowa uzasadnione obawy tłumu o ingerencję wojskową Rosji i groźbę pacyfikacji manifestantów. Cały świat był wtedy pod wrażeniem pokojowego przebiegu pomarańczowej rewolucji pomimo napiętej sytuacji. Mówiono o historycznym połączeniu wschodu i zachodu Ukrainy.

Dziesięć lat później przedterminowe wybory prezydenta i późniejsze parlamentarne poprzedził rozlew krwi na kijowskim Majdanie. Rewolucja godności była konsekwencją stłumienia protestu studentów i działaczy obywatelskich po tym, jak prorosyjski prezydent Janukowycz nie podpisał umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Zdesperowany lider Partii Regionów użył przeciw protestującym policji. W samym tylko Kijowie zginęło blisko stu ludzi. Gdy Janukowycz uciekł do Rosji, zabrał ze sobą sporą część ukraińskiego budżetu. Dodatkowym obciążeniem była aneksja Krymu i powstanie separatystycznych republik.

Mimo to państwowość Ukrainy przetrwała. Rada Najwyższa wyznaczyła Oleksandra Turczynowa na p.o. prezydenta, by później zatwierdzić rząd Arsenija Jace-niuka. Dzięki ugodzie politycznej ukraińskich liderów i wsparciu międzynarodowemu potrafiiono wypracować porozumienie o organizacji wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Ich przebieg OBWE oceniło jako uczciwy, choć wcześniej wielu komentatorów powątpiewało, czy w takich

warunkach uda się przeprowadzić kampanię wyborczą w ogóle, nie mówiąc o kampanii uczciwej. Udało się. Do świata polityki dostało się wówczas wielu wojskowych i działaczy społecznych – bohaterów tamtych wydarzeń.

Lecz tamte okoliczności można uznać za komfortowe w porównaniu z wyzwaniem, przed jakim staną organizatorzy najbliższych wyborów nad Dnieprem. Zginęły dziesiątki tysięcy, jeśli nie setki tysięcy ludzi, kraj opuściło około 10 mln mieszkańców, niewielu mniej musiało się przesiedlić do bezpieczniejszych regionów.

Jak w takiej sytuacji sporządzić listę wyborców? Jak przeprowadzić głosowanie za granicą w stosunkowo nielicznych przedstawicielstwach dyplomatycznych? Czy rozwiązaniem będzie głosowanie elektroniczne? Ukraina jest scyfryzowana, lecz to w dużej części kraj zniszczony, a odbudowa zajmie długie lata. Jak wyznaczyć okręgi wyborcze, gdy brakuje dróg, mostów, a duża część terytorium jest zaminowana?

Czy w dniu głosowania będzie prąd w lokalach i komisjach wyborczych przyjmujących protokoły, skoro system elektroniczny należy do priorytetowych celów Rosjan, a w takim dniu naloty są gwarantowane? Czy obserwatorzy międzynarodowi znajdą w sobie odwagę, żeby przyjechać i monitorować proces wyborczy?

Jak organizować kampanię w wojsku, gdy w jednej brygadzie służą w różnej randze przedstawiciele różnych ugrupowań? A co z uchylającymi się od służby i podejrzanymi o kolaborację? Czy wybory poprzedzi jakaś forma lustracji społeczno-politycznej? Kto ją przeprowadzi?

Same pytania, niewiele odpowiedzi. ●

Jakub Herold

• konsul RP we Lwowie i Moskwie (2008-12), doktorant Wydziału Nauk o Polityce i Administracji Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, obserwator wyborów z ramienia OBWE w Ukrainie, Białorusi, Uzbekistanie i Mołdawii. Specjalizuje się w ukraińskiej polityce i sytuacji wewnętrznej. Publikował w „Rzeczpospolitej”, „Nowej Europie Wschodniej”, „Wyborczej”. Prowadzi firmę doradczą Jakub Herold Consulting, która realizuje projekty komercyjne w Ukrainie. Żołnierz 82. Batalionu Lekkiej Piechoty WOT.



• Jedną z atrakcji turystycznych Seattle wciąż jest pierwsza kawiarnia Starbucks na Pike Place Market, która otwarto tam 30 marca 1971 roku
FOT. MARK BOSTER/LOS ANGELES TIMES VIA GETTY IMAGES

AMERYKA W ZIARENKU

Nie mogę wszędzie ze sobą nosić mojego BMW,
ale mogę nosić kubek Starbucksa

Alek Korab

Wczesnym popołudniem stoję w kolejce w kawiarni Starbucks na Brooklynie. Właśnie skończyło się Święto Dziękczynienia, więc jest już oficjalnie sezon Bożego Narodzenia – standardowe elementy wystroju kawiarni w zielonym kolorze (korporacyjny kolor Starbucks) przystrojone są na czerwono (święta), całość tworzy kiczowaty klimat przypominający plakat filmu „Jak Grinch skradł święta”.
Na ścianach wiszą czerwone kokardy. Menu nad barem reklamuje świąteczne napoje: „Więcej sposobów na świętowanie”, jest też „Świąteczna pianka”. Z głośników dobiega muzyka z filmu „Wic-

ked”. Przy niskich stolikach siedzą studenci z tatuażami i kreatywnym owłosieniem na twarzach – piszą prace domowe na laptopach. Odświeżnie ubrana rodzina Azjatów w średnim wieku z nastoletnią córką rozważa zamówienie przez prawie 10 minut. Jest też Afroamerykanka z dwoma buldogami, płaczące dziecko z babcią, facet w średnim wieku z kolejnym psem. Przy stoliku – starszy mężczyzna z gigantyczną brodą ubrany jak bezdomny Święty Mikołaj czyta gazetę finansistów, „The Wall Street Journal”. Może jest ciekawym ekonomicznej wiedzy biedakiem albo bardzo zaniedbanym miliarderem – typowe nowojorskie kontrasty.
Inny starszy pan z beretem à la Kapitan Nemo (kto pamięta? I nie, nie chodzi o genialnego straumatyzowanego odludka z łodzi podwodnej Verne’a), w sportowej kurtce i w rękawiczkach bez palców staje obok, popijając latte z papierowego kubka, patrzy na mnie z uśmiechem odsłaniającym wszystkie zęby, mówiąc „Jak się masz?”.

1
GRANDE MATCHA LATTE
Z MAŁĄ ILOŚCIĄ LODU,
MLEKIEM MIGDAŁOWYM
I WANILIOWĄ SŁODKĄ
ŚMIETANKĄ NA ZIMNO
I 2 KROPLAMI SYROPU
WANILIOWEGO

Starbucks jest Ameryką w pigułce. Symbolizuje wszystko, co Ameryka ma do zaoferowania, amerykański sen, nieograniczone możliwości, prawdziwą historię od pięciu magicznych ziarenek kawy do miliardów zarabianych na giełdzie.
Starbucks to odrobina luksusu na wynos za 5 dolarów, odlot od rzeczywistości, ale też twar-

de w tej rzeczywistości lądowanie: bezdomni śpiący przy stolikach, kolejki przy kasach, zmęczeni bariści, ceny rosnące szybciej niż kozuch na trenta latte. Ogłoszenia na ścianie przypominają o cukrzycy czającej się w syropach i na podświetlanych wystawach z przekąskami, a w toaletach – uważanych tutaj za publiczne – małe skrawki folii nie dają zapomnieć o krajowym kryzysie narkotykowym.

Starbucks jest tak amerykański jak dolar, jak flaga z 13 pasami, Bruce Springsteen, Święto Dziękczynienia i otyłość. 39,4 proc. Amerykanów uznaje go za swoją ulubioną kawiarnię. W Starbucksie każdy Amerykanin czuje się bezpiecznie. I u siebie.

W końcu przychodzi moja kolej. „Co ci mogę zaproponować?” – uśmiecha się afroamerykański barista. „Poproszę kawę... czarną... średnią” – odpowiadam. „Czarna i...?” – pyta wyczekująco barista. Zastanawiam się szybko, czy go aby nie uraziłem. „Czarna i... tyle?” – odpowiadam pytaniem na pytanie. „Czarna, to wszystko?” – barista powtarza pytaniem do sześcianu i lekko wkurzony macha rękami jak sędzia, który pokazuje, że jednak nie było karnego. Potakuję grzecznie, żeby go uspokoić. „Ah, ale jest jeszcze zamówienie dla mojej córki” – przypominam sobie i dukam przesłane SMS-em zamówienie Stefci: „Grande matcha z małą ilością lodu, mlekiem międgalowym i waniliową słodką śmietanką na zimno i 2 kroplami syropu waniliowego”. Barista uśmiecha się szeroko: „No to teraz rozmawiamy”.

2

NITRO COLD BREW

Codziennie w Ameryce bariści Starbucksa przyjmują 5 mln takich zamówień. Statystyczna kawiarnia, taka jak ta, w której czekam na moje zamówienie, sprzedaje pół tysiąca napojów dziennie.

Droga do sukcesu była długa. Zaczęła się w kawiarni z placu Pike Market w Seattle otwartej w 1971 roku i nazwanej na cześć postaci z „Moby’ego Dicka”. Przez dekadę sprzedawano tam świeżo paloną kawę oraz sprzęt do kawy i nikomu to nie przeszkadzało. Wszystko się zmieniło, gdy w 1981 roku zabłądził do niej młody nowojorczyk Howard Schultz. Zauroczony aromatycznym zapachem kawy dołączył do firmy w następnym roku.

Prawdziwa rewolucja nastąpiła po podróży Schultza do Mediolanu w 1983 roku. Wtedy, jak wspominał: „Po raz pierwszy pojechałem do Włoch i zakochałem się w barach espresso w Mediolanie. W każdym sklepie, który odwiedziłem, widziałem tych samych ludzi i te same interakcje i dotarło do mnie, że to, co stworzyły te kawiarnie, to poranny rytuał i poczucie wspólnoty. Po powrocie do Seattle wiedziałem, że chcę odtworzyć te wrażenia w Starbucksie. Musieliśmy odkryć romantyczność i tajemnicę kawy na własne oczy w kawiarniach. Przetestowaliśmy koncepcję kawiarni w centrum Seattle, gdzie serwowano naszą pierwszą Starbucks caffè latte”.

Schultz odkrył – ha, ha! – Amerykę? Z europejskiej perspektywy. Trzeba pamiętać, że kawa w Ameryce była parszywa od wieków. Moja partnerka Magda, która jest tutaj od dekadę dłużej ode mnie, wspomina, że kiedy przyjechała, w nowojorskich delikatesach królowała kawa „regularna” – z mlekiem i dwoma łyżeczkami cukru, ewentualnie jej ciemniejsza odmiana (mniej mleka) lub czarna. Dla snobów była wersja bez kofeiny. Kawę automatycznie słodzono z cukierniczek, czyli słoików z rurką, których jednorazowe przechylene odmierzało bardzo obfite łyżeczki. Na prośbę o kawę bez cukru sprzedawcy reagowali zdziwieniem, współczuciem lub po prostu od razu pytali, co się stało.

Schultz nie był zachwycony tymi opcjami i zakochał się w kulturze espresso. To zainspirowało jego wizję Starbucksa jako „trzeciego miejsca” między domem a pracą. Gdy założyciele sprzeciwili się temu pomysłowi, Schultz odszedł, by założyć własną sieć kawiarni, którą nazwał Il Giornale. Do 1987 roku zarobił wystarczająco dużo, żeby wrócić i odkupić Starbucksa za 3,8 mln dolarów. – Schultz był kluczową postacią w przekształceniu Starbucksa w fenomen kulturowy. Jego wizja Starbucksa jako luksusowego miejsca spotkań była kluczem do sukcesu – mówi mi Theodore Chan, wykładowca marketingu na Uniwersytecie Bostońskim, a prywatnie redaktor naczelny portalu kawowego CoffeeRoast.com. Pytam Chana o jego zamówienie. „Nadal zamawiam nitro cold brew na lotnisku!”.

Dzięki Schultzowi Starbucks rozpoczął szybką ekspansję, rozprzestrzeniając się poza Seattle, docie-

FOT: SHUTTERSTOCK



rając do Chicago i Vancouver, a wkrótce potem do Kalifornii, Waszyngtonu i Nowego Jorku. Dziś marka urosła do miary światowego giganta z 38 tys. kawiarniami w 80 krajach.

3

GRANDE ICED LATTE Z JEDNĄ PORCJĄ WANILII, MLEKIEM OWSIANYM I MIODEM

Kiedy przyleciałem do Nowego Jorku po raz pierwszy, na początku wieku, jak każdemu turyście miasto wydawało się sceną z filmów. Małe Włochy kojarzyły się z mafią, Chinatown (dosłownie po drugiej stronie ulicy) z karate, ciemne alejki pod autostradą BQE z policyjnymi pościgami. Starbucks natomiast przywodził na myśl komedie romantyczne. Nie mogłem tam nie pójść.

Zamówilem kawę – jak na filmie – i nie mogłem się zdecydować, czy usiąść z moim ówczesnym gargantuicznym laptopem i pracować jak biznesmen z filmów, czy wziąć kubek w ręce i pobiec Broadwayem jak Anne Hathaway z „Diabeł ubiera się u Prady”.

Pytam Ryana, dwudziestokilkuletniego fana Starbucksa. „Zacząłem chodzić do Starbucksa, gdy byłem całkiem młody. Moja mama zawsze tam chodziła i gdy miałem około dwóch lat, dała mi łyk swojej bezkofeinowej kawy, którą naprawdę pokochałem. I tak od drugiego roku życia piję kawę”.

Ryan jest zawsze ubrany jak model, studiuje języki romańskie i aktorstwo. „Co sprawia, że wracam do Starbucksa? Bardzo podoba mi się ich stabilność. Zawsze można na nich polegać. Niezależnie od tego, gdzie jestem w kraju, zawsze mogę tutaj pójść i wiem, że dostanę coś, co mi smakuje. Ale jednocześnie ciągle wprowadzają zmiany w zależności od pory roku czy konkretnego roku, zawsze wymyślają coś nowego. Więc to jest poczucie komfortu i stabilności, ale jednocześnie nigdy nie nudzę się tym samym. Moje standardowe zamówienie w Starbucksie? Jeśli nie napój sezonowy, to grande iced latte z jedną porcją wanilii, mlekiem owsianym i miodem”.

– Przez długi czas Starbucks był produktem wyróżniającym się na tle tradycyjnych kawiarni i sieci fast-foodów. Firma skupiła się na doświadczeniu klienta, budowaniu marki premium i estetyce sklepów, co stworzyło wyjątkową propozycję. Kluczowe taktyki obejmowały ekspansję sklepów, innowacyjną ofertę napojów i biegłość w operacjach łańcucha dostaw, aby zapewnić stałą jakość na całym świecie – wyjaśnia źródła sukcesu Starbucksa Chan. – Styl przywództwa Schultza łączył inspirację z rygoriem operacyjnym widocznym w decyzjach, takich jak przyjęcie etycznego pozyskiwania surowców, nacisk na szkolenie baristów i stworzenie programu nagród Starbucks – wylicza. I dodaje z uśmiechem: – Uczę tego programu na moich zajęciach MBA z marketingu.

Ryan przyznaje, że korzysta z programu lojalnościowego niemal regularnie. „Za każdym razem, gdy tam idę, zawsze skanuję aplikację i ładuję punkty na kartę. Czuję, że zawsze dostaję coś za darmo. Więc zawsze jest dobry powód, żeby wracać”. Ryan nie jest odosobnionym przypadkiem: w sierpniu Starbucks poinformował, że jego klienci mają 1,77 mld dolarów zgromadzonych w niewykorzystanych kartach. Artykuł giełdowej agencji Market Watch na ten temat nosi tytuł „Bank Starbucks”.

4

FRAPPUCCINO VENTI MOCHA

Bryant Simon jest profesorem historii na Uniwersytecie Temple i jak na naukowca ma niecodzienne CV: na potrzeby pracy naukowej odwiedził 400 kawiarni Starbucksa na całym świecie. Po czym napisał książkę „Wszystko oprócz kawy: Co Starbucks uczy nas o Ameryce”. Pytam go, skąd ten pomysł. „Uważałem, że Starbucks jest wart zbadania po prostu dlatego, że jest popularny. To, co jest popularne, moim zdaniem jest odkrywcz. Kupujemy rzeczy, ponieważ mają dla nas wartość. Tak naprawdę starałem się zrozumieć w książce, dlaczego nagle w latach 90. chętnie zaczęliśmy płacić 4 dolary za filiżankę kawy. Jak Starbucks nas do tego zmusił? Jaka wartość miały te kawy? Jakie pragnienia zaspokajał ten napój? Rozpocząłem badanie z założeniem, że porównam, jak Starbucks i jak jego klienci korzysta-

li z jego kawiarni i przestrzeni na przykład na obszarach wiejskich i miejskich, w miastach i na przedmieściach, na południu i zachodzie Ameryki, w Europie i USA oraz w Europie i Chinach”.

Pytam, dlaczego te setki kawiarni i nieoczywiste kąty, pod jakimi patrzył – analizował nawet śmieci Starbucksa – nauczyły go o Ameryce.

„Odkryłem, że podobieństwa, zwłaszcza w USA, były ważniejsze niż różnice. Naprawdę, mógłbym pójść do jednej kawiarni Starbucks i zostać tam przez kilka miesięcy. Byłoby łatwiej. Ale najpierw musiałem to rozgryźć. Uderzyło mnie również to, jak ludzie korzystali z marki. Dla niektórych była symbolem statusu. Jak ktoś powiedział: nie mogę wszędzie ze sobą nosić mojego bmw, ale mogę nosić kubek Starbucks. Zauważyłem również, że ludzie korzystali z marki jako formy terapii zakupowej. Im bardziej upiękuszony i drogi napój kupowali, tym gorszy był ich dzień. Kalibrowali tę wartość z wielką rozważą i precyzją. Kiedy zaczynałem badania, Starbucks szedł jak burza, firma otwierała nowy sklep gdzieś na świecie co trzy-cztery godziny. To był czas, kiedy specjalnie oddelegowani urzędnicy błagali Starbucksa o otwarcie oddziału w ich miastach, a ludzie zamieszczali na swoich stronach MySpace...

...W świecie portali społecznościowych to jak starożytny Rzym – nie mogę się powstrzymać i przerywam Bryantowi. Śmieje się.

– ...zamieszczali zamówiony napój Starbucks, jakby to mówiło coś kluczowego o nich samych. »Jestem frappuccino venti mocha« – oświadcza. Kiedy ludzie definiują siebie przez swoje produkty, to jest to potęga kulturowa.

5

PEPPERMINT WHITE
CHOCOLATE MOCHA
FRAPPUCCINO

„Zamówiłem frappuccino, gdzie jest moje cholerne frappuccino?” – pytał wokalista Linkin Park Chester Bennington na początku kultowej płyty „Collision Course” nagranej z królem rapu i przepychu Jay Z. Wprowadzone w 1995 r. frappuccino – napój będący mieszanką kawy, mleka i lodu – z miejsca stało się letnim klasykiem i napojem łączącym klasę robotniczą, ludzi w biurach i gwiazdy.

Nasza dobra przyjaciółka ze Staten Island i członek rodziny na Queensie – oboje osiągnęli sukces zawodowy w USA i oboje mają doskonale ekspresy do kawy w domach. Ale kiedy dwa razy w tygodniu pracują zdalnie, i tak w ciągu dnia wychodzą z domu, wsiadają jak automaty do aut i jadą 20 minut do najbliższego Starbucksa po kawę.

Wizyty w Starbucksie to nawyk tak zakorzeniony, że przypomina nałóg. Amerykańskie Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC) ostrzega, że Amerykanie spożywają zbyt dużo tzw. cukru dodanego – czyli nie tylko „cukru w cukrze” z cukiernicy czy saszetki, ale również zakamuflowanego pod postacią melasy, dekstrozy, syropu glukozowo-fruktozowego czy kukurydzianego, co może zagrażać ich zdrowiu. Średnio każdego dnia dorośli mężczyźni spożywają 19 łyżeczek (a kobiety 15) dodanego cukru. Trzech na pięciu Amerykanów w wieku dwóch lat (pamiętacie szykownego Ryana?) i starszych spożywa więcej niż zalecaną ilość dodanego cukru. 35 proc. tego spożycia cukru pochodzi z napojów słodzonych, kawy i herbaty.

Wiele napojów w Starbucksie jest polecanych przez dietetyków, ale kiedy robiąc amatorskie badania do tego tekstu w tuzinie kawiarni na Brooklynie, Manhattanie, lotniskach i Florydzie, obserwowałem zamówienia, to znikomy procent klientów zamawiał wodę, espresso czy zieloną herbatę bez dodatków. Za to mnóstwo zamówień przypominało tort weselny przebrany za kawę.

Niedawno peppermint white chocolate mocha frappuccino została uznana przez redakcję serwisu Eat This, Not That! za „najbardziej niezdrowy napój Starbucksa”. „Wypełniony lodem, mlekiem, kawą i syropami: frappuccino, kawowym, waniliowym, miętowym, a także sosem z białej czekolady i mokki, to bomba cukrowa i kaloryczna – zawiera aż 470 kalorii i aż 73 gramy cukru” – wylicza w tekście dietetyczka Mary Sabat. 73 gramy to w przybliżeniu 18 łyżeczek cukru w jednym napoju. CDC zaleca nie więcej niż 12 łyżeczek dziennie w całej diecie. Sporo ekspertów twierdzi, że cukier potrafi być bardziej uzależniający od kokainy – niektóre badania potwierdzają, że rozświetla „jak choinkę świąteczną” podobne rejony mózgu.

Obrońcy Starbucksa twierdzą, że to nie wina korporacji, że ludzie zaspokajają swoje apetyty – każdy ma taką kawę, jaką sobie zamówi, albo parafrazując Simona – każdy ma taką kawę, jaki ma dzień. Warianty dnia są nieskończone, ale dzięki możliwości personalizacji napojów w Starbucksie jest ponad 87 tys. możliwych kombinacji napojów, żeby dostosować kawę do dnia.

6

DUŻA KAWA CIEMNO PALONA

Ale nie tylko klienci mają złe dni. W październiku Starbucks poinformował o niepokojących wynikach finansowych. Globalna sprzedaż w kawiarniach spadła o 7 proc. w IV kwartale 2024 r., w tym o 6 proc. w Ameryce Północnej i o 14 proc. w Chinach. Firma odnotowała „wyraźny spadek ruchu” w całym roku fiskalnym, a liczba wizyt klientów spadła o 10 proc. w ostatnim kwartale. Wyniki te doprowadziły do spadku akcji o prawie 30 proc. w ciągu sześciu miesięcy.

Historyk: Staralem się zrozumieć, dlaczego nagle w latach 90. zaczęliśmy chętni płacić 4 dolary za filiżankę kawy. Jak Starbucks nas do tego zmusił? Jaką wartość miały te kawy? Jakie pragnienia zaspokajał ten napój?

Kryzys firmy odzwierciedla jednocześnie presję rynku i zmieniające się preferencje konsumentów. Klienci, którzy chcą zaszpanować kubkiem na mieście albo poczuć się lepiej niż „Regular Joe”, „zwyczajny Kowalski”, wchodzą do wyspecjalizowanych kawiarni. Na naszej ulicy mamy kawiarnię kolumbijską, hiszpańską i kilka japońskich herbaciarni. Nie wiele dalej – kilka kawiarni hipsterskich, francuską, izraelską, włoską, śródziemnomorską, jemeńską, szwedzką, norweską, jedną dla właścicieli psów i kolejną z robotem jako baristą – to wszystko w promieniu 500 m. Trudno się dziwić, że jedna z pierwszych kawiarni Starbucks na Brooklynie, przy stacji metra Bedford, została niedawno zamknięta. Nie miała szans w walce z hipsterskimi kawiarniami (ale też, co tu kryć, nawracającymi inwazjami szczurów).

Starbucks nie umarł, ale spowszedniał i stał się częścią codzienności. Efekt i motor sukcesu w jednym – korporacyjny rozrost – sprawił, że stracił wy-marzoną przez założyciela Schultza „romantyczność i tajemnicę” kawy. Co więcej, uzależnił się od rozwoju i otwierania nowych kawiarni w Azji.

Ale przede wszystkim uzależnił się – tak jak jego amerykańscy klienci – od cukru. Coraz więcej Amerykanów liczy kalorie i coraz więcej z nich bierze popularne „leki na odchudzanie”, czyli ograniczające apetyt i dające poczucie sytości tzw. analogi GLP-1.

„Rosnąca zależność Starbucksa od słodkich napojów sprawia, że firma jest podatna na zmieniające się trendy zdrowotne. Biznes będzie naprawdę zagrożony, jeśli nie zdoła dostosować się do tych zmieniających się preferencji, dlatego zatrudnił nowego dyrektora generalnego. Przez wiele lat Starbucks miał lepszą jakość i przyjemniejszą przestrzeń niż lokalna kawiarnia. Teraz tak nie jest” – zauważa Chan.

Nowy generalny Brian Niccol, wcześniej zatrudniony w gastronomicznej korporacji Chipotle z potencjalnym pakietem wynagrodzeń przekraczającym 100 mln dolarów, ogłosił kompleksową restrukturyzację. „Musimy fundamentalnie zmienić naszą strategię, aby odzyskać klientów” – powiedział inwestorom. Jego plan nazwany przez CNN „Make Starbucks Coffee Shop Again” obejmuje kilka natychmiastowych zmian: napoje gotowe w 4 min lub kró-

cej, eliminacja dopłat za mleko roślinne, uproszczone menu, zmiany wystroju sklepu, powrót baru z dodatkami.

Chipotle, skąd przyszedł nowy szef, jest bardzo popularną siecią z meksykańskim jedzeniem. Ale świat finansów pozostaje sceptyczny. – Niccol jest uważany za niesamowitego menedżera operacyjnego. Ale w mojej branży są wątpliwości, czy naprawdę rozumie niuansy biznesu kawowego. Zajmuje się technologią i wydajnością operacyjną, aby ożywić marki i wygenerować przepływy finansowe. Nie jestem pewien, jak poradzi sobie z podstawowym wyzwaniemżywienia kawiarni i doświadczenia kawy z górnej półki bez zrażania klientów Starbucksa lub rozcieńczania marki – tłumaczy Chan. – W świecie kawy rośnie podział między społecznością kawy podszywającą się pod desery a miłośnikami kawy dla koneserów – wskazuje kluczowy dylemat strategiczny.

Nadal wiele osób „realizuje swoje pożądane tożsamości”, mówiąc językiem branży marketingowej, poprzez to, co kupują. Ale sam Starbucks stracił część swojej tożsamości. W 2002 roku kupowanie tam kawy sprawiało, że ktoś wyglądał na wy-magającego, wyrafinowanego i być może bogatego.

A przynajmniej wyglądał jak japiszon. Dzisiaj Starbucks co prawda nie obniża twojego statusu, ale już go nie podnosi. To po prostu domyślna filiżanka dobrej kawy.

Dlatego transakcje w lokalach pod szyldem syreny stają bardziej funkcjonalne niż aspiracyjne. Klienci po prostu kupują kofeinę, miejsce do pracy w zatłoczonym mieście, korzystanie z wtyczki do telefonu i dostęp do toalety. – Pomyśl o dzisiejszych kawiarniach. Wiele to drive-thru i wiele nie ma miejsc siedzących. To kolejny przejaw funkcjonalnego konsumpcjonizmu. W łazienkach są metalowe sedesy. To zupełnie co innego niż za czasów wygodnych foteli, murali na ścianach i kroplistych lamp – kończy Simon.

Co zamawia człowiek, który odwiedził blisko pół tysiąca Starbucksów? „Nie chodzę już zbyt często, ale kiedy to robię, proszę o dużą kawę ciemno paloną”. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol”, był redaktorem naczelnym „Metro” – jednej z największych gazet codziennych w USA, kierował jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile), współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymuską. W tym roku po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa wraz z Magdą po raz pierwszy brał udział w wyborach prezydenckich.

Christina zur Nedden

WELT

Chiński reżim wykorzystuje coraz bardziej wyrafinowany system do monitorowania półtoramiliardowej populacji. Jednak w dłuższej perspektywie może to doprowadzić do erozji posłuszeństwa – mówi Minxin Pei, politolog w Claremont McKenna College w Kalifornii i ekspert w dziedzinie chińskiej masowej inwigilacji. Jego najnowsza książka to „The Sentinel State”, której podtytuł brzmi: „Nadzór i przetrwanie dyktatury w Chinach” (ukáže się w lutym nakładem Harvard University Press).

● ● ●

Pańska najnowsza książka nosi tytuł „The Sentinel State”, państwo nadzoru. Ale jak chińska kontrola nad społeczeństwem różni się od europejskich państw nadzoru w historii, takich jak np. była NRD?

MINXIN PEI: Termin „państwo nadzoru” opisuje reżim, który jest zarazem paranoiczny i czujny. W Chinach istnieją trzy grupy gromadzenia informacji: po pierwsze, rozbudowany aparat służb bezpieczeństwa politycznego, po drugie, policje lokalne i po trzecie, partia – jej wszechobecne komórki na uniwersytetach, w fabrykach czy w powszechnych komitetach sąsiedzkich. Ta ostatnia grupa jest największa. Taki wielowarstwowy system nie istniał w NRD, uchodzącej za najbardziej zinwigilowane państwo w historii Europy. Stasi była scentralizowaną instytucją z legionem nieformalnych, ale skatologowanych współpracowników. A właśnie dopiero wzajemne sprzężenie i oddziaływanie wielu różnych instytucji i narzędzi przymusu czy szantażu sprawia, że chiński nadzór jest zarówno bardziej wyrafinowany, jak i znacznie bardziej wszechobecny.

Czy ci informatorzy są opłacani?

– Tylko niewielka część otrzymuje pieniądze, głównie ci prowadzeni przez tajną policję. Większość z nich to „dobrowolni” donosiciele. Nie z powodów ideologicznych, ale przede wszystkim dlatego, że są zależni od przychylności władzy – np. taksówkarze, którzy potrzebują odnawialnej licencji od policji. Ta zależność tworzy subtelny formę przymusu, która skłania wielu ludzi do przyłączenia się do struktur nadzoru.

Jak zmienił się system nadzoru od czasu masakry na Tiananmen w 1989 r.?

– Po 1989 roku chiński rząd zdał sobie sprawę, że musi przeznaczyć o wiele więcej środków na bezpieczeństwo wewnętrzne, aby zagwarantować trwałość swojej władzy. W latach 1991-2020 budżet aparatu bezpieczeństwa wewnętrznego wzrósł z dziesięciu miliardów do jednego biliona juanów (to równowartość ok. 130 mld euro). Ale decydującą zmianą było masowe wykorzystanie nowych technologii, które pozwalają obniżyć koszty inwigilacji tak wielkiej populacji.

Program „Golden Shield” zdigitalizował bazy danych i pomógł ustanowić Wielki Chiński Mur w necie, czyli bardzo skuteczny firewall separujący chiński internet od reszty świata, program Skynet wprowadził kompleksowy nadzór kamer w wielomilionowych miastach, a kolejny, Sharp Eyes, rozszerzył go na obszary wiejskie. Jednocześnie stworzono scentralizowaną biurokrację bezpieczeństwa, która działa na wszystkich szczeblach administracyjnych. To trójstronne podejście – ciągle inwestycje, nowe technologie i usprawnienia organizacyjne – zasadniczo wzmocniło chiński system nadzoru.

Szacuje się, że w Chinach działa ok. 700 milionów kamer monitorujących. Jak są wykorzystywane?

– Wiele kamer, zwłaszcza w miastach, jest już wyposażonych w funkcję rozpoznawania twa-

NRD W WERSJI TURBO

Partia udoskonala system nadzoru, bo wie, że gdyby zaledwie pięć procent Chińczyków zdecydowało się zaprotestować w tym samym czasie, byłoby to aż 75 milionów ludzi – ilość nie do opanowania.



FOT. ALY SONG/REUTERS

rzy. Kamery te są połączone ze sobą w sieć, a lokalna policja poświęca wiele czasu na analizowanie danych. Istnieją jednak pewne ograniczenia: systemy w całym kraju nadal nie są scentralizowane. Np. miasto takie jak Wuhan z dziesięcioma milionami mieszkańców ma własną strukturę nadzoru. Sama ilość gromadzonych danych sprawia, że kompleksowe monitorowanie w czasie rzeczywistym jest na razie prawie niemożliwe. Ale to teraz pole do popisu dla narzędzi wykorzystujących AI.

Pisze pan również o „snifferach WLAN”. Co to właściwie jest?

– Chodzi o to, że telefony komórkowe nieustannie poszukują dostępnych sygnałów wi-fi. Policja natomiast używa fałszywych routerów do lokalizowania urządzeń i rejestrowania adresów IP. To pozwala im poznać tożsamość użytkowników, nawet jeśli oni sami starają się ją ukryć. Podczas tak zwanych protestów białych kartek [ruch sprzeciwu wobec drakońskiej polityki zero-Covid pod koniec 2022 r.] wielu demonstrantów nosiło maski, aby uniknąć rozpoznawania twarzy. Nie widzieli jednak, że ich telefony komórkowe pokazują systemowi ich dokładne pozycje. W rezultacie policja zidentyfikowała i aresztowała prawie każdego uczestnika tych protestów.

W swojej książce podkreśla pan, że rozbudowana sieć informatorów jest nadal co najmniej tak samo ważna dla działania systemu inwigilacji, jak nowe technologie. Dlaczego wciąż tak jest?

– Pamiętajmy, że Chiny ustanowiły wysoko rozwinięty system nadzoru jeszcze na długo przed erą cyfrową. Już pod rządami Mao istniała sieć informatorów w miejskich dzielnicach, fabrykach i na uniwersytetach. Chińczycy doceniają technologię, która może się bardzo przydawać służbom, ale nadal ma swoje słabe strony. Kamery nie potrafią czytać w my-

ślach ani podsłuchiwać rozmów w prywatnych pomieszczeniach. Dlatego właśnie element ludzki pozostaje niezbędny. Informatorzy są elastyczni i mogą dostarczyć informacji, których technologia nie jest w stanie. I dopiero skuteczna mieszanka technologii i czynnika ludzkiego sprawia, że obecny system jest tak skuteczny.

W Niemczech obywatele często zarzucają swoim władzom opieszałość i nieefektywność. Czy w Chinach naprawdę jest inaczej?

– Jeśli chodzi o codzienne życiowe sprawy, takie jak opieka zdrowotna, opieka nad dziećmi, emerytury, edukacja, Chiny są tak samo lub zwykle znacznie mniej wydajne niż Niemcy. Ale nie jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Partia stawia kwestie bezpieczeństwa wewnętrznego ponad wszystko. Każdego roku organizuje duże spotkania elit urzędniczych na temat bezpieczeństwa, aby egzekwować je na wszystkich poziomach, a już zwłaszcza podczas wielodniowej marcowej „podwójnej sesji” (Lianghui), kiedy zbierają się Narodowy Kongres Ludowy (NPC) i Chińska Ludowa Polityczna Konferencja Konsultacyjna (CPPCC). W tym czasie cały kraj jest de facto w stanie wyjątkowym. Partia przyjmuje podejście prewencyjne: potencjalni „wichrzyciele” są identyfikowani, monitorowani i izolowani na wczesnym etapie, często jeszcze zanim sami podejmą decyzję o podjęciu aktywnych działań. Pozwala to uniknąć zamieszek na większą skalę i obniżyć koszty ich wyciszenia.

Kto jest pod taką stałą obserwacją?

– System koncentruje się na określonych grupach docelowych, ponieważ niemożliwe jest monitorowanie wszystkich obywateli. Skupia się na osobach znajdujących się na czarnych listach. Należą do nich byli więźniowie, wszelkiego rodzaju aktywiści, wiodące postaci mniejszości etnicznych, wyznawcy zakaza-

nych sekt, takich jak Falun Gong, oraz liberalni naukowcy, zwłaszcza znający zachodnie języki. W sumie dotyczy to około jednego procenta populacji – jakichś 14 milionów ludzi. Osoby te są ściśle monitorowane i nawet często ogranicza się ich swobodę przemieszczania się.

To zapewne wiedza dość powszechna. Jaki wpływ ma to na samopoczucie społeczeństwa?

– Niszczy zaufanie społeczne. Jeśli ludzie w ogóle rozmawiają o polityce, to tylko z bliskimi przyjaciółmi lub rodziną, ponieważ zakładają, że właściwie każdy obcy może być informatorem.

Partia instaluje informatorów na dworcach kolejowych, w hotelach czy nawet bibliotekach – wszędzie tam, gdzie gromadzi się wielu ludzi. Ten klimat strachu przed zdemaskowaniem nieprawomyślnych poglądów tworzy izolację społeczną, atomizuje społeczeństwo, którym wtedy łatwiej manipulować, i w efekcie paraliżuje jakąkolwiek debatę publiczną.

Co dzieje się z tymi, którzy otwarcie krytykują partię?

– Preferowaną metodą są represje prewencyjne. Partia stara się kontrolować ludzi, aby przede wszystkim nie stali się aktywni, aby pozostali w stanie reakcji pasywnej. Duże fale aresztowań są rzadkie, ponieważ to są operacje kosztowne i wymagają dużych zasobów. Wyjątkiem jest Xinjiang, teoretycznie autonomiczna prowincja zamieszkała przez muzułmańskich Ujgurów, gdzie działa masowy system internowania i tzw. reedukacji.

Jednak w całym kraju podstawę systemu stanowi strach przed utratą statusu, pracy, dochodów. Większość ludzi nie ma odwagi otwarcie sprzeciwić się partii.

Dlaczego tak silna partia komunistyczna tak bardzo boi się jakichkolwiek protestów, nawet lokalnych i dotyczących kwestii niepolitycznych?

– Lekcja z Tiananmen była jasna: duże protesty wyrastają z małych. Kiedy ludzie pozbywają się strachu, system od razu staje się niestabilny. Proszę pomyśleć: gdyby zaledwie pięć procent Chińczyków zdecydowało się protestować w tym samym czasie, byłoby to aż 75 milionów ludzi – ilość nie do opanowania.

Dlatego partia musi tłumić w zarodku nawet najmniejsze oznaki protestu, czy choćby zamiaru wyrażenia niezadowolenia.

Antylockdownowe „protesty białych kartek” przyciągnęły międzynarodową uwagę. Czy istnieją inne ruchy sprzeciwu?

– Każdego roku odbywają się tysiące małych protestów – przeciwko przymusowym eksmisjom, niewypłaconym na czas pensjom lub przejawom niesprawiedliwości społecznej. Mają one charakter lokalny i są szybko gaszone. Protesty białych kartek – nazwane tak z powodu przynoszonych przez demonstrantów czystych, pozbawionych hasel kartek – były wyjątkowe, ponieważ krytykowały kwestię ogólnokrajową: bolesne blokady covidowe. Pokazują przy tym, że opór wynikający z poczucia niesprawiedliwości nigdy całkowicie nie zanika, nawet w ultrarepresyjnym systemie.

Chińska gospodarka ostatnio wyraźnie słabnie. Czy system nadzoru może pozostać stabilny pomimo problemów ekonomicznych?

– Reżim rozbudował niezwykle silny aparat bezpieczeństwa i może zagwarantować stabilność w krótkim okresie. Jednak wraz z rosnącym niezadowoleniem – zarówno wśród ludności, jak i osób wewnątrz reżimu, członków elit – każdy system staje się coraz bardziej podatny na zagrożenia.

Problemy gospodarcze i strukturalne Chin – w tym starzejąca się populacja, słabnący eksport, przegrzany rynek nieruchomości – do tego korupcja i niekompetencja mogą doprowadzić do erozji lojalności w dłuższej perspektywie. Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie, ale trend jest już zauważalny. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

OBYCZAJE KULTURA NAUKA



W raju DRZWI MUSZĄ BYĆ otwarte

Był kiedyś mirażem na horyzoncie,
otwartym wyłącznie dla cnotliwych.
Dziś wszystko, czego potrzebujesz, to wi-fi

Kasper Kalinowski

Iwa popełniła grzech około południa, przez co już około dziewiątej wieczorem została razem z Adamem wygnana z Edenu – wylicza XIII-wieczny dominikanin Wincenty z Beauvois, autor popularnej średniowiecznej encyklopedii. Jednak inni autorzy, w tym sam św. Tomasz z Akwinu, podkreślali, że pierwsi ludzie przebywali tam cały tydzień.

Spór, czy przed zerwaniem owocu z Drzewa Poznania Dobra i Zła Adam i Ewa odbyli stosunek, był jeszcze bardziej burzliwy. Niektórzy, w tym autor „hipotezy dziewięciogodzinnej”, włoski historyk Agostino Inveges, zauważali, że w rajskim ogrodzie nie było pocałunków, obowiązywały osobne łóża oraz nie wymieniano „miłosnych słówek”. Jednak większość komentatorów, ze św. Tomaszem na czele, zwracała uwagę na niewielką populację globu i związaną z tym konieczność rozmnażania się.

Jedynym punktem zgodnym – nie licząc pojedynczych autorów, którzy upierali się przy niemieckim lub flamandzkim – pozostaje język, w jakim rozmawiano w Edenie. Był to oczywiście hebrajski. Drugi pewnik pojawił się dopiero pod koniec XVI w., gdy udało się oszacować wzrost pierwszych ludzi – francuski matematyk Denis Henrion orzekł, że Adam miał 37,72, a Ewa 36,19 metra. Niewykluczone więc, że byli monogamiczni nie tylko z konieczności, według ewolucjonistów im mniejszy dymorfizm między płciami, tym większy poziom monogamii.

W żadnym raju, nie tylko chrześcijańskim, oczywiście nie pracowano, co zignorował kaznodzieja John Ball, gdy w uzasadnieniu chłopskiego buntu Wata Tylera rzucił efektowne pytanie: „Kiedy Adam kopał ziemię, a Ewa przędła, gdzie był wtedy szlachcic?”

Ostatecznie problem niemoralności cielesnych uciech rozwiązano dość karkołomnie. Pierwsi ludzie uprawiali seks, ale nie dla przyjemności, lecz wyłącznie z powodu nakazu Stwórcy. Dlatego do momentu nieposłuszeństwa zachowali formalne dziewictwo, które bezpowrotnie utracili dopiero po opuszczeniu raju.

Jednorożce i nosorożce

„Marzenia ludzi stanowią część ich historii i wyjaśniają wiele ich postępków”, pisze wybitny francuski historyk Jean Delumeau we wstępie do monumentalnego dzieła „Historia raju. Ogród rozkoszy”. Odnalezienie raju na ziemi to jedno z najstarszych marzeń ludzkości, więc różnorodność prób dotarcia doń czy (co gorsza) stworzenia na Ziemi nie powinna dziwić.

Chyba najlepiej oddają to mapy tworzone przed XVI-XVII w., z których odczytaniem mielibyśmy duży problem. I nie chodzi tylko o ich niedokładność, by nie rzec – umowność, zaludniające je mityczne stworzenia czy nasze dzisiejsze poleganie na nawigacji w smartfonach.

Otóż na wschodzie przednowoczesnej mapy znajduje się raj, którego istnienia nikt nie podawał w wą-

pliwość – podobnie jak istnienia jednorożców. Marco Polo był zakłopotany, gdy napotkawszy nosorożce, musiał poinformować czytelników, że jednorożce nie zawsze są białe i przypominają raczej bawoły niż konie.

– W średniowiecznych mappa mundi chodziło nie o przydatność w nawigacji, ale o przedstawienie świata i pokazanie cudów Bożego Stworzenia w perspektywie religijnej. Dlatego Jerozolimę umieszczano na górze mapy i eksponowano kluczowe elementy wierzeń, jak ogród Eden – mówi Edward Brooke-Hitching, autor „Atlasu lądów niebytych. Największych mitów, zmyśleń i pomyłek kartografów”.

– Gdy kartografia się rozwinęła i wprowadzano pierwsze współrzędne, mapy zmieniły funkcję. Musiały uwzględniać skalę, rzeczywistą geografie i zasadniczo być wiarygodne. W miarę kolejnych odkryć Eden był przenoszony coraz dalej i dalej, do niezbadanych jeszcze części Afryki i do Ameryki Południowej. Przetrwał na mapach aż do XVIII w., ale pod koniec był już wyłącznie ozdobą.

Ale choć od XVI w. Eden stopniowo znika z map, to w latach 1540-1700 tylko po łacinie spisano blisko 150 książek poświęconych rajowi ziemskiemu.

Krzysztof Kolumb (prawie) dopływa do raju

Nie powinno już dziwić, że odnalezienie raju było jednym z oficjalnych celów wyprawy Krzysztofa Kolumba. Gdy w 1498 r., w czasie trzeciej wyprawy, postawił stopę w rejonie zatoki Paria i delty rzeki Orinoko, był przekonany, że znajduje się na krańcu Azji. Zanotował w dzienniku, że dotarł na „skraj ziemskiego raju” i że dotarłby doń, gdyby udało mu się dopłynąć w górę rzeki i znaleźć jej źródło.

Po drodze do Indii Kolumb miał również nadzieję natrafić na Antyle – wyspę założoną przez siedmiu biskupów, którym udało się ująć z pogromu, który w VIII w. mieszkańcom Półwyspu Iberyjskiego urządzili Maurowie. Każdy z nich zbudował dla siebie miasto ze złota.

Odkrycie Nowego Świata znacząco zmieniło stan wiedzy o raju. W połowie XVII w. historyk Antonio de León Pinelo stwierdził, że rdzenni Indianie zamieszkiwali kontynent jeszcze przed potopem, i to Nowy Świat był miejscem, gdzie Noe zbudował arkę (jej wyporność szacował na 28 125 ton, czyli prawie dwa razy więcej niż naszego „Batorego”).

Własne odpowiedniki ziemskiego raju miały oczywiście inne cywilizacje – Chińczycy poszukiwali raju na wschodzie, a konkretnie na wschodnim krańcu zatoki Pohaj. Była to (podobnie jak w czerpiącej z Państwa Środka mitologii japońskiej) wyspa otoczona pięcioma innymi. Jako że flora Wysp Błogosławionych potrafiła zapewnić wieczną młodość i wskrzeszać zmarłych, już w 219 r. p.n.e. legendarny pierwszy cesarz Qin wysłał wyprawę na ich poszukiwanie.

– Jednak moim ulubionym rajem jest wyspa Wak-Wak, którą można odnaleźć w tradycjach Turcji, Arabii i Indii, a także w perskich pismach z IX w., które umieszczają ją gdzieś na wschód od Korei i Chin.

• Hieronim Bosch, tryptyk „Ogród rozkoszy ziemskich”, namalowany techniką olej na desce ok. 1500 roku. Fragment centralny: „Raj rozkoszy”. Dzieło tego niderlandzkiego malarza można obecnie oglądać w Muzeum Pardo w Madridzie

FOT. DOMENA
PUBLICZNA

Wak-Wak zamieszkiwały nagie kobiety noszące jedynie grzebienie z kości słoniowej, a jej cechą charakterystyczną było gigantyczne drzewo, z którego wyrastały krzyżące ludzkie głowy – uśmiecha się Brooke-Hitching. Gdy w XIV w. ta legenda trafiła na grunt europejski, jako lokalizację Wak-Wak wskazywano Borneo, Madagaskar czy Gwineę.

No dobrze, ale co z drugim po Biblii fundamentem i punktem odniesienia cywilizacji zachodniej, czyli z Grekami? Oni z kolei tęsknili za złotym wiekiem.

Achilles wprowadza się na Wyspę Węży

Najstarsze opisy złotego wieku pochodzą z VII w. Ich autor Hezjod nie był jednak zbyt precyzyjny.

– Złoty wiek u Hezjoda to pierwsze pokolenie ludzi, którzy żyli w przyjaźni z bogami. Nie było uprawy roli, którą ludy śródziemnomorskie uznawały za – konieczny dla przetrwania, ale jednak – gwałt na ziemi. Również żegluga morska była dla starożytnych Greków gwałtem na morzu, toteż wszystkie nieszczęścia miały się zacząć od pluga i dziobu statku. W micie złotego wieku wyrażona jest nadzieja, że ten stan powróci, bo wówczas przeżywano czas nie linearnie, ale cyklicznie – wskazuje dr hab. Mateusz Stróżyński, filolog klasyczny z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Szczególnie ciekawa jest historia związana ze słynną ukraińską Wyspą Węży na Morzu Czarnym, tą od „idi na chuj, russkij wojennyj koriał”. W starożytności nazywano ją Wyspą Białą i uważano, że przebywają tam Achilles i jego poległy pod Troją przyjaciel Patroklos.

Grecy nie mieli oczywiście monopolu na złoty wiek. – W hinduizmie czymś na kształt złotego wieku jest pierwsza z czterech dharminicznych epok świata – Satya Yuga. To wiek prawdy, kiedy ludzkością rządzą bogowie, ludzie przyzwalają zaś bez oporu, aby triumfowała w nich wrodzona dobroć.

Ów czas mitycznej czystości i doskonałości znają też Chińczycy wspominający, jak to boski rolnik Shennong, utożsamiany z płomiennym cesarzem Yan Di, bogiem ognia, pomagał ludziom, zjadając po kolei każdą roślinę, aby orzec, które nadają się do spożycia, co przypłacił okrutnym cierpieniem, z którego wyzwolił się przez śmierć – opowiadał filozof i historyk religii prof. Zbigniew Mikolejko, z którym rozmawiałem niedługo przed jego śmiercią.

Raj pieczonych gołąbków

Przez zdecydowaną część historii życie było krótkim pasmem cierpienia i głodu. Czasem przerwany wojną, chorobami i gwałtami. Jak wpływało to na wizję ziemskiego raju? Niesłusznie zapomnianym i całkowicie unikatowym przykładem jest Kukania.

Jak chyba żadna inna wizja raju mówi nam, jak wyglądało życie w średniowieczu. Koncepcja była prosta – to świat odwrócony do góry nogami, w którym wszystkie (w większości krzywdzące) reguły społeczne ulegają zamianie.

– Znamy dobrze jej klimat ze sławnego obrazu Pietera Bruegla, ale nazw i wcieleń, poczynając od starożytności, ma ona wiele. W Niemczech XVIII w. określano ją mianem „kraju leni”, a w Polsce „krajiny jęczmiennej”.

To kraina obfitości bez granic, lecz też wedle literackich opisów kraina „na opak”: płaci się tam za sen, nie pracę, domy zbudowane są z wszelkiego jadal, ze studni czerpie się wino, nie wodę, pośród jej pięknych kobiet nie ma takiej, która odmówiłaby mężczyźnie, rozsądnych, pracowitych, uczciwych z niej się wypędza, a przyjmuje do niej nierobów, włóczyków, łgarzy i śpiochów.

Nie zawsze to jest tak skrajny obraz materialnego i cielesnego rozpasania. W niektórych średniowiecznych tekstach heretyckich wizja jest więc nader umiarkowana, sprowadzona do kilku najprostszych elementów. Na przykład katarska „Księga Jana Ewangelisty” obiecuje zbawionym wyznawcom, że w pośmiertnym raju będą mie-

li miejsca do siedzenia, że nie będą najwyczajniej głodni i spragnieni – komentował prof. Mikolejko.

– Kukania była marzeniem biednego człowieka – jedzenie spadało z nieba, pieczone świnie podchodziły do ciebie i błagały, aby je zjeść. Nie trzeba było pracować, a ludzie mogli spać cały dzień. Chodziło nie o obżarstwo, ale o obfitość i brak konieczności martwienia się o zwykłe trudy życia – dodaje Edward Brooke-Hitching.

W Kukanii mnisi bili swoich przełożonych, a zakonnice przeżyły publicznie poślądki. Z nieba lało się wino, a pogoda zawsze była idealna. Mimo że wiara w Kukanię zaczęła przygasać wraz z końcem średniowiecza, to w Neapolu przetrwała tradycja drzewa kukańskiego – słupa pokrytego śliską substancją, na którego szczycie umieszczany jest kawałek szynki.

W Holandii znajdują się dwie wsie, które zawdzięczają jej swoją nazwę – Kockengen i Koekange – wszystko to zasługa miejscowych, którzy w XIV w. próbowali w ten sposób przyciągnąć pracowników torfowisk.

Atlantyda, raje na morzu

Szczególne miejsce w poszukiwaniu raju zajmują wyspy.

Claude Kappler podkreślał, że wyspy rozpały wyobraźnię do tego stopnia, że gdyby sporządzić mapę świata średniowiecznego, kontynenty byłyby nieistotnym, otoczonym morzami dodatkiem do wysp.

Jeszcze w 1953 r. Lawrence Durrell pisał o liście chorób, których wciąż nie uznaje medycyna. „Wśród nich znalazłem wspo-

stawionych, w której istnienie wierzone aż do renesansu.

Jeszcze w XVI w., gdy prześladowca Żydów i władca Portugalii Manuel I Szczęśliwy rzeka się wszelkich praw do Wysp Kanaryjskich, na liście wymieniona jest Wyspa Utracóna (to jej kolejne określenie).

Z zachodniej perspektywy najważniejsze pozostaje jednak Królestwo Księdza Jana.

Jedna fałszywka. Kilka wieków marzeń

Edward Brooke-Hitching: – Pomijając ogród Eden, w czasach przed opowieściami o Eldorado, Królestwo Świętego Jana było zdecydowanie najbardziej wpływową z wizji raju.

W XIII-wiecznej Europie zapanowało poruszenie. Wszystko za sprawą listu, który książd Jan miał wysłać do bizantyńskiego cesarza Manuela I Komnena ok. 1165 r. Opisywał krainę, w której las rósł u stóp góry, z której spływała rzeka mająca źródło w raju. Jej woń łączyła zapachy wszystkich znanych przypraw. Wystarczyło się napić z niej trzykrotnie, koniecznie na czczo, aby nigdy nie zachorować i przez całe życie wyglądać jak 32-latek.

Powodzenie opowieści można przypisać również względom strategicznym. W epoce krucjat potężny i bajecznie bogaty kraj na tyłach wroga byłby dosłownie darem z nieba.

Zdaniem Brooke’a-Hitchinga: – List wywołał wiele emocji, ponieważ wydawało się, że krzyżowcy mogą zyskać nowego, potężnego i chrześcijańskiego sojusznika. Choć okazał się fałszerstwem, Królestwo Księ-

Płaci się tam za sen, ze studni czerpie się wino, kobiety nigdy nie odmawiają, pracowitych i uczciwych się wypędza

mnianą opisaną jako rzadka, acz znaczna przypadłość ducha. Są ludzie, których wyspy nieodparcie przyciągają. Sama świadomość, że znajdują się na wyspie, małym świecie otoczonym przez morze, spełnia ich nieopisaną euforią. Ci urodzeni »wspominacy« są w prostej linii potomkami Atlantydów”.

Atlantyda, pierwowzór każdej rajskiej wyspy, do dziś rozpala fora miłośników teorii spiskowych. Jest jednak dość problematyczna. Dialogi, w których Platon opisuje wyspę „większą niż Libia i Azja razem wzięte”, urywają się w momencie, kiedy mają zostać przedstawione szczegóły. Atlantyda dała jednak początek wielu wspom, których mieszkańcy nie znali cierpienia.

– Opowieść o Atlantydzie zbliżona jest nieco do opisu rajskich miejsc w Odysei. Odyseusz, wracając spod Troi, trafia na Wyspę Lotofagów porośniętą kwiatami lotosu. Towarzysze Odyseusza, którzy spróbowali tych kwiatów, doznają narkotycznej błogości i nie chcą wracać do domu. Przed powrotem na Itakę pojawia się jeszcze Scheria, wyspa Feaków. Jej mieszkańcy, którzy są dobrzy, piękni, zdrowi i młodzi, obcują również z bogami, więc to także rodzaj miejsca rajskiego – wyjaśnia dr hab. Mateusz Stróżyński.

Wyspa to również jedno z nielicznych lokalizacji raju na Zachodzie, w kulturze europejskiej. Wszystko przez św. Brendana, żyjącego w VI w. irlandzkiego mnicha, który wraz z 14 zakonnikami wypływa na zachód na pokładzie niewielkiej łodzi. Pomirnym wątki poboczne jak egzorcyzmy i podstępne przyłączenie się do załogi innych ochotników. Raj nie jest dla każdego, więc w ramach przygotowań mnisi dzielą się na grupy i poszczą przez 40 dni. Po siedmiu latach (mimo że zabrali prowiant na 40 dni) i wielu przygodach natrafiają na Wyspę Błogo-

dza Jana jeszcze przez stulecia było obecne na mapach.

Poza wystrojem z drogocennych kamieni czy łóż z szafiru uwagę współczesnego obserwatora przykuwa życie seksualne mieszkańców tego raju. Jak możemy przeczytać w liście: „Mamy bardzo urodziwe żony, ale nawiedzają nas tylko cztery razy w roku i tylko po to, by począć dzieci. Każda z nich, uświęcona przez nas jak Batszeba przez Dawida, wraca potem do swoich komnat”.

– Wiara ta utrzymała się krótko, w XII-XIII stuleciu. Już np. dla Szekspira stała się synonimem nierozumnych pragnień. Podobnych rzeczy było oczywiście mnóstwo. Z nich jedna tylko, jak mi się wydaje, na trwałe zdomowiła się w wyobraźni powszechnej, a nawet w języku potocznym. Chodzi oczywiście o Eldorado, legendarną krainę złota, o której dowiedzieli się najpierw chrześcijańscy konkwistadorzy po przybyciu do Ameryki Południowej – podkreślał prof. Zbigniew Mikolejko.

Próby odnalezienia tego złotego raju zawsze kończyły się tragicznie.

Ofiary własnego szaleństwa

Nazwa Eldorado prawdopodobnie pochodzi od krainy Złotego Kacyka, najpewniej władcy ludu Mwisików zamieszkującego góry Nowej Granady, który według hiszpańskich kronik każdego ranka nakładał na siebie złoty proszek, a później zmywał go wieczorem w jeziorze Guatavita. Poszukiwacze złota wielokrotnie podejmowali próby jego osuszenia.

Prof. Zbigniew Mikolejko: – Zaczęto tej złotej krainy pożądliwie szukać – co trwa zresztą do dzisiaj – na rozległych terenach, od południowych stanów USA po Andy i Amazonię. Łączyło się to zarówno z eks-terminacją indiańskich ludów, jak i z dra-

matami poszukiwaczy, którzy – co pokazuje znakomity film Wernera Herzoga „Aguirre, gniew boży” – stawali się szokującymi ofiarą własnego szaleństwa.

Oczywiście, trzeźwe, racjonalne umysły szczydziły z tej zabójczej uludy, jak Wolter, który obśmiał ją w „Kandydzie”, dając jednocześnie – co zgola paradoksalne – fascynujący obraz owej krainy złota. Jednak kultura masowa, czego znakomity przykład mamy w opowieściach o Indianie Jonesie, mocno i z powodzeniem podtrzymuje obraz takiego raju.

Grany przez Klausea Kinskiego Aquirre najbardziej przypomina sir Waltera Raleigha – być może ostatniego poszukiwacza Eldorado. Kilkadziesiąt lat po tym, jak Hiszpanie pogodzili się z nieistnieniem Eldorado, próbę podjęli Brytyjczycy.

Najpierw Raleigh namówił króla Jakuba I na wyprawę poszukiwawczą. Jego statki ucierpiały w czasie sztormu, załoga wszczęła bunt, a osłabiony tropikalną chorobą Raleigh zdołał jeszcze zaatakować hiszpańskie miasto Santo Tomé de Guayana nad rzeką Orinoko. Aby dopełnić zbioru nieszczeńść, w ataku poległ jego syn. Samego Raleigha za złamanie traktatu pokojowego pod presją korony hiszpańskiej ścięto w 1618 r.

Sprawy przybierały jeszcze gorszy obrót, gdy zamiast poszukiwań ziemski raj próbowano stworzyć samodzielnie.

Dekret o poligamii

Jedna z bardziej znanych prób stworzenia ziemskiego raju, na długo przed Pol Potem czy Kim Ir Senem, miała miejsce, gdy anabaptyści w 1534 r. przejęli Münster. Ogłosili nastanie millenarystycznego królestwa, a mieszkańcy, którym narzucono drakońską dyscyplinę, musieli przyjąć ponownie chrzest. Zgodnie z logiką obecną w większości zachodnich opisów raju – skoro utworzono raj, zabroniono zamykać drzwi na noc. To dopiero początek koszmaru.

Klamstwo karano śmiercią podobnie jak nieposłuszeństwo żony mężowi czy dzieci rodzicom. Oczywiście karano śmiercią nieposłuszeństwo wobec władzy.

Zaledwie 10-tysięczną populację mieszkańców trzeba było jednak powiększyć. Celem było przecież osiągnięcie zapowiedzianej w Apokalipsie liczby 144 tysięcy wybranych. Wprowadzono więc poligamię, która natrafiła na społeczny opór. Odpowiedzią dla odmiany były egzekucje. Obowiązek małżeństwa spadł na każdego mężczyznę, do tego każda kobieta musiała przyjąć oświadczyzny pierwszego kandydata.

Jeden z przywódców tego raju, Jan z Lejdy, otoczył się haremem i wiodł pełne przepychu życie w mieście obleganym przez siły wypędzonego biskupa. Trzy razy w tygodniu na ustawionym na rynku tronie wymierzał sprawiedliwość. Głodu mieszkańców obleżonego miasta nie łagodziły tańce czy wyścigi organizowane przez króla Münsteru.

Nowy Syjon zakończył szturm biskupich wojsk. Znalezionego w jednej z piwnic Jana z Lejdy zakuto w łańcuchy, najpierw obwołano po sąsiednich miastach, a później sprowadzono z powrotem do Münsteru, gdzie po przypalaniu żelazem i przystających do ducha epoki torturach ścięto.

Prof. Mikolejko: – Takie raje na ziemi, obracające się zawsze w swoje totalitarne przeciwieństwo, kończą się albo zniszczeniem przez „niecny szatański świat”, albo samozagładą, implozją. Za mojego życia takich rzeczy pojawiło się wiele w różnych kątach świata.

Najgłośniejszą sprawą była hekatomba amerykańskiej Świątyni Ludu, której bezwzględny przywódca James Jones wywiódł w dżunglę Gujany ponad 900 osób i 18 listopada 1978 r. zmusił ich do samobójstwa.

Podobnie stało się też z apokaliptyczną sektą z Teksasu – Gałęzią Dawidową, którą władał tyranisko niejaki David Koresh. W 1993 r. podczas pożaru ich siedziby Mont Carmel Center w Wako w Teksasie wywołanego przez dawidian oraz obłożenia przez agentów ATF zginęło 86 osób, w tym 22 dzieci. Nie było to ostatnie wyda-

rzenie tego rodzaju. Obawiam się, że pojawią się i kolejne.

Robotniczy raj

Historia Nowego Syjonu Jana z Lejdy – pozbawiona odniesień religijnych – prawdopodobnie cieszyłaby się dużą popularnością w Moskwie lat 20. Idee komunistyczne były obecne już w starożytności, ale XX w. miał tego pecha, że wcielono je w życie, i to w formie rewolucji. Jeśli za (symboliczny) koniec komunizmu przyjąć rozpad ZSRR w 1991 r., to ta utopia, trwając zaledwie 70 lat, pochłonięła ok. 100 milionów ofiar.

Brytyjski filozof i polityk John N. Gray zauważa, że utopijne projekty polityczne XX w., zwłaszcza komunizm, czerpały z podobnych mitów, które poruszały średnio-wieczne masy. Mimo „naukowych” podstaw w istocie ruch napędzała wiara.

Jak pisał Nikołaj Bierdiajew: „Jest w marksizmie wątek naukowy, lecz w całości jest marksizm wiarą religijną, pretenduje bowiem do misji światowego wyzwolenia i zbawcy ludzkości. Materializm jest tylko powłoką marksizmu, którą uważa za korzystną do walki z chrześcijaństwem, lecz wewnętrznie jest nową religią”.

Po ponad 100 latach „naukowe” uzasadnienie komunizmu trudno komentować. Nie chodzi tylko o lysenkizm, poszukiwanie nieśmiertelności czy próby krzyżowania ludzi z szympanсами. O absurdalność proponowanego przez Marksa i Engelsa „komunizmu pierwotnego” – rzekomej organizacji społecznej właściwej dla społeczności łowiecko-zbierackich, gdzie nie było wła-

Sny o zbiorowym zbawieniu

XX-wieczny komunizm znany aż za dobrze. O jego ewolucji, zbrodniach i przyczynach napisano całe tomy. Skrajnym przykładem są Czerwoni Khmerzy w Kambodży, którzy tworzyli społeczeństwo bezklasowe i obiecywali „świeitaną przyszłość”. Trudno oszacować liczbę ich ofiar, ale jeśli przyjąć często powtarzane 2-2,5 mln ofiar z populacji 7-milionowego kraju, to podobny odsetek udało się osiągnąć tylko francuskim rewolucjonistom, gdy krwawo stłumili monarchistyczne powstanie w Wandei. W Kambodży zabroniono jednak mówić o „zmarłych”. Zadowolono się wyrażeniem „bat kluon” (ciało, które zniknęło).

Oczywiście w żadnym z tych świeckich, komunistycznych edenów przyznanie się do bólu czy cierpienia nie było możliwe, więc oficjalnie wszyscy żyli w raju. W najlepszym wypadku wspomnienie o niedogodnościach systemu groziło samokrytyką, w najgorszym – zdecydowanie częstszym – egzekucją.

Może pomogłoby, gdyby bezduszni intelektualści jak Lenin, którego pomnik wciąż możemy podziwiać m.in. w Hamburgu, czy Marks przepracowali chociaż jeden dzień swojego życia. Tego się nie dowiemy. Jak słusznie zauważa John N. Gray: „Utopie, które stały się projektami politycznymi, to sny o zbiorowym zbawieniu, które na jawie stają się koszmarem”.

Upadek raju (chyba, że masz wi-fi)

A co z rajem religijnym, który posiadał ziemską lokalizację? Zaczął się rozpadać w XVI w. Skamielinami interesował się

go życia, rzeczywistości umieszczonej przed oczami naszego umysłu, i zmotywować nas obietnicą czegoś więcej. W takich kategoriach myślę o tym, jak próbujemy cyfrowo przekształcić naszą rzeczywistość w raj.

Jego zdaniem teraz ludzie mogą żyć cudzym życiem w internetowej idylli. Mamy tam paraspołeczne relacje, uważamy się za przyjaciół ludzi i celebrytów, których nigdy nie spotkaliśmy, przedstawiamy idealną wersję życia za pomocą starannie dobranych i obrobionych zdjęć. To to samo zniekształcenie, ale zamiast kłamstw o życiu po śmierci okłamujemy siebie nawzajem o naszym życiu doczesnym.

– Raj był kiedyś mirażem na horyzoncie, który był otwarty wyłącznie dla cnotliwych, z duszami nieskażonymi grzechem. Dziś wszystko, czego potrzebujesz, to wi-fi – podsumowuje Brooke-Hitching.

Wątpliwości nie miał również prof. Zbigniew Mikolejko: – Popularność kina i literatury fantasy nie jest w końcu rzeczą przypadku, nie jest rzeczą przypadku, że w marzeniach chcemy wędrować po przygodę i wyzwolenie od nieszczęść z hobbitemi, krasnalami, czarodziejami czy elfami, mieszkać i studiować w Hogwarcie, zmagać się z potworami i wszelkim złem.

Ba, nawet potworne akty okrucieństwa, rozpasania i podstępów nie oddalają nas od zafascynowania „Grą o tron”. Co więcej, niektóre dzieła masowej kultury, choćby pierwsze części „Gwiezdnych wojen”, których konsultantem był Joseph Campbell, jeden z największych badaczy dawnych wierzeń i mitów, powstawały jako swoista ich rewitalizacja. Nie waham się więc powiedzieć, że pragnienia i wyobrażenia raju znalazły dla siebie obecnie swój ostateczny ład: w naszych umysłach, w naszej podświadomości, imaginacji i emocji zbiorowej.

Drugim elementem współczesnego raju jest pospolita czy wręcz trywialna kraina współczesnych snów rajskich – łże-religia konsumpcjonizmu, która swe zbawcze nadzieje lokuje w siłowniach i klubach fitness, swych kapłanów i guru widzi w specjalistach od odsysania tkanki tłuszczowej i zdrowego żywienia, swoje ziemskie i „egzotyczne” raje umieszcza w ośrodkach turystycznych na Karaibach albo Bali.

Pozostaje jeszcze technologia. Obietnice Doliny Krzemowej czasem trudno odróżnić od dawnych obietnic raju.

Instrukcje na raj, których autorem jest krzem

Technoutopia to dość naiwne założenie, w którym rozwój technologii zmieni świat. Zlikwiduje głód na świecie, podniesie poziom życia i sprawi, że będziemy żyć dłużej i zdrowiej. To to samo marzenie o raju, tylko realizowane za pomocą nowych technologii.

Sam Altman, dyrektor generalny OpenAI, wielokrotnie obiecywał przywrócenie ludzkości „technooptymizmu”. O projektach Elona Muska – jeśli akurat nie ostrzega przed szkodami związanymi ze sztuczną inteligencją jako potencjalną katastrofą całej ludzkości – nie trzeba chyba nikomu przypominać. Musk wielokrotnie zapowiadał, że w projekcie Neuralink połączy ludzki mózg z komputerem.

W styczniu 2024 roku eksperci z Neuralink z sukcesem przeprowadzili pierwszą operację z udziałem człowieka. Pacjent, którego danych nie ujawniono, najpewniej z upośledzeniem ruchu bądź niewidomy, ma się czuć dobrze, a jego mózg zaczął już odbierać sygnały z komputera poprzez 64 cienšie od włosa elektrody, zaimplantowane w korze ruchowej przez robota chirurgicznego.

Musk planuje też podbić Mars. Trudno nie zgodzić się z amerykańskim filozofem dr. Emilem Torreselem, który podkreśla: „Warunki na Marsie są mniej gościnne niż na samym szczycie Mount Everestu. Nikt nie chce się przenieść na szczyt Mount Everestu”. Podobną intuicję miał kilka dekad wcześniej Stanisław Lem, który twierdził, że ludzimu potrzeba nie nowych światów do skolonizowania, ale luster, w których mogliby obserwować własne działania.

Na razie rządzą nami Big Techy, pozostajemy szczerze zamknięci w bańkach informacyjnych, a najcenniejszą walutą jest czas spędzany przed ekranem. Za godziny, które spędzamy w sieci, płacimy swoimi danymi, czyli najcenniejszą walutą XXI w.

Być może dlatego Harari zauważa, że nowe technologie mogą odwrócić humanistyczną rewolucję, odbierając ludziom władzę na rzecz algorytmów, które ludźmi nie są. Zdecydowanie bliżej nam do czegoś w rodzaju kapitalizmu nadzoru proponowanego przez Shoshannę Zuboff niż technoraju.

Wydaje się, że równie utopijny jest transhumanizm, który ma odmienić życie wszystkich – niewykluczone jednak, że za jakiś bliżej nieokreślony czas poprawi życie garstki miliarderów. Propagator idei transhumanizmu Ray Kurzweil w oczekiwaniu na moment, gdy nauka pokona śmierć, wciąż zażywa codziennie kilkadziesiąt tabletek.

Àlex Gómez-Marín, hiszpański fizyk i neuronaukowiec, przekonuje nawet, że transhumanizm to forma religii podszywająca się pod program technologiczny. Jak pisze: „Bóg już dawno umarł, ale Dolina Krzemowa buduje nowego, cyfrowego. Pod postacią programu technologicznego transhumanizm oferuje zestaw dóbr, które zazwyczaj są domeną religii: ewangelie do ewangelizacji, własnych mesjaszy, prorocтва (w tym apokalipsę) oraz perspektywy odkupienia, zbawienia, a nawet wyzwolenia z ciała, ostatecznie osiągnięcie nieśmiertelności”.

Zawód wierzących w technologię chyba nikt nie podsumował trafniej niż Peter Thiel: „Chcieliśmy latających samochodów, a mamy 140 znaków [portal X]”.

To może 15-minutowe miasta?

Pełne zieleni, miejsc do rekreacji i sielskiej integracji. Tam wszystkie nasze potrzeby spełnimy nie dalej niż kwadrans od miejsca zamieszkania. Koniec ze staniem w korkach i kolejkach. O nasz dobrobyt również zadbają algorytmy.

W uruchomionym w Singapurze pilotażowym programie Community Care Apartments trzeba zapłacić za 15-letni wynajem. W zamian seniorzy mają do dyspozycji 24-godzinny monitoring i serwis, który reaguje w sytuacjach awaryjnych, podstawowe badania stanu zdrowia, proste naprawy domowe czy zajęcia w przestrzeniach wspólnych na terenie osiedla. Pozostałe usługi, jak sprzątanie, pranie, dostawa posiłków i wspólna opieka, są za dodatkową opłatą.

Ale czy to rozwiązanie wykroczy poza eksperyment najbogatszych państw?

O miastach przyszłości wiele mówi historia Sidewalk Labs, firmy, która zamknęła ambitny projekt inteligentnej dzielnicy Quayside w Toronto. W wamyśle miał być to poligon doświadczalny dla nowych technologii. Zrównoważony rozwój, ekologia, dostępność usług, wygoda, rekreacja, integracja i dobrobyt w społecznościach miejskich w najlepszym wydaniu. Po konsultacji planów z tysiącami mieszkańców Toronto stwierdzono jednak, że projekt zawiera zbyt wiele „technologii dla samej technologii”. Nikt nie chciał tam zamieszkać.

Dobre miejsce, którego nie ma

Poszukiwania nie ustają. W 1875 r. brytyjska Admiralicja z map północnego Pacyfiku wymazała 123 nieistniejące wyspy. Ale w 2009 r. załoga statku „Justo Sierra” na podstawie wskazań z 1539 r. poszukiwała wyspki Bermei. Niczego nie znalazła, choć zastosowała nawet echosondę.

Gdzie jest więc raj. Czym jest? Czym są dawne i nowoczesne utopie? Wróćmy do Lema. Jego zdaniem utopia jest „(...) obrazem takiego świata, którego by się pragnęło – i takiego zarazem, ku któremu drogi nie znamy, a może nawet uważamy, że ona w ogóle nie istnieje”. Zresztą sam termin „utopia”, który zawdzięczamy Thomasowi Morusowi, w oryginale greckim może znaczyć jednocześnie miejsce dobre oraz takie, którego... nie ma. ●

Wystarczyło się napić z tej rzeki, koniecznie na czczo, aby nigdy nie zachorować i przez całe życie wyglądać jak 32-latek

sności prywatnej i każdy ochoczo dzielił się wszystkim, a kradzieży nie odkryto – możemy zapytać dowolnego antropologa.

O tym, że początki komunizmu jako zjawiska społecznego były w swej istocie ruchem religijnym, był przekonany sam Bertrand Russell. Inni badacze twierdzą nawet, że komunizm można opisać metaforą sekty – cała jego historia to przecież spór o właściwą interpretację słów klasyków i ojców założycieli. Wymowne jest również to, że zbiór esejów skruszonych byłych komunistów (m.in. Arthura Koestlera) wydany z początkiem zimnej wojny nosił tytuł „Bóg, który zawiódł”.

„Robotniczy raj” oferowany przez komunizm różnił się oczywiście w zależności od epoki i szerokości geograficznej. Już w XIX w. uważany za ojca spółdzielczości brytyjski socjalista Robert Owen w mieście New Harmony tworzy Nową Harmonię. Program był klasyczny – brak własności prywatnej czy samowystarczalne wspólnoty, które miały wychowywać dzieci. Nowa Harmonia przetrwała dwa lata.

Żyjący w tym samym czasie Charles Fourier próbował z kolei stworzyć „społeczność idealną”. Wierzył nawet, że postęp ludzkości doprowadzi do tego, że któregoś dnia morze zacznie smakować lemoniadą. Uprawiający wolną miłość „szczęśliwcy” mieli zamieszkiwać czterokondygnacyjne bloki – falanstery. Jednak gdy w 1857 r. pożar niszczy budynek wspólnoty, kolejny „raj” przestaje istnieć.

Podobnie myślał hrabia Saint-Simon, w którego wizji społeczeństwo miało zostać zindustrializowane i podzielone na wspólnoty zarządzane przez właścicieli fabryk.

Największą zaletą XIX wiecznych utopijnych socjalistów pozostaje ograniczony zasięg ich pomysłów.

już Leonardo da Vinci, potem ich realność przyjmuje Wolter, który początkowo je wyśmiewał. W XVIII w. wizja liczącej kilka tysięcy lat Ziemi stworzonej w sześć dni jest już nie do utrzymania.

W połowie XVII w. David Hume nie ma żadnych złudzeń. W „Naturalnej historii religii” drwi z poglądu o ogrodzie Eden i pierwszych rodzicach ludzkości. Jego zdaniem „barbarzyńskie biedujące zwierzę, jakim jest człowiek w prapoczątkach społeczeństwa”, musiało być politeistą.

Twórca współczesnej taksonomii Karol Linneusz próbuje co prawda desperacko podtrzymać pogląd o Ziemi stworzonej w ciągu sześciu dni, ale na horyzoncie mającej już Darwin i jego teoria ewolucji. Jego odkrycia trudno pogodzić z Edenem – choć nie stoją w sprzeczności z wiarą w Boga. Darwin celowo unikał jakichkolwiek wzmianek o raju, jednak pogrzał się ostatecznie.

Jak stwierdza historyk kultury Stephen Greenblatt w niewydanej po polsku książce „Powstanie i upadek Adama i Ewy” (The Rise and Fall of Adam and Eve): „Raj nie został utracony, on nigdy nie istniał”. Jego zdaniem: „Jeżeli dla autora Księgi Rodzaju ból doświadczany przez kobiety podczas porodu jest jedną z kar nałożonych na grzeszną Ewę, to z punktu widzenia biologii ewolucyjnej zaś świadcza on o udanym biologicznym kompromisie [między szerokością kanału rodnego a rozmiarami mózgu *Homo sapiens*].

Zmarły w 1984 r. poeta i malarz Henri Michaux napisał: „Nie jesteśmy stuleciem, które miałoby swój raj”.

– Monsieur Michaux nie doczekał się nadejścia internetu – opowiada Edward Brooke-Hitching. – Raj zawsze był częścią umysłu i rozpał wyobraźnię. Został zaprojektowany, aby odciągnąć nas od prawdziwe-

Adam Wajrak

Pojawił się nagle niezbyt wczesnym rankiem czwartego dnia mojej rzecznej podróży. Zobaczyłem go, gdy mieszałem zalaną wrzątkiem owsiankę z suszonymi owocami. Powinienem ja zamknąć w plastikowym termosie, żeby nasiąkała i nabierała mocy, ale przez niego omal nie wylałem jej na wiślany piach.

Leciał bardzo nisko, a właściwie szybował. Ciało wzdłuż linii drzew i krzewów na przeciwnym brzegu oddalonym od wyspy, z której bezzadnie się na niego gapilem, o kilkanaście metrów. Intensywna czerwień nóg i dzioba, białe jak śnieg brzuch i pierś oraz czarna jak węgiel reszta aż były po oczach na tle soczystej zieleni.

Ale i bez tego widziałem go doskonale i wiedziałem, że on też musiał mnie widzieć.

Myszę, że zobaczył mnie wcześniej i tylko przeleciał, żeby mi się lepiej przyjrzeć. A gdy po chwili straciłem go z oczu i minęło zaskoczenie, tylko wycedziłem do siebie: – Ty parszywy leniu... szlag właśnie trafił twoje marzenie – byłem naprawdę zły na siebie.

Bo nie tak miało być. Miałem wstać przed świtem. Usiąść zamaskowany w wejściu do namiotu albo przycupnąć przy leżącym wielkim drzewie i poczekać na niesamowite ptaki. Bo że jakieś się pojawiają, to byłem pewien.

Kiedy poprzedniego dnia późnym popołudniem dopływałem do wyspy, już widziałem, że to specjalne miejsce. Po pierwsze, to była pierwsza prawdziwa wyspa. Czyli nie piaszczysta ławica, która jesienią lub wiosną zniknie, gdy tylko stan wody podniesie się o metr. To była wyspa o wysokim brzegu, a o jej trwałości świadczył gęsty liściasty las, który ja wieńczył jak zielona czupryna.

Jeżeli bywały momenty, w których przez wyspę przelewała się woda, były na tyle krótkie, że drzewa mogły je przetrwać. Wyspę poprzedzała wielka piaszczysta ławica, która zapewne przy jeszcze niższych stanach wody łączyła się z nią. Teraz była oddzielona kanałem, przez który część wiślanej wody wracała do głównego nurtu opływającego wyspę od wschodu.

Tu kilka słów wyjaśnienia, bo jak zwrócił mi uwagę czytelnik po pierwszym tekście o Wiśle – „Najdziksza rzeka współczesnej Europy” w „GW” z 23 listopada 2024, lub na wyborcza.pl – na opak stosowałem nazwy rzecznych wytworów. Na przykład pisałem, że czajki siedziały na piaszczystych lachach. Utało się tak mówić, ale to nie jest fachowe. Łachą nazywamy starorzecze, a piaszczyste, niezbyt trwałe wyspy to właśnie ławice.

Kanałem przelewała się wartko mniejsza część wody, większość płynęła leniwie dalej wzdłuż zachodniego brzegu wyspy szeroką i płytką odnogą. Wysoki urwisty brzeg raz to wyspy, raz to stałego lądu wskazywał, że nie zawsze tak musi być i kiedy w Wiśle są wysokie stany, woda w odnodze rwie jak szalona.

Teraz było spokojnie i razem z zielonością wyspy i brzegu odnoga sprawiała wrażenie jakiegoś kawałka Amazonii. Od razu było widać, że tu będzie ciekawiej niż w głównym nurcie rzeki. A przede wszystkim tu była szansa na cień.

To w tę odnogę skierowałem moją kanadyjkę „Lutkę”. Rzeczywiście tu była dzicz. Między zwalonymi drzewami brodziły czaple białe i siwe, gdy wpłynąłem, zerwało się stado niewielkich kaczek, chyba cyraneczek. Wszędzie było słychać wysoki, dźwięczny głos zimorodków.

Płytko wolno płynąca woda odnogi sprzyjała wszelkim ptasim rybożercom, bo oczywiście łatwiej jest w takim miejscu dopaść rybę, gdy się brodzi jak czaple albo nurkuje na niewielkie głębokości jak zimorodki.

Chińska szczęzuja wyrzuca różanki

Od razu bardzo mi się to miejsce spodobało. Najpierw zacumowałem przy zachod-

Najdziksza rzeka współczesnej Europy cz.2

WISŁA ROZPUSZCZA WŁOSY

Ot tak, po prostu między jedną a drugą łyżką owsianki nagle miałem przed sobą moje marzenie.

nim brzegu odnogi, żeby w cieniu drzew i krzewów przeczekać ostatnie godziny upału, a potem przepłynąłem na piaszczysty jezior wyspy.

„Lutkę” przycumowałem do wielkiego zwalonego drzewa, które, sądząc po tym, jak bardzo było wkopane w plażę, musiało zostać przyniesione przez prąd dawno temu. Na brzegu zobaczyłem tropy jeleni i skorupy wielkich małży.

To mnie bardzo ucieszyło. Te długowieczne i wielkie mięczaki dostały od nas, ludzi, w kość. Dawniej wybierano je na karmę dla trzody chlewnej i drobiu, później dobiło je zanieczyszczenie. Ucieszyłem się, że małże wracają, choć jest tu pewien haczyk. Leżące przede mną wielkie muszle może należały do jednego z naszych gatunków szczęzu lub też obcej i inwazyjnej szczęzu chińskiej.

Ta ostatnia powoli zajmuje europejskie wody. Rozprzestrzenia się m.in. dzięki temu, że jej tolerancja na zanieczyszczenie wody jest znacznie większa niż krajowych gatunków i bardzo sprzyja jej ocieplanie się klimatu.

Do nas trafiła ponad 40 lat temu ze wprowadzonymi z Węgier rybami, stanowi poważne zagrożenie nie tylko dla naszych małży, ponieważ jej larwy konkurują na ciachach ryb z larwami rodzimych mięczaków, ale również jest niebezpieczna dla pewnej niewielkiej i słicznej rybki. Mowa o różance. Być może główny nurt Wisły nie jest dla niej odpowiednim miejscem, ale wszelkie odnogi i starorzecza już tak.

Różanki w okresie godów są naprawdę kolorowe – ich pletwy robią się czerwone, a linia boczna w okolicach ogona niebieska. Gdy w pobliżu są małże, te małe rybki stają się naprawdę podniecone. Samica z pomo-

cą długiego pokładelka składa przez otwór wypustowy – czyli ten, z którego małż wypuszcza przefiltrowaną wodę – ikrę wprost do jamy skrzelowej mięczaka, a samiec wypuszcza nasienie przy otworze wpustowym.

Do zapłodnienia dochodzi w jamie skrzelowej małża i tam w bardzo bezpiecznym środowisku rozwija się ikra przez około 20 dni, a później młode rybki pozostają w nim przez dwa tygodnie, aż do zniknięcia woreczka żółtkowego. Ten numer nie wychodzi jednak różankom ze szczęzuji chińskiej, ponieważ ta potrafi pozbywać się ich ikrę ze swojej jamy skrzelowej.

Muszę przyznać, że kiedy przyglądałem się rozrzuconym na brzegu muszkom, nie rozmyślałem, która chroniła inwazyjnego mięczaka. Duża liczba tych muszli świadczyła o tym, że ktoś je wyciąga z wody i wyjada ich zawartość. Stawiałem oczywiście na wydrę. Miejsce zapowiadało się genialnie do obserwacji.

Byłem pewien, że zobaczę głównie ptaki i wydrę jako bonus. Trzeba było tylko wstać przed wschodem. Taki był plan i na planie się skończyło. Przyrodnicza ambicja przegrała z lenistwem. Zwyczajnie zaspałem. Budzik, który próbował przypomnieć mi o ptakach, wyłączyłem jednym ruchem ręki.

Z namiotu wywlokłem się grupą po dziawie, kiedy słońce było wysoko, zrobiło się już naprawdę ciepło, a na opływającej wyspie odnogi nie było widać ani jednego stworzenia. Nawet zimorodki zamilkły. – No dobra, ale przynajmniej się wyspałem – pocieszałem się i zabrałem za śniadanie.

Procedura była dość prosta. Najpierw zbieram trochę suchych drobnych patyków, których zwykle na większości wiślanych wysp nie brakuje – wynoszą je prądy oraz

bobry, choć po bobrach nie wszystkie usychają, ale o tym później.

Wlewam wodę do mojego czajnika-palnika i podpalam pod spodem, czasami dorzucam parę patyczków od góry do komina. Po góra dwóch minutach półtora litra wody bulgotaniem dawało znać, że mogę zalać wrzątkiem owsiankę, a na palniku stawałem kawiarkę. A jak patyczków nie było albo nie chciało mi się ich zbierać, to gotowałem na benzynowej maszynce, której jednak więcej czasu zajmowało doprowadzenie wody do wrzenia.

Oczywiście owsiankę trzeba wymieszać, żeby nie zrobiły się grudy. I w czasie tego mieszania ten cholerny bocian śmignął mi przed nosem. A bardzo chciałem go sfotografować.

Czarno-biała para z szarymi dziećmi

Bocian czarny to takie moje trochę marzenie i trochę przekleństwo. Dawno temu, bo w sierpniu 2010 roku, kręciliśmy z kolegami w Popradzkim Parku Krajobrazowym przyrodniczy program dla Telewizji Polskiej pt. „Wajrak na tropie”, który miał opowiadać o salamandrach.

Byliśmy przekonani, że to będzie łatwizna, ale szybko się okazało, że znalezienie salamandry w miejscach, gdzie powinno być ich naprawdę dużo, graniczyło z cudem. Przez wiele dni nie mogliśmy znaleźć żadnej. Dopiero ostatniego dnia poczułem kleszcza, który wbił mi się w bok tuż nad pasem. Żeby go wyciągnąć, musiałem obrócić głowę i spojrzeć w dół. Dzięki temu zobaczyłem salamandrę, jedyną, jaką udało się nakręcić.

Ale szukając tych płazów, natrafiałem na niego. W Muszynie tuż obok zerwanego przez powódź mostu w bystrych wodach



• „Razem z zielenością wyspy i brzegu ta odnoga Wisły sprawiała wrażenie kawałka Amazonii. Było widać, że tu będzie ciekawie... Tam skierowałem moją kanadyjkę »Lutrę«”

FOT. ADAM WAJRAK

Popradu polował piękny czarny bocian. Nie przeszkadzała mu bliskość miasta i ludzi. Wtedy zobaczyłem, że ta jego czerń to nie tylko czerń, mieni się fioletami i zieleniami. Zapragnąłem go spotykać znów w jakiejś dziczy. Zapragnąłem hajstry, bo tak brzmi jego ludowa nazywa.

Bociany czarne nie tylko z wyglądu są inne niż białe. Przede wszystkim żyją w zupełnie innym środowisku. Stronią od człowieka i robią gniazda na wielkich leśnych drzewach. Białe, wydaje się, miałby o wiele trudniejsze życie bez człowieka i jego kominów, słupów i dachów.

Kolejną różnicą jest sposób polowania i pokarm. Bocian biały, choć potrafi polować w płytkiej wodzie, to jednak bardziej jest łowcą lądowym. Jego pokarm to: dżdżownice, pasikoniki, gryzonie, niewielkie ptaki i bardzo rzadko żaby, a jeszcze rzadziej ryby.

Czarny jest wodnym łowcą. Penetruje płytkie wody rzek, jezior, leśne rozlewiska i niewielkie cieki wodne. Poluje na ryby, płazy, owady i wszystko, co można w wodzie złapać. Różne tereny łowieckie, różne środowisko polowania, to i różne narzędzia. Dziób białego to solidny, gruby i prosty sztylet. Czarnego wydaje się nieco delikatniejszy i jakby podgięty do góry tak, by służył do grzebania w dnie albo mule.

Nie oznacza to, że czarny na suchym lądzie jest bezradny. Dawno temu, kiedy jeszcze prowadziliśmy z Nurią w Teremiskach centrum rehabilitacji zwierząt chronionych, Bożena i Jan Walencikowie, znani przyrodniczy filmowcy, powierzyli nam młodego bociana czarnego. Był u nas zaledwie parę dni i choć dostawał ryby, to nasza ogrodowa populacja jaszczurek żyworodnych została przez niego tak przetrzebiona, że nie mo-

gła się podnieść do właściwego stanu przez parę lat.

Miedzy bocianem białym i czarnym jest też jeszcze olbrzymia różnica w liczebnościach. Bocianów białych w Polsce może żyć nawet 40-50 tysięcy par, czarnych nie ma więcej niż 2 tysiące par. Wydawałoby się, że drogi tych ptaków ze względu na różne środowiska życia i inną dietę się nie przecinają.

Dlatego olbrzymią niespodzianką była odnotowana w Niemczech mieszana para. Samica czarnego i samiec białego dochowali się dwójki... szarych dzieci. Rodzice zachowali różne upodobania pokarmowe. Mama karmiła je głównie rybami, tata owadami i gryzoniami.

Przyrodniczy frajer

Po spotkaniu w Muszynie zapragnąłem spotkać bociana czarnego w nieco bardziej dzikich okolicznościach przyrody. Teoretycznie nic prostszego. Mieszkam przecież w Puszczy Białowieskiej, a tu mieszka kilka par bocianów czarnych. Mało tego – jedna z nich odwiedza jedną z najbardziej prze-

ze mnie uczęszczanych puszczańskich leśnych dróg.

Na Trybie Grubolipnej prawie co roku wiosną widuję bociana czarnego, który poluje w wodzie przydrożnych rowów i na okolicznych leśnych rozlewiskach. Czasami staje sobie na środku tej prostej jak linijka drogi, jakby mnie prowokował. Nie ma żadnych szans, aby się do niego zbliżyć. Musiałem nad jednym z rozlewisk postawić ukrycie.

To była prawdziwa loteria. Bo bocian pojawiał się tam, żeby polować na żaby w czasie ich godów. Widać było, że jak nie ma żab, nie ma bocianów. Gwałtownie zmieniający się klimat wszystko skomplikował. Na przykład nagle robiło się bardzo ciepło i za miłość na leśnych rozlewiskach zabierały się najpierw żaby trawne, a zaraz za nimi moczarowe i szybko uwijały się ze swoimi sprawami, jeszcze przed przylotem bocianów.

Albo fala chłodów przerywała żabie gody. Wiele dni spędziłem w ukryciu, szczękając zębami, bo ranki wczesną wiosną dają w kość. Ale byłem gotowy na poświęcenie, czekając na bociana, który będzie polował przed moim obiektywem. W końcu się pojawił, chodził jednak z boku, choć bardzo blisko. Widziałem, jak tym swoim czerwonym dziobem przeczesuje dno, ale nie mogłem zrobić zdjęcia, bo musiałbym przestać aparat z wielkim obiektywem na statywie i na pewno bym go spłoszył.

A później stało się coś najgorszego na świecie. Ten wspaniały wyczekiwany bocian czarny wyszedł na małą wysepkę, na której było moje ukrycie, i może cztery, może pięć metrów ode mnie zaczął czyścić pióra. Piękne zdjęcie można byłoby zrobić, gdybym mógł jakoś delikatnie przestawić ten wielki sprzęt fotograficzny i gdyby ten bezczelny bocian nie stał za drzewem, zza którego tylko co jakiś czas błyskał wspaniale czerwony dziób w czasie czyszczenia piór.

Miałem ze sobą drugi aparat z krótkim obiektywem i coś tam zrobiłem, ale to nie było to, czego pragnąłem. A potem z tego miejsca wystartował i już nie wrócił.

Kiedy dowiedziałem się od Romka Wołańskiego, przyjaciela z młodych lat, który spływa Wisłą z przyjaciółmi, że widuje bociany czarne na wiślanych lachach, oczy mi się zaświeciły. A czwartego dnia mojej wiślanej podróży wiedziałem, że właśnie przez moje lenistwo pierwszą okazję na takie spotkanie koncertowo położyłem.

Okazałem się ostatnim przyrodniczym frajerem. Mało tego, wiedziałem, że taka okazja może się już nie powtórzyć, bo tak to zwykle bywa z przyrodniczymi okazjami do fotografii, one się raczej nie powtarzają.

Cud bociani

Siedziałem na piachu zgorzkniały i jadłem tę owsiankę bez specjalnego apetytu, popijając kawą, która też jakoś mi nie za bardzo smakowała. Chciałem jak najszybciej się zabrać z tego miejsca, nie tylko ze względu na ten niefart z bocianem, ale też dlatego, że nie chciałem płynąć w upale. Jadłem więc szybciej, ale nie dokończyłem. Bo nagle bęc! I mam tego bociana przed sobą. Serio!

Drań zawrócił i wylądował mi dosłownie przed nosem. Ot tak, po prostu między jedną a drugą łyżką owsianki nagle miałem przed sobą moje marzenie! Zmarnowaną i odzyskaną jakimś cudem szansę, bo chyba sami rozumiecie, że to był cud.

Zaraz po wylądowaniu odprawił coś, co wyglądało jak szamański taniec. Nagle otworzył skrzydła i z szeroko rozłożonymi dreptał i podskakiwał, robiąc półobro-

ty. Później skojarzyłem, że to nic innego jak polowanie na ryby. Drepcząc i podskakując, bocian je ploszył, a rozłożone skrzydła rzucały cień na wodę i przez to to, co w niej pływało, było lepiej widoczne niż wtedy, gdy odbija się od niej ostre światło.

Zbaraniałem, ale tylko na kilka sekund. Na szczęście aparat miałem tuż obok. Kilka dni na Wiśle nauczyło mnie, że nie ma co się z nim rozstawać. Leżał na pomarańczowym wodoodpornym plecaku. Powoli odłożyłem owsiankę, wyciągnąłem rękę po aparat, cały czas patrząc na bociana. Dokładnie tak jak robią to na filmach o Dzikim Zachodzie. Sięgają po broń albo bardzo szybko, albo właśnie powoli, patrząc prosto w twarz przeciwnika.

Powoli przyłożyłem aparat do oka, a on nic. Lepiej niż nic. Gdy już odtarńczył ten szalony taniec, stanął i zaczął sobie czyścić pióra, tym swoim wielkim czerwonym dziobem gmerał pod skrzydłem. Tak robi ptak, który czuje się pewnie i komfortowo.

Byłem urzeczony. Nie tylko tym, jak zachowywał się bocian, ale również jego kolorami. Krwista czerwień dzioba i nóg była powalająca, wydawała się znacznie czerniejsza niż u bocianów białych. Czerń mieniła się fioletem i zielenią jak szlachetny klejnot.

A potem znów zaczął tym swoim dziwnym dziobem przeszukiwać wodę już bez rozkładania skrzydeł i skakania, a ja zrobiłem się na tyle odważny, że skulony podszedłem do namiotu po statyw. Nie miałem czasu na szukanie stopki i poprawne przypinanie aparatu, ale oparłem aparat na statywie i poza zdjęciami nagrałem krótki film.

Odszedł w górę odnogi i w końcu gdzieś zniknął za powalonymi drzewami, a ja wróciłem do zimnej kawy i zimnej owsianki, które smakowały jak nigdy. Zabrałem się do pakowania materaca, namiotu, całej kuchni, baterii słonecznych i akumulatorów. Na koniec wrzuciłem do „Lutry” pomarańczowy nieprzemakalny plecak z aparatem, tak aby cały czas mieć go pod ręką.

Nie tylko ptasie radio

Pierwszego dnia przepłynąłem niewiele. Coś około 10 km. Późno wyruszałem z Tarnobrzega, płynąłem wolno, bo niezbyt pewnie czułem się w załadowanej po brzegi „Lutrze”.

Kajak byłby szybszy, ale w płynięciu kanadyjką od razu mi się spodobała właśnie jej powolność, stabilność i to, że siedzę wyżej niż w kajaku. Przez to widziałem więcej. Powoli więc mijalem stada czajek i czapli siedzących na piaszczystych wysepkach i późnym popołudniem jedną z takich ławic wybrałem na nocowanie. To brzmi nawet bardzo romantycznie: rozbiłem namiot na ławicy.

Nie było w tym nic trudnego, ale tylko dlatego, że się do tego przygotowałem. Zamiast zwykłych śledzi, które zwykle mają nieco mniej niż 20 cm i przy pierwszym podmuchu wyskoczyłyby z piasku, zabrałem długie, 30-centymetrowe, które wchodziły głęboko.

Miejsce było dzikie, ale widać było Sandomierz. Choć miałem do niego ładnych parę kilometrów, zdawało się, że jest bardzo blisko. To było złudzenie, na które później jeszcze parę razy dałem się nabrać. Najpierw widziałem świetnie wysyp, mosty albo kominy elektrowni, po czym to wszystko zniknęło i pojawiała się po wielu godzinach wiosłowania. Dopiero po jakimś czasie zadałem sobie sprawę, że to przez to, że płynąłem w dół rzeki, czyli płynąłem z górki. Jak na wielkiej zjeżdżalni. Gdy byłem daleko, widziałem obiekt wyraźnie, bo z wysokości, a później z każdym metrem rzeki byłem niżej i niżej.

Po szybkim posiłku wpakowałem się ze śpiworem do namiotu, zrobiłem zapiski w dzienniku i zamknąłem oczy. Najpierw coś zapiszczało, później dźwięcznie zagwizdało, potem plusnęło, jakby ktoś rzucił ciężki wór do wody, potem coś krzyknęło przerażającym skrzeczącym głosem jak strzyga (późniejsze konsultacje z wiedzącym wszystko o ptakach Przemysławem Chyla-

reckim wskazują na to, że była to czapla siwa)... a potem rozpętało się dźwiękowe wariactwo.

Zawszad było słycać pluski, krzyki chrapliwe i mniej chrapliwe, piski, gwizdania. Coś miotalo się w wodzie, coś latało w kółko ze świstem. Cała rzeka oszalała i się rozgadała. Tego się nie spodziewałem.

W Puszczy sierpień, szczególnie na początku, jest chyba najcichszym miesiącem, może zaraz po listopadzie i grudniu. Na Wiśle odbywało się istne szaleństwo, w którym odgrywały pewną rolę bobry i wielkie ryby, ale prym wiodły ptaki, pogwizdując, piszcząc i skrzecząc. Nie wyspałem się tej nocy. Wyrwał mnie ze snu często jakiś demoniczny dźwięk.

A powinienem się przecież tego spodziewać. Początek sierpnia to czas wielkiej ptasiej wędrówki. Zapewne pomyślicie sobie, że Wisła jest jak autostrada, że nad nią prowadzi jakiś korytarz powietrzny, którym wędrują ptaki. Niekoniecznie. Jest kluczowa, ale inaczej.

Po powrocie z wycieczki Przemek Chyla-recki wyjaśnił mi, że lot w czasie ptasiej migracji u większości gatunków to zaledwie 30 procent czasu. Przez pozostałe 70 ptaki muszą na ten lot, który jest niebywałym wysiłkiem, zebrać siły. Czyli muszą coś zjeść i gdzieś odpocząć. A dzika Wisła jest idealnym miejscem na jedno i drugie.

Przekonałem się o tym następnego dnia. Szybko minąłem Sandomierz z hałaśliwym nadbrzeżem. Właśnie tam pierwszy raz przepłynąłem pod mostem i, uwierzcie mi, jest to przeżycie patrzeć na taką budowlę od spodu, szczególnie gdy płynie się w takiej lupince jak „Lutra”. Tam huknął na mnie swoimi syrenami jeden z wycieczkowych statków, żebym natychmiast zabierał się z jego kursu.

A potem zrobiło się spokojnie. Z każdą chwilą było mniej ludzi na brzegu i coraz więcej ptaków. Wisła w okolicach Sandomierza jest ze względu na żeglugę mocno uregulowana, wciśnięta w gorset i płynie dość wąskim korytem. Owszem, wygodnie się tam płynie, bo nie ma mielizn, niewiele trzeba myśleć i kombinować, bo nurt praktycznie wszędzie jest szybki, ale co z tego, skoro jest to przyrodnicza nuda i pustynia?

Tam, gdzie Wisła się rozlewa między wyspami i ławicami, tam, gdzie są starorzecza, tam, gdzie płynie, jakby rozpuściła włosy – tam kipi od życia. Nic w tym dziwnego. Tu mielizna, tam głębina, tu piaszczysta plaża, tam kawałek mulistego brzegu, tu wartka woda nagrzana od słońca gdzieś na środku rzeki, a obok, dosłownie, po drugiej stronie wysypu, wolno płynąca odnoga zaciecioną przez wielkie drzewa.

Tu brzeg łagodnie schodzący do wody, a za chwilę ostra skarpa. Wisła tam, gdzie nie próbował jej ujarznić człowiek, albo tam, gdzie dzięki sile wodnego żywiołu odzyskała trochę dzikości, to oszalamiające bogactwo środowisk i nisz do życia dla przeróżnych jej mieszkańców i przybyszów. Nawet na małym skrawku może się od nich kłębić. Takie miejsca odkrywałem najczęściej w czasie postojów.

W pułapce kałuży

Tuż za Sandomierzem dopadł mnie skwar. Słońce potrafi dawać się we znaki na środku tak szerokiej rzeki. Musiałem szukać cienia i tak trafiłem do niewielkiej zatoczki, za którą było nie tyle starorzecze, ile raczej długa kilunastometrowa kałuża.

Trudno było się do niej zbliżyć, bo otoczona była wiślanym mulem, który paskudnie lepiał się do moich sandałów. Niewiele brakowało, a wywinąłbym kozła. Mule, który pomimo upałów nie zdążył się zamienić w spękaną skorupę, świadczył o tym, że kałuża stała się kałużą całkiem niedawno.

W jej płytkiej wodzie i na mulistym brzegu za pokarmem uganiały się ptaki siewkowane. Brodziły, a właściwie biegały jak szalone: kwokacz o śmiesznych nieco podgię-



FOT. ADAM WAJRAK

• **„Bocian czarny to wodny łowca. Penetruje płytkie wody rzek, jezior, leśne rozlewiska. Poluje na ryby, płazy, owady i wszystko, co można w wodzie znaleźć. Pragnąłem go spotkać. I nagle wylądował mi przed nosem. Tak między jedną łyżką owsianki a drugą.”**

tym do góry dziobie i znacznie mniejsze od niego brodźce. Ciekawe było to, że kwokacz zasuwiał pierwszy, a brodźce biegły za nim. Jakby torował im drogę. Korzystały z tego, że wreszcie mogły pogrzebać w pełnym różnych bezkręgowców dnie rzeki, które jeszcze kilka dni wcześniej, gdy była wyższa woda, było dla nich nieosiągalne.

O tym, że całkiem niedawno płynęła tu woda, świadczyła też wielka, szara kłoda, która przypominała uśpionego prehistorycznego gada. Miała szaromulisty kolor, czyli zwykle większość czasu spędzała pod powierzchnią, natomiast białe plamki po ptasich odchodach świadczyły o tym, że gdy woda opada, na jej grzbiecie natychmiast przysiadają ptaki. Jakże? Już wkrótce miałem się dowiedzieć.

Usiadłem w cieniu pod krzewami z widokiem na kałużę. Co chwila nadlatywały nad nią smukłe rybitwy, na parę sekund zawisały nad nią, po czym składały skrzydła i jak grom z jasnego nieba uderzały w wodę. O dziwo prawie wszystkie ich ataki kończyły się sukcesem.

To sprawiło, że gdy tylko nieco się schłodziłem, nie bacząc na lepiący się do sandałów mul, postanowiłem lepiej się przyjrzeć tej kałuży. Na mule odkryłem odciski stóp czapli i łap wydry. Wszystko było jasne – opadająca woda odciąga tu ryby.

Widziałem małe i średnie, nie wiem, jakich gatunków, szaleńczo miotające się w niewielkich ławicach od jednego do drugiego brzegu kałuży. Być może były i większe, ale brak jakichkolwiek kryjówek sprawił, że stały się łatwym celem czapli i wydry.

Dla ryb kałuża okazała się pułapką, a dla wydry, czapli i rybitw okazją. Nie tylko dla nich. Gdy stałem nad mulistym brzegiem,

śmignął nad nią jak niebieski pocisk zimorodek. Usiadł sobie na wielkiej, szarej kłodzie, z której po kilkunastu sekundach uderzył w wodę. Jemu akurat nie udało się nic złapać. Na jakiś czas zniknął, po czym się pojawił, żeby znów zanurkować za jakąś rybką i znów zniknął. I tak parę razy. Podejrzewałem, że w najbliższej okolicy ma kilka takich kałuż do sprawdzenia.

Woda się podnosi

Tego samego dnia zobaczyłem jeszcze jeden gatunek korzystający z bogactwa Wisły. Taki, którego się tu nie spodziewałem. Najpierw, jeszcze odpoczywając w cieniu w pobliżu kałuży pułapki, usłyszałem ich dźwięczne gulgotanie, którego nigdy z niczym nie pomyłę. Żolny! Genialni lotnicy! Piękne, kolorowe, wręcz egzotycznie barwne ptaki gnieźdzące się w wykopanych w skarpach norkach, w głębi łąd.

Żolny kojarzyły mi się z suchymi, rozgrzanymi polami, na których łapią duże owady, ale nie z rzeką. Ale chwilę później, już w łódce, przecierałem oczy ze zdumienia. Żolny jedna po drugiej nadlatywały nad wodę i coś chwytaly, widać trwała tam rójka jakichś owadów. Ptaki postanowiły nie przegapić takiej okazji.

A potem minąłem ujście Sanu do Wisły i chwilę później spotkałem dwóch wspnianych facetów z Polskiego Cechu Flisaków, Szkutników i Sterników na wielkiej drewnianej tradycyjnej łodzi. Żagle leżały zwinięte. Szli na silniku, ale co jakiś czas musieli pomagać sobie wiosłami. Woda na Wiśle, ale też na Sanie tego lata była wyjątkowo niska.

Chwilę pogadałszy o pływaniu Wisłą, choć ja raczej słuchałem, poza zachwytem nie miałem wiele do powiedzenia. Na noc-

leg wybrałem niewielką ławicę. Gdzieś musiała być w pobliżu kolonia żołą, bo słyszałem je do późna.

Nad ranem byłem już gotowy do wypłynięcia, kiedy nadeszła burza. Strach tak siedzieć w namiocie na piaszczystym skrawku na środku rzeki, gdy wieje, wali grzmotami i zaczyna deszczem. Namiot wytrzymał. Burza przeszła, ale zaraz po niej zaczęła się wyraźnie podnosić woda. Spojrzałem w telefonie na prognozy IMGW. Woda ma się podnieść o 40 cm. Czy to oznacza, że podmyje namiot? Czy ta fala nie porwie „Lutry” przywiązanej do powalonego drzewa?

Jeszcze chwilę temu to drzewo leżało na suchym piasku, a teraz już jest całe w wodzie. Było za późno na ruszanie w drogę. Zresztą pogoda i prognozy wyglądały niepewnie. Żeby spać spokojnie, przeniosłem namiot i obóz wyżej, gdzie było trochę roślinności, i przycumowałem „Lutę” przy wyższym brzegu. Noc okazała się spokojna, następnego dnia ruszyłem dalej.

Sarna przepływa Wisłę

Przed Zawichostem zobaczyłem polującego rybolowa. Trwało to tylko chwilę, bo biedak nic nie złapał i poleciał w dół rzeki. Przed Annopolem na prawym brzegu zajaśniały piękne wapienne białe skały. Już widziałem wielki most w Annopolu, gdy nagle w wodzie pojawiło się coś, co z początku wziąłem za bobra. Przyłożyłem lornetkę do oczu i zbaraniałem. Wisłę, i to w miejscu, gdzie musiała być głęboko, cięła sarna. Nad wodę wystawała tylko głowa, ale płynęła, jakby pływanie było jej żywiołem, a zamiast racic miała pletwy.

Co mogło ją wpędzić do wody? Może ludzie na drugim brzegu, może psy, może jakieś drapieżniki? Miałem wielką ochotę ją sfotografować z bliska, ale byłem pewien, że to dla niej ogromnie stresująca sytuacja, więc choć na początku pociągnąłem solidnie wiosłem, gdy przyszła refleksja – przyhamowałem.

Tymczasem sarna dopłynęła do brzegu z wapiennymi skałami i, zamiast uciekać w popłochu, zabrała się do skubania jakiś roślin. Ona sobie przepłynęła Wisłę nie dlatego, że ktoś ją ścigał. Przepłynęła, bo na tych nagrzanym słońcem wapieniach rosło coś, co jej smakowało, albo czego akurat potrzebowała.

A potem zbliżyłem się do mostu, z którego dochodziły przedziwne odgłosy, jakby trwała tam zabawa, festyn lub gigantyczny grill. Po rzece niosły się śpiewy, krzyki pomieszane z trąbieniem ciężarówek. Wszystko było wymieszane i zniekształcone i nie wiedziałem, o co chodzi.

Dopiero dzięki lornecie zobaczyłem, że po moście maszerują pielgrzymki. Każda kolumna miała flagi i głośniki i coś tam sobie śpiewała lub wykrzykiwała, a kierowcy trąbili na nie może z sympatią, a może nie, bo na moście zaczęły się tworzyć korki. Z poziomu rzeki to wszystko wyglądało dość egzotycznie. Tym bardziej że na wystających z wody konarach siedziały sobie czaple białe i wypatrywały ryb, ignorując ludzki hałas.

A potem pokonałem przerwę w jednej ostrodze, za pomocą której ludzie próbowali ujarzmić kiedyś Wisłę. Woda między kamieniami ostrogi rwała i szumiała. Zrobił się tam mały wodospad i trochę miałem stracha, czy się na nim nie wywrócę. Nie mogłem jednak zawrócić. Wycelowałem dziobem w środek. „Lutra” przeszła przeszkodę bardzo zgrabnie, choć kamienie zachrobotyły o kadłub. Pod samym mostem na chwilę utknąłem na niewielkiej mieliznie, ale wystarczyło odepchnąć się wiosłem od dna, by popłynąć dalej.

Rzeka robiła się coraz bardziej dzika. W końcu zobaczyłem wyspę i opływającą ją odnogę. Wpłynąłem w nią. Coś podpowiadało mi, że będę miał tam niezwykle przygody. Oczywiście, jeżeli wstanę rano. ●

Chińska szczeżuja, która trafiła do nas z Węgier, jest niebezpieczna dla pewnej ślicznej rybki

Nowy pomysł na reformę nauki

ZDOLNY ADIUNKT ZAROBI WIĘCEJ



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co zrobić, żeby naukowcy dostali pieniądze, urzędnicy się odczepili, prywatne uczelnie zajęły się nauką, a hierarchie akademickie zostały zburzone?

Jarek Gryz

W ciągu 30 lat wylano morze atramentu na temat reform polskiej nauki. Proponowane rozwiązania były nie tylko powierzchowne, ale też pozostawały w rękach urzędników drobiazgową kontrolę nad finansowaniem nauki. Błąd, to sami naukowcy powinni decydować o tym, jak najlepiej wydawać pieniądze na projekty badawcze. Jest na to sprawdzony sposób.

Aż do połowy XX wieku liczba studentów, a tym samym i wykładowców była niewielka i stanowili oni absolutną elitę intelektualną. Sytuacja zmieniła się wraz z umasowaniem wyższych studiów po II wojnie, a w Polsce ten trend umocnił się jeszcze w latach 90.

Wraz z gwałtownym wzrostem liczby pracowników naukowych pojawiła się potrzeba formalnej oceny ich pracy badawczej, a od tego zależał potem przydział środków na badania, awanse czy samo wynagrodzenie. Uznano, że publikacje naukowe – ich liczba i jakość – dobrze nadają się jako miara wartości dorobku naukowego.

Tę zasadę, nazywaną powszechnie „punktozą”, z entuzjazmem stosuje się w Polsce. Minister nauki powołuje komisję, która przydziela pismom naukowym – stosownie do ich domniemanej jakości – odpowiednią liczbę punktów, a naukowcy motywowani są różnymi metodami do zdobywania jak największej liczby tych punktów. W takim systemie zaczyna działać prawo Goodharta: gdy dowolny wskaźnik zaczyna być traktowany jako cel, przestaje być dobrym wskaźnikiem. Wielu naukowców – nie tylko zresztą w Polsce – nie zajmuje się nauką jako taką, ale tym, czego wymagają ich instytucje, a więc publikowaniem: byle czego, byle jak, byle szybciej. Ich zachowanie jest całkiem racjonalne, bo istniejący system organizacji nauki w pełni to sankcjonuje.

Ta bylejakość nie jest wcale przesadą i znacznej części współczesnej produkcji naukowej nikt nie cytuje. Jest tak w przypadku 12 proc. artykułów w dziedzinie medycyny, 27 proc. w naukach ścisłych, 32 proc. w naukach społecznych i aż 82 proc. w humanistyce. A będzie gorzej: w 2013 r. opublikowano na świecie 2,4 mln artykułów naukowych i ta liczba wzrasta co roku o 8 proc.

Ocena pracy naukowej z wykorzystaniem sztywnego systemu punktowego, który krytykują w Polsce niemal wszyscy, jest źródłem wielu wynaturzeń. Przede wszystkim jest arbitralna. Gdyby poprosić dziesięciu naukowców

Nikt tego nie czyta

Aż 82 proc.

artykułów naukowych w humanistyce i 32 proc. w naukach społecznych nie doczeka się cytowań

98 proc.

recenzentów wniosków o granty w NCN to naukowcy afiliowani w ośrodkach zagranicznych

Prawie

18 mld zł

wynosiła w zeszłym roku subwencja resortu nauki „na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego”

7,8 mld zł

wynosił w 2022 r. budżet NCBR. To 10 proc. wszystkich wydatków na badania i rozwój w Polsce i ponad 5 razy tyle, co budżet NCN

• Na zdjęciu: Politechnika Śląska w Gliwicach. Otwarcie laboratorium katalizy do projektowania technologii ekologicznych w przemyśle (11.05. 2021)

o utworzenie rankingu pism w ich dziedzinie badawczej, otrzymalibyśmy dziesięć różnych list. Konsekwencją arbitralności jest niestabilność, bo każda nowa komisja ma własną opinię na temat jakości ocenianych pism i tworzy własny ranking. I wreszcie, łatwo tym systemem manipulować, co robi niemal każdy minister, promując pisma drogę swojemu sercu.

Oczywiście punktoza to niejedyna bolączka polskiej nauki. Kiedy zapytać naukowców, co najbardziej przeszkadza im w pracy, na pierwszym miejscu stawiają niskie zarobki, na drugim mobbing. Czy można zatem tak zreformować naukę, by płacić naukowcom więcej, uniezależnić ich od uciążliwych przełożonych i skłonić do uprawiania prawdziwej nauki?

Rozwiązanie mogłoby pochodzić z Ameryki. W USA nie ma ministerstwa nauki, a badania finansują głównie National Science Foundation (NSF) i National Institute of Health (NIH). Choć obie instytucje opłaca budżet federalny, to ich bieżąca działalność jest od rządu praktycznie niezależna.

Typowy grant z NSF ma dwa składniki, dość nietypowe dla grantów europejskich. Po pierwsze, aż 40-60 proc. wartości grantu (tzw. overhead) trafia do uczelni zatrudniającej wnioskodawcę, a nie do niego samego. Służy to zapewnieniu instytucjonalnego zaplecza dla jego pracy naukowej. Po drugie, z grantu opłacany jest również dodatek – 15-20 proc. – do uni-

wersyteckiej pensji wnioskodawcy. Tu założenie jest takie, że uczelnia płaci wykładowcom za dydaktykę, a o finansowanie pracy badawczej powinni zadbać sami.

NSF istnieje w tej postaci od ponad 70 lat i chyba uprawniona jest teza, że – biorąc pod uwagę efekty – sprawdził się całkiem dobrze. Spróbujmy przenieść to rozwiązanie na grunt polski.

Mamy już w Polsce instytucję spełniającą podobną funkcję co NSF. To Narodowe Centrum Nauki (NCN). Zakres jego działalności jest szerszy, bo finansuje nie tylko projekty z nauk ścisłych (jak NSF), ale także projekty z nauk o życiu (jak NIH) i humanistyki.

Wielką zaletą NCN-u jest wiarygodność. Może to efekt oddania decyzji o wnioskach o granty w ręce niezależnych recenzentów: aż 98 proc. z nich to naukowcy afiliowani w ośrodkach zagranicznych. Choć wnioskodawcy NCN często narzekają na niesprawiedliwe recenzje, to zdarza się tak naprawdę wszędzie, także w NSF. W istocie największym problemem NCN, na jaki wskazują polscy naukowcy, jest brak funduszy na finansowanie wszystkich zasługujących projektów.

Budżet NCN jest niewielki, wynosi tylko 1,5 mld zł. Łączny budżet NSF i NIH to 56 mld dolarów, czyli około 15 razy więcej na głowę niż w Polsce. Trudno wyobrazić sobie, żeby z pieniędzy NCN można by-

ło finansować naukę w takim zakresie, jak instytucje amerykańskie. Ale to nie znaczy, że pieniędzy na naukę w Polsce nie ma, rzecz w tym, że kontrolę nad nimi sprawują urzędnicy, a nie naukowcy.

Głównym źródłem finansowania nauki w Polsce są oczywiście środki Ministerstwa Nauki, które co roku przydziela uczelniom „subwencje na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego”. W zeszłym roku prawie 18 mld zł. Lecz ze względu na bizantyjską formułę wyliczania subwencji trudno ustalić, czy rzeczywiście i jaką jej część stanowi wsparcie pracy badawczej.

Wiemy na pewno, że słynne punkty za publikacje są tej formuły istotnym elementem. Innym źródłem finansowania badań naukowych są instytucje takie jak NCN, ale o nieco innych zadaniach. Największą pod względem budżetu jest Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBR).

Według informacji na stronie NCBR „Głównym zadaniem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju jest zarządzanie i realizacja strategicznych programów badań naukowych i prac rozwojowych, które bezpośrednio przekładają się na rozwój innowacyjności”.

Postawienie na pierwszym miejscu „badań naukowych” jako zadań NCBR sugerowałoby, że to przede wszystkim naukowcy będą projekty prowadzić, a na pewno będą je oceniać. Tymczasem, żeby zostać ekspertem w Centrum, a więc osobą, która decyduje o finansowaniu wniosków, wystarczająco tytuł magistra i trzyletnie doświadczenie zawodowe.

Efektami takich decyzji są przedsięwzięcia, które na pewno nic wspólnego z nauką ani innowacyjnością nie mają. Oto tytuły kilku projektów finansowanych przez NCBR i reklamowanych jako „sukcesy beneficjentów” (w nawiasach dofinansowanie): „Opracowanie i wdrożenie produkcji piwa bezalkoholowego typu gruit” (7 540 037); „Produkcja łodów naturalnych i sorbetów dla diabetyków (Lody 0 proc. cukru)” (245 138); „Sztuka łódzka na tle sztuki europejskiej. Wykluczeni/Włączeni” (808 200); „Uniwersyteckie innowacje w dziedzinie nauk społecznych UPH w Siedlcach” (2 856 968); „Katecheta – człowiek z klasą. Program innowacyjnego przygotowania pedagogicznego do nauczania religii” (246 098).

W 2022 roku budżet NCBR wynosił 7,8 mld zł. To 10 proc. wszystkich wydatków R&D (czyli research & development) w Polsce i ponad pięć razy tyle, co budżet NCN. Ta instytucja nie powinna w ogóle istnieć w obecnej postaci.

A oto proponowana reforma. Wyobraźmy sobie, że cała subwencja badawcza ministerstwa i cały budżet NCBR trafiają do NCN. Subwencja podzielona zostaje proporcjonalnie do wysokości przyznawanych przez NCN grantów i idzie – tak jak teraz – do uczelni. Pieniądze z NCBR pozwoliłyby natomiast na sześciokrotne zwiększenie budżetu NCN przeznaczonego na granty. Umożliwiłoby to nie tylko ogromny wzrost liczby finansowanych grantów, ale także, jak w NSF, uzupełnienie grantu o dodatek do pensji, powiedzmy 5 tys.

zł miesięcznie, który otrzymuje wnioskodawca na czas grantu.

Zalety tego rozwiązania są oczywiste. Po pierwsze, ocena jakości pracy naukowej wbudowana jest we wnioski o grant i oceniana przez niezależnych ekspertów. Urzędnicy ministerialni nie będą już musieli układać list czasopism ani przeprowadzać problematycznych ewaluacji uczelni. Pieniądze będą w naturalny sposób trafiały tam, gdzie prowadzona jest rzetelna praca naukowa, a władze uniwersyteckie będą motywowane, by taką pracę wspierać. Kapitałem dla uczelni będą nie tylko profesorem i uznanych nazwiskach, ale także młodzi ambitni adiunkci.

W systemie tym zmieni się także optyka uczelni niepublicznych, dla których teraz badania naukowe są zbędnym balastem. Kto wie, może dorobimy się elitarnych uczelni prywatnych.

Po drugie, aktywność naukowa będzie wynagradzana finansowo, i to nie przez lokalną administrację uniwersytecką często uwikłaną w personalne zależności, ale przez instytucję stojącą od niej z dala. Wykluczy to podejrzenia o kumoterstwo czy jakiegokolwiek inne pozamerytoryczne czynniki mogące mieć wpływ na wynagrodzenia.

Oczywiście może się zdarzyć, że zdolny adiunkt zdobędzie kilka grantów jednocześnie i będzie miał pensję wyższą niż szef jego katedry. To akurat zaleta, bo zburzy – przynajmniej wizerunkowo – feudalne stosunki panujące na wielu polskich uczelniach.

Wdrożenie „amerykańskiego” modelu wymaga dopracowania ogromnej liczby szczegółów, ale nawet bez tego zastrzeżenia proponowana zmiana finansowania nauki narażona jest na co najmniej trzy zarzuty.

Po pierwsze, nieuprawnione może się wydawać przekazanie środków NCBR do NCN, bo zadania tych instytucji są inne: finansowanie badań stosowanych i wdrożeń w tej pierwszej, z kolei badań podstawowych w tej drugiej. Ale nie ma przecież powodu, żeby NCN nie mogło przejąć tych dodatkowych zadań. Naukowcy wyższych uczelni technicznych, medycznych czy agronomicznych także właśnie badania prowadzą i na pewno zainteresowani byłiby ich obfitszym finansowaniem.

Po drugie, pochodzące z grantów dodatki do pensji mogą wywrócić hierarchie płacowe i zatrutą atmosferę na uczelniach. No cóż, trudno i czas najwyższy. Nie ma żadnego powodu, żeby pensja adiunkta czy profesora była taka sama niezależnie od uczelni czy wydziału, na jakim pracuje, i od tego, jakie ma osiągnięcia.

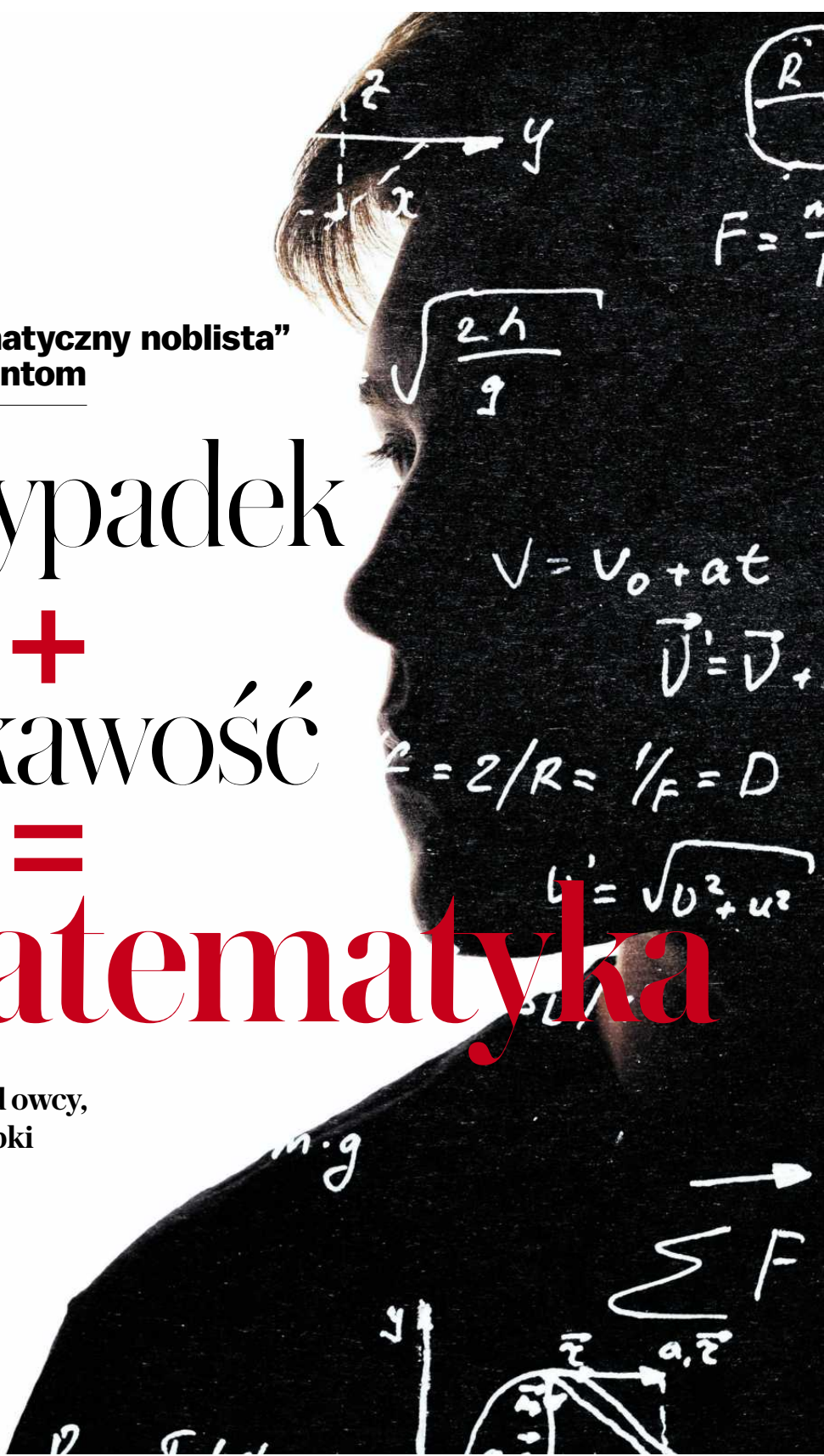
I po trzecie, obawiać się można, że przekazując subsydia badawcze do NCN-u, państwo traci w dużej mierze kontrolę nad tym, jak wydawane są pieniądze na naukę. I znowu: tym lepiej, bo naukowcy mają większe rozeznanie, dokąd zmierza nauka, niż ministerialni urzędnicy. Amerykański rząd nie ma prawie żadnej kontroli nad NSF, a mimo to wśród tamtejszych polityków panuje wyjątkowy konsensus co do tego, że żadne zmiany nie są tu potrzebne.

Czy można tego spróbować w Polsce? ●

Co „matematyczny noblista” radzi studentom

Przypadek + ciekawość = matematyka

Zaczęło się od owcy,
pasterza i kupki
kamyczków



FOT. GETTY IMAGES

Z **SIR MARTINEM HAIREM**, LAUREATEM „MATEMATYCZNEGO NOBLA”, ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

PIOTR CIEŚLIŃSKI: Otrzymałeś Medal Fieldsa za „wybitny wkład w teorię stochastycznych równań różniczkowych cząstkowych”. Czy można wyjaśnić laikom, co to za równania?

SIR MARTIN HAIRER: Zaczniemy od normalnych równań różniczkowych – one opisują proste układy, np. ruch planet, Ziemi i Księżyca wokół Słońca. Jeśli znasz ich położenie i prędkość w pewnej chwili, to równanie różniczkowe ułożone przez Izaaka Newtona powie ci, w którym kierunku i z jaką prędkością będą się dalej poruszać. W ten sposób można obliczyć trajektorię ich ruchu.

Z kolei równania różniczkowe cząstkowe dotyczą bardziej skomplikowanych układów, które nie składają się z poszczególnych punktów, lecz wypełniają kawałek przestrzeni.

Na przykład?

– Woda w basenie. Jeśli chcesz obliczyć, jak ona chlupocze, to musisz opisać ruch każdego jej punktu, czyli wziąć pod uwagę całą objętość wody w basenie.

W sumie więc nieskończoną liczbę punktów.

– I to oczywiście jest dużo trudniejsze. Równania różniczkowe cząstkowe, które opisują płyny, a więc wodę czy atmosferę, wyprowadzone zostały w połowie XIX wieku przez Claude’a-Louisa Naviera i George’a Stokesa, ale do tej pory w wielu przypadkach nie zostały rozwiązane. Wciąż nawet nie udowodniono, czy zawsze mają rozwiązania. To jeden z siedmiu milenijnych problemów, ogłoszonych przez Instytut Matematyczny Claya. Kto sobie z nim poradzi, może dostać milion dolarów nagrody.

Podejrzewam, że stochastyczne równania różniczkowe cząstkowe to jeszcze trudniejsze bestie.

– One zawierają dodatkowo czynnik losowy, szum, którego nie da się uniknąć w realnym świecie. Na przykład równania Naviera-Stokesa opisują ruch wody w oceanie, ale trudno w nich ściśle uwzględnić siłę wiatru, który wzbudza fale. To zależy od wielu czynników, których nie potrafimy przewidzieć, bo atmosfera jest układem chaotycznym.

Zjawiska losowe są wszechobecne. Mieszanie się kawy z mlekiem, kształt płomienia w kominku czy dymu z komina – żadnego z tych procesów nie jesteśmy w stanie ściśle opisać i przewidzieć.

Czyli dostałeś medal Fieldsa za uwzględnienie roli przypadku w życiu.

– Technicznie rzecz biorąc, za znalezienie sposobu, jak stochastyczne równania po-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jarek Gryz

• profesor informatyki i filozofii na York University w Toronto.

prawnie interpretować, aby miały sens. Bo gdy losowość staje się zbyt silna, rozwiązania wielu równań wymykają się spod kontroli, zaczynają nieskończenie fluktuować zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Nie jest jasne, co oznaczają.

Pokazałem, jak można nadać im sens. W wielkim uproszczeniu sprowadzało się to do systematycznego odejmowania nieskończoności od nieskończoności.

Wracając do przypadku, to prawda, że Wszechświat jest losowy?

– Tak, jeśli wierzyć mechanice kwantowej. Ta teoria opisuje fizykę w najmniejszych skalach materii i zakłada, że na bardzo podstawowym poziomie natura jest losowa. To całkowita zmiana wobec tego, co sądzili fizycy jeszcze w XIX wieku. Prawa Newtona są deterministyczne: gdybyś był bogiem i znał dokładny opis stanu świata w danym momencie, mógłbyś przewidzieć całą przyszłość. W mechanice kwantowej to jest już niemożliwe.

Inną rzeczą jest to, że losowość nie musi oddawać wewnętrznej natury zjawisk, czasem wynika z braku wiedzy. Mechanika kwantowa prawdopodobnie nie odgrywa żadnej roli w ruchu atmosfery, ale nie jesteśmy w stanie postawić długoterminowej prognozy pogody. Jakies drobne zdarzenie, o którym nie mamy pojęcia, może prognozy wywrócić do góry nogami.

Gdybyś miał superszybką kamerę i filmował nią rzut monetą, to w zasadzie mógłbyś obliczyć trajektorię lotu i przewidzieć wynik w chwili, gdy moneta opuszcza twoją dłoń. W tym wypadku czynnik losowy to praktyczny sposób modelowania tego, czego nie wiemy. Pozostaje nam zgadywanie, jaki może być wynik i jak prawdopodobne jest, że wystąpią różne wyniki.

Zajmujesz się dość praktycznymi problemami, co nie jest typowe dla matematyków, którzy podobno brzydzą się praktycznymi zastosowaniami swoich prac. – Ale większość zagadnień matematycznych w gruncie rzeczy jest inspirowana życiem, choć czasem nie widać już tego powiązania. Weźmy liczby całkowite i najbardziej podstawowe działania. To niezwykle wynalazek, który wynikł z praktycznej potrzeby liczenia rzeczy. To mogło się zacząć od pasterza, który dla każdej owcy w swoim stadzie odkładał na kupkę osobny kamyczek. W ten sposób upewniał się, że żadnej nie brakuje. Potem ktoś wpadł na to, że jest coś wspólnego między trzema owcami i trzema kamieniami. I odkrył abstrakcyjną koncepcję, którą jest liczba trzy.

Oczywiście, gdy już znasz pojęcie liczby, możesz zbudować całą teorię, odkrywając kolejne abstrakcyjne obiekty, takie jak liczby pierwsze, które mają swoje wewnętrzne piękno i są interesujące same w sobie. To już nie musi być motywowane bezpośrednimi zastosowaniami. Gdy już piętrowo rozwiniesz i nadbudujesz teorię, można łatwo zapomnieć, skąd się wzięła i jakie były jej początki.

Zaczynałeś jako programista. W wieku 15 lat napisałeś program do edycji dźwięku, z którego potem powstał popularny pakiet oprogramowania Amadeus Pro na „maki”. Do dzisiaj chyba go uaktualniasz? – Staram się, robię to dla tych, którzy go używają. Niestety brakuje mi już czasu na jego rozwój. W czasach licealnych bardzo mnie to bawiło, łączyło moje dwa hobby – kodowanie i muzykę. Myślałem, że to było powodem, dla którego nie zdecydowałem się studiować informatyki. Arogancko wierzyłem, że tą dziedzinę już jakoś poznałem. Ale to był zawsze plan B. Wiedziałem, jak trudno jest o stałą pracę na uczelni, i że jeśli po doktoracie nie znajdę posady, to po prostu zajmę się tworzeniem oprogramowania.

Doktorat robiłeś z fizyki, a dopiero potem przyszła matematyka.

– To nie do końca tak. Rzeczywiście broniłem doktoratu na wydziale fizyki, ale tak naprawdę to był doktorat z matematyki, choć

niektórzy mogą się upierać, że z fizyki matematycznej. Na większości uczelni na świecie takie rzeczy robi się na wydziałach matematyki, ale w Szwajcarii była inna tradycja.

Bo już zacząłem się zastanawiać, czy matematyka to też przypadek w twoim życiu.

– Tu nie ma przypadku, z matematyką żyłem od najmłodszych lat. Ociec jest wybitnym profesorem matematyki, a mnie oczywiście interesowało to, co robi. Pamiętam, że jak miałem może 10 lat, opowiedział mi o twierdzeniu, które mówi, że dowolną mapę można pokolorować za pomocą czterech barw tak, że każde dwa kraje mające wspólną granicę będą innego koloru. Wtedy jeszcze to twierdzenie czekało na dowód, ojciec mówił: zobacz, jeśli uda ci się to udowodnić, będziesz sławny!

Myślałem, że postanowiłem studiować fizykę z przekory, aby jakoś zaznaczyć swoją odrębność. Tyle że matematyka, tak czy inaczej, w końcu do mnie przyszła, mój doktorat tylko z nazwy był fizyczny.

Co się pociąga w matematyce?

– Może to, że z wszystkich nauk zbliża się najbardziej, jak tylko to możliwe do absolutnej prawdy. W fizyce teoretycznej twój wynik może zostać podważony i szybko wyrzucony do kosza. W matematyce, jeśli coś ustalisz, to już koniec. To jest wieczne.

Jak mieszkańcy platońskiej jaskini eksplorujemy świat idei. Badamy koncepcje, które są logicznie konsistentne i niesprzeczne, opisane tak precyzyjnie, że nie ma żadnych wątpliwości, z czym mamy do czynienia. W tym sensie jesteśmy przeciwieństwem polityków. Cały sens polityki sprowadza się do używania słów w taki sposób, aby każdy mógł je interpretować po swojemu. Celem matematyka jest zaś być na tyle dokładnym, żeby nie było żadnego miejsca na niedomówienie i nieporozumienie.

Ale oczywiście są tego konsekwencje.

W matematyce pociąga mnie chyba to, że z wszystkich nauk zbliża się najbardziej, jak tylko to możliwe do absolutnej prawdy

Jakie?

– Nasza prawda nie odzwierciedla całkowicie rzeczywistości. Matematyczne modele, które służą do opisu zjawisk naturalnych, są wewnętrznie doskonałe, ale czasem nie zgadzają się z wynikiem eksperymentu.

Teoria prawdopodobieństwa mówi, że szansa na wyrzucenie dwóch oczek w rzucie sześcienną kostką wynosi 1/6. Wynika to wprost z symetrii. Ale to, czy warunek symetrii jest spełniony, fizyk musi za każdym razem sprawdzać. Matematyk ma ten luksus, że nie musi się tym przejmować.

Bardzo wygodne – niech się inni nad tym męczą.

– Ale proszę nie zapominać, że dajemy także fizykom, chemikom czy biologom potężne narzędzia. Na przykład jednym z tematów, jakim się zajmuję, jest tzw. uniwersalność w teorii prawdopodobieństwa. Można udowodnić, że wiele układów i procesów zachowuje się podobnie w dużych skalach, choć na poziomie mikroskopowym są kompletnie różne.

Co to oznacza?

– Że zachowanie makroskopowe układów czy obiektów składających się z biliardów małych cząstek – np. różnych mieszanin i materiałów – nie zależy od szczegółów ich mikroskopowej budowy, lecz od pewnych

ogólnych cech, takich jak symetria, wymiar, prawa zachowania.

Klasycznym przykładem są ruchy Browna, chaotyczne ruchy małych cząstek – np. pyłków kwiatowych zawieszonych w wodzie – które są wywołane chaotycznymi uderzeniami molekuł wody. Te ruchy mają podobne własności statystyczne – opisanie rozkładem Gaussa – bez względu na to, z jaką cieczą i zawieszoną mamy do czynienia. Po raz pierwszy teorię ruchów Browna sformułowali niezależnie od siebie Albert Einstein i wasz polski fizyk Marian Smoluchowski na początku XX w.

Ta probabilistyczna uniwersalność znacznie upraszcza badanie wszelkich złożonych struktur, bo można skupić się na ich wspólnych właściwościach statystycznych, a nie na różniących je szczegółach. Gdybyśmy chcieli zbudować mikroskopowy model dla każdego przypadku z osobna, musielibyśmy uwzględnić zyliony parametrów. Okazuje się jednak, że na wyższym poziomie te mikroskopowe różnice się zacierają.

W ten sposób matematyka jednoczy różne dziedziny nauki, takie jak fizyka, chemia czy biologia, czy nawet ekonomia. Bo podobne statystyczne własności mają wzrosty czy spadki cen na giełdzie, co po raz pierwszy udowodnił jeszcze kilka lat przed Einsteinem młody francuski matematyk Louis Bachelier.

Jakim problemem teraz się zajmujesz?

– Interesuje mnie teoria Yanga-Millsa, która jest obecnie stosowana do opisu cząstek elementarnych i fundamentalnych sił przyrody. To teoria, która jednoczy oddziaływania silne i elektroslabe, odpowiedzialne za wiązania kwarków i jąder atomowych, a także elektronów w atomach. Jej podstawą jest symetria – to jest założenie, że prawa fizyki są takie same bez względu na położenie czy orientację w przestrzeni. Choć na tej teorii opiera się Model Standardowy, czyli najbardziej kompletny opis znanych cząstek materii i ich interakcji, wciąż jest ona matematycznym wyzwaniem.

Kluczowym narzędziem w tej teorii jest tzw. miara Yanga-Millsa, która przypisuje prawdopodobieństwo różnym konfiguracjom pól fizycznych w przestrzeni. Jest niezbędna do pełnego zrozumienia silnych oddziaływań jądrowych w Modelu Standardowym, na przykład zjawiska uwięzienia kwarków. Siła przyciągająca między kwarkami rośnie wraz z odległością, co uniemożliwia ich rozdzielenie.

Matematyczny dowód istnienia miary Yanga-Millsa dla czterowymiarowej przestrzeni – a więc takiej, w jakiej żyjemy – jest kolejnym z nierozwiązanych problemów milenijnych. Potrafimy tę miarę ściśle zbudować tylko dla przestrzeni dwuwymiarowych. W wyższych wymiarach mamy kłopot. Zbudowanie takiej miary dla czterowymiarowej czasoprzestrzeni byłoby niesamowitym osiągnięciem, otworzyłoby drogę do zrozumienia mikroświata. Ale zupełnie nie mamy pojęcia, jak się do tego zabrać. W trzech wymiarach mamy coś w rodzaju mapy drogowej i od tego bym chciał zacząć.

A co jest obecnie największym wyzwaniem w matematyce?

– Trudno powiedzieć, bo to bardziej sprawa osobistych celów i upodobań matematyków.

Najlepszą rzeczą w byciu matematykiem jest wolność robienia tego, co chcesz. Przy tym ważne, aby nie skupiać się na jednym temacie, ale mieć jak najszersze spojrzenie. Nigdy nie wiem, skąd przyjdzie odkrywczy pomysł. Nie bez powodu jest pośredni związek między analizą dźwięku, którą fascynowałem się od najmłodszych lat, a „teorią regularności”, za którą przyznano mi Medal Fieldsa. Tu i tu pojawia się tzw. analiza fal-kowa.

Zawsze radzę studentom, aby zajmowali się tym, co ich pociąga, a nie tematami, które są akurat gorące i na szczycie popularności.

Który temat jest obecnie gorący?

– Oczywiście sztuczna inteligencja. W tej dziedzinie jest jeszcze wiele matematycznie ciekawych zagadnień. Na przykład warto byłoby się dowiedzieć, dlaczego AI działa tak dobrze, zadziwiająco dobrze. Może nie aż tak, jak się ludziom czasem wydaje, ale dużo lepiej, niż można się było spodziewać.

Dlaczego to zaskakuje?

– W statystyce jest taki paradygmat, że jeśli masz za dużo parametrów, do których dopasowujesz model, to możesz przedobrzyć. Model nadmiernie dopasowany przestaje działać, daje złe przewidywania. Tymczasem duże modele językowe, do których należy m.in. słynny ChatGPT, z tego ograniczenia nic sobie nie robią.

Wydaje się, że nie istnieje dla nich limit parametrów – setki tysięcy, miliony, ostatnio chyba 100 miliardów. Im więcej, tym lepiej. Nie odniosłem wrażenia, że istnieje dogłębne zrozumienie, dlaczego naprawdę to tak dobrze działa. Ale z drugiej strony, nie prowadzę badań w tym obszarze. Może eksperci wiedzą więcej, niż mi się wydaje (*śmiech*).

Podobnie chyba nie mamy pojęcia, dlaczego nasz mózg tak dobrze działa. Czy my myślimy podobnie do AI?

– Mózg i AI są podobne do siebie tylko na bardzo podstawowym poziomie. Sieci AI mają odpowiedniki neuronów, a połączenia między nimi naśladują sposób, w jaki synapsy ludzkiego mózgu przenoszą sygnały. Sieci neuronowe więc wyglądają trochę jak mózg.

Ale są też poważne różnice. Mózg nieustannie się przeprogramowuje, gdy zapamiętuje nowe informacje i tworzy nowe wspomnienia. AI zaś jest programowana raz w fazie treningowej. Potem korzystamy z wyszkolonego modelu, który nie ulega zmianie.

Wprawdzie już pojawiły się AI, które można specjalizować bez ponownego trenowania całego modelu od zera, ale w naszym mózgu dzieje się jednak o wiele więcej. Może kiedyś zbudujemy matematyczny model jego działania. To będzie wyzwaniem. ●



FOT. ROYAL SOCIETY/CC BY-SA 4.0

1x2=3005000 dolarów. Jeden matematyk zgarnął dwie nagrody

• **Martin Hairer** to austriacki matematyk, laureat Medalu Fieldsa z 2014 r. i Breakthrough Prize in Mathematics z 2020. To pierwsze wyróżnienie niesie niewielką premię finansową – 5 tys. dol. kanadyjskich – ale przyrównuje się je do Nagrody Nobla na polu matematyki. Przyznawane jest co cztery lata podczas Międzynarodowego Kongresu Matematyki najwybitniejszym z matematyków, którzy nie przekroczyli 40 roku życia.

• Druga nagroda wiąże się z jedną z najwyższych premii w świecie nauki – 3 mln dol. Ma ona pomóc genialnym uczonym w „uzyskaniu wolności od ograniczeń finansowych, aby mogli w pełni skupić się na świecie idei”, a także zainspirować kolejne pokolenie badaczy do pójścia w ich ślady.

• Hairer urodził się i wychowywał w Genewie. Po uzyskaniu doktoratu przez wiele lat pracował na brytyjskim University of Warwick. Od roku 2017 jest profesorem Imperial College London, a od 2022 także Politechniki Federalnej w Lozannie.

PRZYSZŁOŚĆ I DOŻYCIA

BÓG SIĘ RODZI,
RELIGIE UMIERAJĄ

FOT. KRZYSZTOF KOCH / AGENCIA WYBORCZA.PL

Plemię Indian Pirahã, najszcześliwsi ludzie na świecie, przekonali chrześcijańskiego misjonarza, że religia nie jest mu potrzebna. Nawrócił się na ateizm i przestał pouczać innych, jak mają żyć. Czy ludzkość pójdzie tą drogą?

Małgorzata Skowrońska

Mateusza Pakulę, reżysera i dramaturga urodzonego w 1983 r., niedawno odwiedziły dwie panie z Chrześcijańskiego Zboru Świadków Jehowy. Zadały jedno pytanie: Czy potrzebuje pan pocieszenia?

To podstawa każdej religii, która rości sobie prawo do wyjaśniania sensu życia, tłumaczenia niezawinionego cierpienia i właśnie pocieszenia, gdy jest nam na świecie źle. Z taką wizją religii Daniel Everett wyjechał nawracać Indian nad rzeką Maici. Kalifornijczyk spędził 30 lat w amazońskiej dżungli i miał tylko dwa zadania: poznać język pirahã i sprzedać im Jezusa.

Kolonializm umysłu

„Mój ewangelicki profesor na Uniwersytecie Biola dr Curtis Mitchell mawiał: »Musisz sprawić, żeby poczuli się zagubieni, zanim będziesz mógł ich uratować«. Jeśli ludzie nie odczuwają braku czegośkolwiek w życiu, jest mniej prawdopodobne, że będą skłonni przyjąć nowe wierzenia, zwłaszcza na temat Boga i zbawienia” – pisze w książce „Nie śpij! Tu są węże”, w której zebrał swoje doświadczenia z misjonarskiego okresu.

Problem w tym, że Pirahã to jedni z najszcześliwszych ludzi na świecie, co potwierdzili nawet antropolodzy z MIT, zliczając, ile razy dziennie żartują, uśmiechają się i przyjaźnie dotykają. Nie rozmawiają o pieniądzach, czasie ani... religii. Nie boją się śmierci, którą traktują jako naturalne zakończenie życia. Everett okazał się marnym misjonarzem. Tak mu się spodobał światopogląd Indian, że sam pożegnał Jezusa.

O swojej konwersji na ateizm mówił: – Najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyłem od Pirahã, jest to, żeby nie pouczać innych i nie mówić nikomu, jak ma żyć. Życie każdego człowieka to jego osobiste wyzwanie. Po prostu żyj swoim życiem najlepiej, jak potrafisz. Z dzisiejszej perspektywy wszelkie próby nawracania uważam za swoisty kolonializm umysłu. W ich kulturze w ogóle nie ma miejsca na zachodnią koncepcję religii. Nie ma miejsca na przymus.

Przykazanie ósme: Stosujcie prezerwatywy!

Podobną drogę przeszedł Mateusz Pakuła. O swoich doświadczeniach z odejściem od religii mówi m.in. w dwóch spektaklach – „Jak nie zabiłem mojego ojca i jak bardzo tego żałuję” oraz w „Latającym Potworze Spaghetti”. Pierwsza opowieść obnaża

przemoc religijną w wydaniu polsko-katolickim, druga to już światopoglądowe uderzenie w religijne absurdy, z którymi musi mierzyć się każdy wyznawca bez względu na konfesję.

Kościół Latającego Potwora Spaghetti stworzył w 2005 r. fizyk Bobby Henderson jako religijny pastisz, który miał pokazać, że każda wiara jest nieracjonalna, a wobec tego każda równie uprawniona. Pierwsze przykazanie wyznawców LPS brzmi: „Naprawdę wolalbym, byś nie zachowywał się jak jakiś świętoszkowaty dupek, gdy opisujesz moją Makaronową Dobroć”, a ósme: „Na miłość Makaronu, używajcie prezerwatywy! Jeżeli nie chciałbym, by to było przyjemne, dodałbym wam jakieś kolce albo coś...”.

Guru ateistów, filozof Bertrand Russell, już 73 lata temu ujął absurd religii w opowieść o kosmicznym czajniczku, który krąży gdzieś między Ziemią a Marsem, ale jest tak mały, że żadne teleskopy go nie wykryją. A skoro jest niewidzialny, nie można dowiedzieć jego nieistnienia. Gdyby ktoś, kto doznał objawienia, głosił, że on jednak istnieje, zostałby uznany za głosiciela nienaukowej i idiotycznej prawdy. Co innego, gdyby wiarę w czajniczek zapisano w starożytnych księgach, głoszone jako świętość każdej niedzieli i wtlaczano do głów dzieciom w szkołach.

Mateusz Pakuła: – Czym różni się czajniczek od księży egzorcystów, którzy wyganiają złe duchy salcesonem? Wyrosłem w religii katolickiej i sporo czasu zajęło mi uwalnianie się od niej. Bohater mojego spektaklu, Bobby, wzorowany na Hendersonie, trafia do piekła i próbuje uwolnić się od Jezusa, Ducha Świętego i zawsze nieobecnego Boga Ojca. Mówi: „Przyczyną, dla której zorganizowane religie zasługują na potępienie, jest to, że w przeciwieństwie do wiary w kosmiczny czajniczek są po-

tężne, wpływowe, mają korzyści podatkowe oraz zagwarantowany wpływ na dzieci zbyt małe, by się bronić”.

Bobby u Pakuły przekonuje, że religijny opis świata nie jest adekwatny do tego, co wiemy o swoim miejscu we wszechświecie. Dziś najlepiej opisują go bowiem instrumenty naukowe: wielostronna weryfikacja, krytycyzm, eksperyment i jego powtarzalność w neutralnych warunkach. – To początek końca wiary. Możemy wspólnie ten proces przyspieszyć – nawołuje sceniczny Henderson. A razem z nim reżyser: – Przestańmy się bać, że wraz ze śmiercią Boga umrze nasze człowieczeństwo. Przestańmy się wreszcie bać boskich kar, pożegnajmy religie i zacznijmy żyć normalnie.

Spóźniona śmierć Boga

Już francuski filozof Auguste Comte (1798–1857) przekonywał, że nauka i rozum stopniowo będą wypierały religię. Jednak to Friedrich Nietzsche ogłosił „śmierć Boga” w 1882 r. w „Wiedzy radosnej”, a później w najbardziej znanym swoim dziele, czyli „Tako rzecze Zaratustra”. Śmierć religii jako opium dla ludu wieszczył Karl Marx, a Freud poszedł jeszcze dalej, uznając religię za rodzaj nerwicy.

Blżej naszych czasów w 2006 r. w „Bogu urojonym” Richard Dawkins krytykuje religię jako źródło irracjonalności, przemocy i hamowania postępu, a uratować ma nas rozwój edukacji i nauki, który prowadzi do spadku religijności.

– Mamy XXI wiek i choć procesy sekularyzacyjne postępują i wielkie narracje religijne, szczególnie chrześcijaństwo, są w kłopotach, to śmierć Boga w stosunku do oczekiwania oświeconych naukowców jest mocno spóźniona. Na świecie mamy wciąż kilka tysięcy różnych religii. Te największe są tak naprawdę skompromitowa-

nymi projektami politycznymi. Nie zmienia to faktu, że różnym ludziom i z różnych powodów bóg czy bogowie mogą być potrzebni. Jednym z nich może być lęk przed śmiercią – mówi filozof religii prof. Ireneusz Ziemiński.

Badania dotyczące deklarowanej religijności prowadzone są przede wszystkim wśród chrześcijan.

W 2023 r. liczba chrześcijan na świecie znacznie wzrosła i po raz pierwszy przekroczyła granicę 2,6 mld. Badacze mówią, że chrześcijaństwo rośnie obecnie w tempie 1,18 proc. rocznie. Gdzie zatem podziela się głośna sekularyzacja, która podobno przyspieszyła od początku XXI?

W Polsce widoczna jest w spadkach wiernych uczęszczających w niedzielę do kościoła, zawierających przed ołtarzem małżeństwa, w chrztach dzieci i we frekwencji na szkolnej religii. We wszystkich tych zsakralizowanych czynnościach Kościół katolicki odnotowuje potężne tąpnięcia. Podobnie jest w państwach należących do cywilizacji zachodniej (cała Ameryka Północna do Meksyku, Europa Zachodnia i Środkowa oraz Australia).

Wskaźniki religijności rosną za to w Afryce i Indiach, gdzie Kościół katolicki, najliczniejszy wśród chrześcijan, nie stracił jeszcze impetu misjonarskiego podobianego przez katastrofalny stan ekonomiczny tamtych rejonów świata (prawie 700 polskich misjonarzy pracuje w Afryce i na Madagaskarze: budują tam szpitale, ochronki dla dzieci, szkoły, stołówki, a przy okazji nawracają na Jezusa).

Jednak nawet badacze sceptycznie nastawieni do koncepcji rychłej śmierci Boga zauważają, że po raz pierwszy w badaniach statystycznych w krajach wysoko uprzemysłowionych widać to, na co liczyli XIX- i XX-wieczni głosiciele końca religii.

Przyjrzyjmy się Stanom Zjednoczonym, gdzie od dziesięcioleci bada się i projektuje modele religijności.

Ucieczka od religii made in USA

Trzy lata temu amerykański ośrodek badawczy Pew Research Center stworzył kilka modeli opisujących, jak może zmienić się krajobraz religijny w USA w ciągu najbliższego półwiecza. Punktem wyjścia prognoz były badania przynależności religijnej z 2020 r. Wynika z nich, że 64 proc. Amerykanów to chrześcijanie, 30 proc. – religijnie obojętni, a 6 proc. wyznaje inne religie: judaizm, islam, hinduizm i buddyzm.

Prognozy naukowców PRC biorą pod uwagę różnice religijne w zależności od wieku i płci, wskaźniki urodzeń i wzorce migracji. Jednak największy nacisk kładą na analizę tego, co stanie się z religijnością młodych ludzi. Z danych wynika, że aż 32 proc. chrześcijan w wieku 15-29 lat traci wiarę (kolejne 7 proc. żegna się z chrześcijaństwem po 30. roku życia). Zdaniem badaczy to właśnie od tej grupy będzie zależało, jaki krajobraz religijny będą miały USA w 2070 r.

Według najbardziej prawdopodobnego modelu porzucanie religii wśród młodych jeszcze przyspieszy, ale nie przekroczy 50 proc. chrześcijan w badanej grupie; w 2070 r. religijnie obojętni stanowili by 48 proc., a chrześcijanie – 39 proc. populacji.

W raporcie PRC pojawia się zastrzeżenie, że dramatyczne wydarzenia, np. wojny, katastrofy czy autorytaryzm, mogą wywołać przewroty społeczne i religijne, ale jednak żaden scenariusz nie przewiduje wzrostu liczby chrześcijan.

– Bez względu na to, co będzie działo się z religią, jeszcze za naszego życia osoby identyfikujące się jako ateści, agnostycy lub obojętni religijnie będą największą grupą w Ameryce – komentuje Stephanie Kramer, badaczka z PRC.

Religia? A kogo to obchodzi?

Dominikanina Pawła Gużyńskiego (rocznik 1968), którego chcę zapytać o zmierzch religii, łapię na rekolekcjach poświęco-

nych tożsamości chrześcijańskiej w Rzeszowie. Odpowiada:

– Panie Comte, chciałoby się powiedzieć, nie miał pan racji. Religia wciąż jest istotnym składnikiem naszej egzystencji i potrafi odpowiedzieć na potrzeby ludzi. Może robi to za wolno, ale pracujemy nad tym.

Przyznaje, że irytuje się, gdy słyszy, że jego koledzy kapłani spotykają się na sympozjum, na którym zastanawiają się, czy aniołowie mają pleć. – Czy to jest naprawdę istotne pytanie w kontekście kryzysu egzystencji ludzkiej? Musimy jako katolicy nadrobić sporo różnego rodzaju zaległości, jeżeli chcemy nadążyć za współczesnym człowiekiem. Schematy, w których się dziś poruszamy w obrębie religii, tylko utrudniają nam kontakt z rzeczywistością i nadążanie za światem – twierdzi zakonnik. I dopowiada, że w Polsce widać to bardzo dobrze, gdy wyciąga się hasła narodowokatolickie: – Je-

święcać w imię ważnych dla nich idei. Potrafią, i to nie gorzej niż ich rodzice czy dziadkowie, ale inne idee są dla nich ważne. Dziś to jest ekologia, życie zgodne z własnym sumieniem, samorealizacja.

Filozofa nie dziwi porzucanie religii w tej grupie wiekowej: – Nieżyjący już prof. Jan Czerkawski powiedział kiedyś: „Ludzie przestają wierzyć w bogów, którzy są gorsi od nich”. Uważam, że Bóg chrześcijański jest dzisiaj od nas gorszy, więc stracił moralną legitymizację, by jeszcze w niego wierzyć. Młodzi to widzą, nawet jeśli tego nie werbalizują.

Zetki częściej niż ich przodkowie odcinają się od religii instytucjonalnej, ale za to potrafią czerpać z innych tradycji duchowości. Naukowcy określają to mianem „religii à la carte”, „religijnego supermarketu” lub „targów religijnych”. Ten trend bada m.in. brytyjska socjolożka religii Linda Woodhead. Nie znaczy to, że młodzi trywializują religię.

Wyobrażam sobie, o ile wcześniej nie dokonamy jako gatunek samozagłady, że kiedyś kolejne pokolenia będą traktowały religię chrześcijańską jak my mitologię grecką

– Różnica w tym pokoleniu polega na tym, że oni mają obszerne menu do wyboru, częściowo dzięki internetowi. Przeglądają ofertę i czasami słuchają różnych głosów, zanim się zaangażują i podejmą swoje zobowiązania. Szukają czegoś znaczącego, czegoś, co do nich pasuje. Jeśli to nie zadziała, mogą iść dalej. To, w jakiej tradycji się narodzili, i „droga ojców” nie mają już takiego ciężaru jak kiedyś – twierdzi badaczka.

Najpierw AI, a potem mitologia

Nauka miała w naturalny sposób wyrzucić religię jako zbędną i szkodliwą – taki scenariusz przewidywali myśliciele od XIX w. Jednak żadna z przemysłowych rewolucji, jakich do tej pory doświadczyliśmy, nie dobiła religii. Zwolennicy żywotności chrześcijaństwa wskazują na jego zdolność do zmian. Prof. Ziemiński w tym kontekście przywołuje ewolucję religijnych dogmatów, jak wniebowstąpienie, które pierwsi chrześcijanie rozumieli dosłownie, czy poglądu o powoła-

niu wszystkich umarłych do życia w dniu sądu ostatecznego.

Pierwszych chrześcijan nurtowało, co z tymi, którzy zginęli na arenach rozszarpani przez lwy. – Nawet odwoływano się do galenowskiej teorii, zgodnie z którą zwierzę przyjmuje tylko to, co odpowiada jego organizmowi. To, co ludzkie, zostanie więc wydalone w nienaruszonym stanie, by anioły przed dniem ostatecznym dały radę pogrupować szczątki. Dziś takie pomysły budzą śmiech, ale w pierwszych wiekach traktowano je serio – tłumaczy filozof religii.

Skoro religia ma tak zdumiewające zdolności adaptacyjne, jak przystosuje się do rewolucji AI? Są już pierwsze badania, które pokazują, że z automatyzacją (sztuczna inteligencja, roboty) nie radzi sobie tak dobrze jak z rewolucją technologiczną XX w.

Naukowcy zaczęli sprawdzać, czy kontakt z nowoczesnymi technologiami i od niedawna z AI wpływa na spadek religijności. W latach 2009-20 pod tym kątem badano prawie 50-tysięczną grupę Amerykanów. Okazało się, że osoby, które pracowały w zawodach wykorzystujących sztuczną inteligencję i robotykę, zgłaszały znaczne spadki religijności.

„Pracownicy, którzy w większym stopniu mieli kontakty z AI, byli o 45 proc. mniej skłonni do wiary w Boga, niż ci, którzy mieli sporadyczny kontakt ze sztuczną inteligencją” – ogłosili naukowcy na łamach „Proceedings of the National Academy of Sciences”. I postawili hipotezę, że dopiero z AI dotarliśmy do zapowiedzianego od końca XVIII wieku przełomu naukowego, który zadecyduje o przyspieszeniu zmierzchu religii.

Prof. Ziemiński jest sceptyczny: – O ile obserwujemy odejście od religii instytucjonalnych, które proponują nam Boga gorszego i bardziej okrutnego od nas, o tyle wciąż widzę pole dla religii prywatnej, która może stać się odpowiedzią na pytania o to, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. AI sobie z tym nie radzi.

Filozof jest przekonany, że śmierć chrześcijaństwa jest nieunikniona, ale stanie się to w odległej perspektywie czasowej. – Wyobrażam sobie, o ile wcześniej nie dokonamy jako gatunek samozagłady, że kiedyś kolejne pokolenia będą traktowały religię chrześcijańską jak my mitologię grecką. Z Zeusem jego wyznawcy też mieli więź, ale ta religia umarła wraz z ostatnim wierzącym, że gromowładny siedzi na Olimpie. Chrześcijaństwo jest już religią podobnie zdemitologizowaną, trudno bowiem wierzyć w dogmat Trójcy, zwłaszcza w kontekście krzyżowej ofiary Syna Boga, który umarł za grzechy ludzi, aby przebłagać swego zagniewanego Ojca. Jest jednak nadal żywym mitem kulturowym zwłaszcza w obliczu ekspansji islamu. Mam niewierzących znajomych, którzy pragmatycznie myśląc, deklarują, że będą się trzymać chrześcijaństwa, bo ono może nas uratować przed wojującym z niewiernymi islamem. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34352456

przyszłości
do życia

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wyborcza.biz

wysokieobcasy.pl

REKLAMA

MECENAS I PARTNER
MERYTORYCZNY

INVEST
KOMFORT

twórca programu
insightstudio

ERA ELERYKA

Musieliście widzieć go na ekranie. 35-latek gra nawet po kilkanaście ról rocznie, ale trudno wskazać taką, w której się nie sprawdził. W ubiegłym roku to były wreszcie większe czy bardziej znaczące role. Rok 2025 dla Konrada Eleryka zapowiada się jeszcze lepiej.

Z AKTOREM **KONRADEM ELERYKIEM**
ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

MAJA STANISZEWSKA: Jesteś kibicem?
KONRAD ELERYK: – Jestem, ale nie takim jak ten, którego grałem w „Furiozie”. Interesuję się piłką od dziecka, a to zostaje z człowiekiem. Zresztą od dziecka chciałem być piłkarzem.

Kto był twoim idolem?
– Alan Shearer.

Wspaniały piłkarz.

– Wspaniały. Kiedy grałem w piłkę w Agrykoli, a potem w Gwardii Warszawa, to nikt do mnie nie mówił Konrad, tylko Alan. Miałem może siedem-osiem lat, kiedy mama na bazarze na Wiatraku kupiła mi strój Newcastle United, podróbę oczywiście, z jego nazwiskiem i numerem 9. Inni grali w koszulkach Realu Madryt, Manchesteru, Barcelony, a ja w tej w czarno-białe pasy. Do dziś ją mam. I do dziś oglądam wszystkie mecze Newcastle.

Kiedy się umawialiśmy na rozmowę, zapytałeś, czy możemy się spotkać „u ciebie na Grochowie”.

– Cała moja rodzina tu mieszka. Jedna babcia mieszkała na Ochocie, ale w tamtym roku odeszła i wszyscy są już tutaj. Tutaj się wychowałem. Jak dorastałem, był tu Dziśki Zachód: heroina i wszędzie strzykawki, złodzieje i porzucone na szkolnym boisku puste torebki i portfele, które opróżnili, kradzieże samochodów. Swoich nikt nie ruszał, ale jak ktoś obcy się kręcił, to raczej miał ciężko. Niedaleko stąd jest taki mur, na którym potrafiło siedzieć i kilkadziesiąt osób. Jak się napatoczył ktoś spoza okolic, mogło być różnie. Teraz bardzo dużo się zmieniło, ale jak patrzę po ludziach, którzy siedzą wokół nas w kawiarni, to gdyby mieli sobie tutaj hasać 20 lat temu, to by ich rozebrali do naga i pogonili.

To jaki tutaj był strój obowiązujący?
– Dresy.

Ale dzisiaj połowa ludzi chodzi w dresach.

– Tak, ale to są inne dresy. I inne pokolenie. Ale ja mam świetne wspomnienia z dzieciństwa, naprawdę. Te wszystkie zabawy w podchody, w deskę, dzwonienie po ludziach i uciekanie, wygłupy różne, strasznie ludzi, dużo było takich przygód.

No i ta piłka...

– Tak, zresztą nie tylko futbol. Bywało w czasach licealnych, że miałem trzy treningi dziennie. Zrywałem się ze szkoły, żeby poćwiczyć w domu, później jechałem na Gwardię na piłkę, potem na trening boksu

tajskiego, a na koniec szedłem do parku Skaryszewskiego pobiegać. Od dziecka nie było dla mnie dnia bez wysiłku fizycznego. Sport był zawsze obecny. I tak mi zostało do dzisiaj, że dostosowuję dzień do treningu.

Choć jakiś czas temu zdałem sobie sprawę z tego, że to chyba niezdrowe podejście, a może nawet już nałóg, ale muszę zrobić trening, żeby mieć spokojny dzień, żeby się dobrze czuć. Gdy poważne kontuzje na jakiś czas mnie wykluczały, miałem mniej energii, paradoksalnie byłem bardziej zmęczony, niż gdy trenowałem.

A co z nauką?

– Nie uczyłem się, nie ma co się oszukiwać. Wywalili mnie. Najpierw relegowali mnie z gimnazjum w ostatniej klasie. Myślałem, że żadna szkoła mnie nie przyjmie, bo miałem naganę od dyrektora na piśmie.

Co zrobiłeś?

– Dużo. A to gaśnicę uruchomiłem i zadygotałem cały korytarz albo powódź w toalecie taką, że była ewakuacja. Raz udawałem opętanego i przeraziłem panią w bufecie, a katecheta mnie zamknęła i chciała księdza wzywać. Mogłbym jeszcze wymieniać.

Szczerze mówiąc, chodziłem do szkoły po to, żeby miło spędzić czas z kolegami, powygłupiać się. Niektórzy nauczyciele ze mną nie walczyli, mówili, że bym sobie już siedział i czytał ten „Przegląd Sportowy”, więc siedziałem w ostatniej ławce przy ścianie. A inni mówili, że skończę w więzieniu.

Ale skończyłeś gimnazjum?

– Skończyłem, dostałem się do technikum łączności, ale w drugiej klasie nie zdałem, bo koledze, który pisał ściągę, odechciało się je robić. Przeniosłem się do liceum. Ale i z niego mnie wywalili, więc trafiłem do liceum dla dorosłych. I tam zrobiłem maturę. To był ten czas, kiedy wszyscy uważali, że aby dostać pracę, trzeba mieć maturę, i mnóstwo dużo starszych ode mnie osób robiło to, żeby mieć upragniony papier. Ja też zrobiłem, dla mamy.

Ile miałeś lat?
– 20.

Matura była dla mamy, a jaką przyszłość planowałeś dla siebie?

– Piłkę nożną. Postawiłem wszystko na jednej kartę, ale przytrafiły się kontuzje. Może bym i wrócił, ale już wiedziałem, że nie będę na poziomie, który by mnie zadowalał. Nigdy nie chciałem być po prostu w czymś okej, zawsze miałem ambicję, czasem zbyt wygórowane, nawet chore.

Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że to może być autodestrukcyjne, i staram się to równoważyć, ale wtedy nie wiedziałem, co będzie. Poza tym, że nie zostanę Shearemem. I że nie będę pracować na etacie, bo



nie odnalazłbym się w tym. Zastanawiałem się, czy nie zostać komandosem, myślałem o bezpieczeństwie narodowym, ale jak się okazało, że tam są takie przedmioty jak matematyka, angielski i chyba nawet chemia czy fizyka – to odpadłem. Rodzice mnie ciśnęli, że bym coś ze sobą zrobił, a ja nie miałem żadnego planu.

To jak zostałeś aktorem?

– W szkołach, z których mnie wyrzucali, często udawałem pijanego albo naćpanego. Na tyle dobrze, że policja mnie zabierała do szpitala, gdzie dopiero po badaniach się okazywało, że jestem czysty. I jeden kolega ciągle mi powtarzał, że powinienem zostać aktorem. Wtedy to wpadało jednym, a wypadło drugim uchem. Minęło parę lat i w jakiś upalny dzień na latarni na placu Trzech Krzyży, gdzie czekałem na autobus, zobaczyłem ogłoszenie: „Zajęcie aktorskie”. Przypomniał mi się ten kolega, zerwałem kartkę z numerem telefonu, ale w domu włożyłem ją do szuflady, gdzie przeleżała jakiś rok.

Gdy w końcu zadzwoniłem, powiedzieli, że trzeba przygotować tekst na pamięć. A ja w szkole nawet wierszyka się nie umiałem nauczyć! Znów minęło parę miesięcy.

W końcu stwierdziłem: raz kozie śmierć, pójdę, zrobię z siebie idiotę i tyle. Do dzisiaj pamiętam te dwa monologi z „Buntownika z wyboru” z Mattem Damonem, Robinem Williamsem i Benem Affleckiem, które przygotowałem.

Poszedłem, tradycyjnie w dresie, nigdy nie miałem żadnych innych ciuchów, ostrzyżony na 3 mm, z moją posturą sportowca, a tu w poczekalni siedzą jacyś ludzie w szalikach, eleganckich ciuchach. Jak wszedłem, zapadła cisza.

Na przesłuchaniu powiedziałem te teksty, a właściwie je z siebie wypłułem. Potem poprosili o piosenkę, której oczywiście wcześniej nie przygotowałem, ale że piosenki disco polo wpadają w ucho, to zacząłem śpiewać „Lekcję miłości” grupy Maxel. Wyobrażasz sobie, co czuła prowadząca te zajęcia para? Ja po latach się dowiedziałem, bo mi powiedzieli, tu zacytuję dosłownie: „Ni chują go nie przyjmujemy, bo jak ja mu powiem jakąś uwagę, to on mi zajebie”.

A jednak cię przyjęli?

– Spotkanie było w lokalu przy Alejach Jerozolimskich. Po wszystkim wyszedłem na balkon, za chwilę przyszedł prowadzący, że by zapalić. Zaczęliśmy rozmawiać i widocz-



**O robieniu filmów
wiedziałem tyle, co
z jakichś zagranicznych
making offów, więc się
załamalem, bo tu wszystko
było takie brudne, biedne.
Na szczęście od razu mnie
pchnęli nożem i mogłem
uracać na zajęcia**

nie uznał, że nie jestem taką patologią, za jaką mnie wziął w pierwszej chwili, bo powiedział, że jeśli chcę, to mogę przychodzić. Okazało się, że to były zajęcia przygotowujące do egzaminów do szkół teatralnych. Nie wiedziałem, że w ogóle są takie szkoły. Oni stwierdzili, że powinienem zdawać, że mi pomogą, wypełnią papiery, zorganizują pieniądze. Wierzyli we mnie, choć ja myślałem, że gdzie taki chłopek-roztroppek do takich szkół. Ale mnie namówili, jeździli nawet ze mną na egzaminy, dawali rady.

Do ilu szkół zdawałeś?
– Do trzech, ale jak się dostałem do Łodzi, to nas wszystkich przyjętych odrzucili w Krakowie na starcie.

Dostałeś się za pierwszym razem...
–...a jak usłyszałem, że zostałem przyjęty, to się załamalem. Bo dla mnie to oznaczało wyprowadzkę z Warszawy, na co nie byłem gotowy. Myślałem też o tych, którzy chcieli bardziej ode mnie, ale się nie dostali. Nie sądziłem, że mi się uda, poszedłem na egzamin w jakimś poczuciu obowiązku, że jestem coś winien ludziom, którzy we mnie uwierzyli.

Pierwsze parę miesięcy to była masakra: w obcym mieście, bez kumpli, nawet kompletnie inne graffiti... Ale później już było tylko lepiej, dziś już świetnie wspomnam ten czas.

Dobrze się czuleś w szkole?
– Wpadłem w wir pracy. Nikogo poza szkołą nie znałem, na życie prywatne nie było czasu, więc całe dnie w niej spędzałem. I choć na samych egzaminach były dziwne sytuacje – kiedy np. jeden profesor zagrał dźwięk na fortepianie i kazał mi w niego trafić, a ja nie wiedziałem, że mam zaśpiewać, więc podszedłem, by nacisnąć ten sam klawisz co on; potem się dowiedziałem, że niektórzy uważali, że się dostanę, gdy tylko wszedłem na egzamin. Ponoć było we mnie coś takiego.

Mówi się czasem właśnie, że aktor „ma to coś”.
– Może tak, nie wiem. Sporo grałem w szkolnych etiudach. Często słyszałem, że mam coś takiego w energii czy twarzy, że chce się patrzeć.

Kilka lat po tym, gdy skończyłeś Filmówkę, ujawniono, że dochodziło w niej do przemocy wykładowców wobec studentów.
– Nie doświadczałem tych sytuacji, ale to nie znaczy, że one się nie zdarzały. Ludzie różnie reagują, ja to, co działo się w szkole, zawsze filtrowałem. Brałem to, co było mi potrzebne, resztę ignorowałem. Uważałem, że w kwestiach stricte zawodowych zawsze obroni się prawda.

Pamiętam, jak pojechaliśmy na dni integracyjne i dali nam tekst do przeczytania. Każdy zaczął czytać swój fragment. Ja, który nie chodziłem do teatru czy na kółka teatralne, czytałem normalnie, a wielu moich kolegów i koleżanek, którzy już byli wcześniej na scenie, już grało. Profesor potem mówił, że trzeba to było z nich zdziierać, te maniery, naleciałości. Wspominam szkołę dobrze. Może dlatego, że nie miałem ciśnienia, czulem dość pewnie z tym, co robię. Wiedziałem, że dużo pracuję, i nie mam sobie nic do zarzucenia.

A potem, na festiwalu szkół teatralnych, dostałeś nagrodę dla „aktora, którego chcielibyśmy oglądać na ekranie telewizyjnym i filmowym”.
– Tak, od Opus Film, który zresztą potem robił serial „Klangor”. Szczerze mówiąc, zawsze celowałem bardziej w kino niż teatr.

A jak się czuleś na scenie?
– Bardzo dobrze. Uważam, że granie na scenie jest nieco łatwiejsze. Masz ciągłość roli, większą swobodę w poruszaniu się, scena nie trwa 15 sekund, w których musisz się psychicznie załamać, a potem to powtórzyć raz, drugi, trzeci. W teatrze jedno wynika z drugiego i każda następna scena rozwija bagaż emocjonalny z wcześniejszej. No i grasz tylko z aktorami, nie ma tak, że za kamerą stoi 20 osób, które są mniej lub bardziej zainteresowane tym, co ty robisz przed.

Nie chciałeś zostać w teatrze?
– Miałem propozycje etatów, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, że jestem w zespole i czekam, aż wywieszają obsadę i dopiero wtedy się dowiem, co gram. Że będę musiał grać w tym, co kompletnie mi się nie podoba ani mnie nie interesuje. Ale udało mi się zagrać w spektaklu, który był dla mnie bardzo ważny, w „Pijanych” Iwana Wyrypajewa w teatrze w Szczecinie. Ta historia o ludziach, którzy im więcej piją, tym bardziej są szczerzy, mocno we mnie rezonowała.

To prawda, że nigdy się nie upiłeś?
– Nie znam nawet smaku alkoholu, za dużo się napatrzyłem na różne sytuacje, poza tym zawsze chciałem być inny niż wszyscy. Ale, jak wspominałem, dobrze mi szło udawanie. Nawet na próbie generalnej „Pi-

janych” dyrektorka stwierdziła, że na scenie jest jeden pijany, a reszta udaje. Po spektaklu bywało, że musiałem ludziom tłumaczyć, że nie jestem pijany w pracy. Zresztą nawet mama, która wie, że nie piję, czasem się nabierała i ręce załamywała.

Jak rodzice przyjęli syna aktora?
– Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tym, ale myślę, że dla nich to abstrakcja. Pamiętam, jak na drugim roku grałem w Łodzi w „Matce Joannie od Aniołów” małą rolę i mama po raz pierwszy przyjechała mnie zobaczyć na scenie. Plakała chyba cały spektakl. Teraz na wszystkie premiery zawsze rodzice ze mną idą.

Na ekranie zadebiutowałeś w epizodzie w serialu „Komisarz Alex” w 2013 roku.
– Kręcili go w Łodzi, można było ze szkoły na plan pojechać. O robieniu filmów wiedziałem tyle, co z jakichś zagranicznych making offów, więc się załamalem, bo tu wszystko było takie brudne, biedne. Na szczęście od razu mnie pchnęli nożem i mogłem wracać na zajęcia. W „Na dobre i na złe” byłem pacjentem, sparaliżowanym alpinistą, a potem lekarzem po Afganistanie, w „Na Wspólnej” trenerem karate, w „Przyjaciółkach” fotografem.

Czasem grałeś po kilka ról rocznie, w tym w „Furiozie” i „Klangorze”. W 2024 roku też zagrałeś sześć, ale już większych, poważniejszych.
– Tak, ten rok był już inny. „Klangor” był przełomem dla mnie samego, „Furioza” natomiast bardzo dobrze poszła komercyjnie i miała świetną oglądalność.

Często grasz policjantów, żołnierzy czy gangsterów. A co najbardziej byś chciał zagrać?
– Nie mam nic sprecyzowanego. Ale może coś niezwiązanego z moją fizycznością, jakiegoś zwykłego człowieka ze słabościami, który pokonuje przeciwności losu? Zresztą to się już zmienia.

W serialu „Heweliusz” gram właśnie normalnego faceta. To była superprzygoda. Jestem trzecim oficerem, jedną z osób, które się uratowały z katastrofy promu. Choć i tam moja fizyczność się przydała, bo musiałem skakać do wielkiego basenu, w którym kręciliśmy sztorm. A dzień po nas w tym samym basenie nurkował Tom Cruise (*śmiech*).

No właśnie – jak to jest przebić ścianę w łazience człowiekiem niczym Cruise w „Mission: Impossible – Fallout”?
– Nie wiem, bo w scenie, o której mówisz, w serialu „Idź przodem, bracie” zastąpił mnie kaskader. Ściana była tylko jedna i trzeba było to perfekcyjnie nakręcić za pierwszym razem. Chyba nawet nie pomyśleli, żeby pozwolić aktorom to zrobić. Tom Cruise to Tom Cruise. To są jego filmy, jego pieniądze i jego życie. I jego kosmiczne ubezpieczenie.

Nie żałowałeś trochę? Może chciałbyś jednak spróbować, gdyby ci pozwolili?
– Gdybym był w pełni zdrowy, to pewnie tak, ale tydzień przed kręceniem akcji policyjnych antyterrorystów w szpitalu rozwaliliśmy sobie kolano. Musiałem na nie uważać, w całym tym sprzęcie – helmie, kamizelce, z karabinem – trochę utykałem i noga pod koniec dnia odmawiała posłuszeństwa. Kolega, który to robił, odczuł to mocno i dwa dni dochodził do siebie. A to kawał chłopa.

Ty też nie ułomek. Lubieś kino akcji? Filmy z Jeanem-Claude’em Van Damme’em na przykład?
– Akurat do Van Damme’a bardzo wielu ludzi mnie porównywało (*śmiech*). Nawet zanim w ogóle poszedłem w aktorstwo, to niektórzy na mnie wołali „Van Damme”. Też się rozciągałem, robiłem szpagaty.

Na dwóch tirach?

– (*śmiech*) Nie, nie na tirach. Ale miałem takie fotki właśnie w szpagatach. W Filmówce na fuksówce był taki zwyczaj, że studentów z wyższych lat porównywali do aktorów i zdjęcia zestawiali, moje właśnie z nim. Podobieństwo rzeczywiście było spore, czasami sam je widzę.

Oglądałeś jego filmy?
– „Krwawy sport” tak, podobało mi się, że jest jeden przeciwko wszystkim. Lubilem to. Teraz bardziej mnie ekscytują te rzeczy, gdzie mogę być nie tym, który atakuje, tylko tym, który jest atakowany. Gdzie jest jakieś psychologiczne wyzwanie.

Ale to chyba nie ten sympatyczny słoik z „Listów do M. Pożegnania i powroty”?
– To akurat był mały epizodzik, wpadłem na trzy dni zdjęciowe.

Mówię o czymś takim jak w serialu „Klangor”, gdzie grałem uciekającego więźnia, człowieka z problemami psychicznymi, zaszczutego. Stworzyłem od podstaw tego Emila Knapika i chyba było to wiarygodne. Pierwszego dnia na planie, kiedy kręciliśmy otwierającą scenę mojej rozmowy z Arkiem Jakubikiem, który grał więziennego psychologa, nikt się do mnie nie odzywał. Były jakieś zmiany, przestawki, ludzie ze sobą rozmawiali, ale mnie omijali. Pomyślałem, że nawet spoko, byłem skupiony na robocie. I dopiero wieczorem mi reżyser powiedział w hotelu: „Stary, wszystkich nabraleś, myśleli, że jesteś prawdziwym pacjentem ze szpitala psychiatrycznego”.

Potem na castingach reżyserzy mówili mi, że oglądali serial, i myśleli, że to jest bardzo odważny pomysł, żeby wziąć chłopaka ze szpitala. Dopiero potem sprawdzali i okazywało się, że to jednak aktor.

Z „Furiozą” zresztą miałem podobną sytuację, też wszyscy myśleli, że jestem kibicem. Pamiętam, jak Mateusz Banasiuk zaprosił jakichś swoich znajomych na pokaz i mnie przedstawiał, mówiąc: „To jest pan Eleryk i on nie jest kibicem, tylko aktorem, nie umawia się na ustawki po lasach”.

Masz tatuaż „Kocham Grochów”?
– Nie, w ogóle żadnego nie mam. Ale moi bohaterowie mają, w „Furiozie” na przykład mojego pomysłu. Za to we „Wrooklyn Zoo”, gdzie zagrałem przywódcę neonazistów, już właśnie związane z tymi grupami, m.in. 88. Pamiętam, że raz spieszyłem się na pociąg z Wrocławia do Łodzi, na plan „Idź przodem, bracie”, i nie zdążyłem ich zmyć. Siedziałem naprzeciwko dwóch dziewczyn, które przez cztery godziny ani razu nie spojrzały na mnie. Nikt też nie usiadł na wolnym miejscu obok mnie, choć pociąg był pełen ludzi, a podróż się przedłużała.

Innym razem w charakteryzacji się spieszyli, powiedzieli, żebym już sobie w domu te tatuaże zmył, no i wracając na rowerze, zatrzymałem się na światłach, a obok taki dziadek. Spojrzał na mnie, zrozumiałem, że wie, co te tatuaże znaczą, ale nic nie powiedział. Zrobiło mi się głupio.

To teraz musisz zagrać jakiegoś miłego nauczyciela.
– No właśnie zagrałem w filmie „Przepiékne!”, premiera na Dzień Kobiet. ●

Konrad Eleryk

• ur. 1989 r. w Warszawie, aktor. W 2017 roku ukończył wydział aktorski PWSFTviT w Łodzi. Epizody i małe role w serialach i filmach zaczął grać już na studiach. Przełomem w jego karierze był rok 2021, gdy zagrał w serialu „Klangor” i filmie „Furioza”, który stał się hitem Netflixa. W 2022 roku zagrał dziewięć ról, w tym w serialu „Skazana”, w 2023 aż 11, w tym w „Emigracji XD”, a w 2024 roku znów dziewięć, m.in. w serialach „Rojst. Millenium” i „Idź przodem, bracie” czy w filmach „Kulej. Dwie strony medalu” i „Wrooklyn Zoo”.

zy cywilizacja europejska, która wniosła tak wielki wkład do cywilizacji globalnej i rozwoju świata, wytworzyła również na tyle silne poczucie identyczności, czyli tożsamości mieszkańców europejskiego subkontynentu, aby ich europejska tożsamość była równie silnym spoiwem, jak tożsamości narodowe Brytyjczyków, Francuzów, Niemców, Polaków, Skandynawów, Włochów i innych?

W istocie tożsamość kształtuje się często – choć nie wyłącznie – w opozycji do zjawisk zewnętrznych, które postrzegane są jako zagrożenie dla naszej własnej identyczności. Historyk Fernand Braudel uważał, że „ogólnym prostym warunkiem”, który stanowi o tożsamości Francji, jest związek państwa i języka.

Z kolei Thierry de Montbrial, współczesny francuski myśliciel, pisze, że Amerykanie uznaliby za ogólny prosty warunek swojej tożsamości konstytucję; podstawą zaś tożsamości narodu arabskiego są język i Koran, jakkolwiek ten naród „nie prowadzi skoordynowanych działań wobec świata zewnętrznego” („Działanie i system świata”, Warszawa 2011, przeł. Andrzej Szeptycki).

Przekonanie Montbriała sprowadza się do tego, że podstawą interesu narodowego jest potrzeba bezpieczeństwa i jej zapewnienie. Bezsprzeczne jest to, że niejako z natury rzeczy tożsamość zakłada zapewnienie bezpieczeństwa, co więcej – „bezpieczeństwo konkretnego aktora jest nierozzerwalnie związane ze stabilnością całego systemu międzynarodowego”.

Prof. Charles L. Glaser z Uniwersytetu George’a Washingtona trafnie ostatnio zauważył w „Foreign Affairs” (lipiec/sierpień 2024), że nowy dylemat bezpieczeństwa „rodzi się, gdy państwo zagrożone (insecure) szuka zapewnienia sobie bezpieczeństwa i działa bezwiednie (unintentionally) w sposób, który wywołuje poczucie zagrożenia i niebezpieczeństwa u innego państwa”.

W ten sposób następuje eskalacja napięcia, która może prowadzić do wojny – nawet wówczas, gdy obie strony chciałyby żyć w pokoju.

Nie jest to zjawisko nowe i nieznanne. Sygnalizował je w swej pierwszej i bodaj najważniejszej monografii Henry Kissinger, gdy przywoływał dylematat bezpieczeństwa, jak je postrzegał ponad 200 lat wcześniej minister spraw zagranicznych Austrii, książę Klemens von Metternich – kilka lat przed Kongresem Wiedeńskim (1815) oraz podczas niego. Metternich upatrywał bezpieczeństwa „w stabilności, w ograniczonych do minimum zmianach istniejących instytucji” (Kissinger, „Świat przywrócony. Metternich, Castlereagh i zagadnienie pokoju 1812-1822”, przeł. Jan Sadkiewicz, Kraków 2022).

Podejście to zakładało prymat uznania prawowitości i legitymizację istniejącego stanu rzeczy za fundament pokoju i bezpieczeństwa.

Unia Europejska w trzeciej dekadzie XXI wieku jest odpowiedzią na poszukiwanie bezpieczeństwa w czasach zmian i transformacji. Przyjęcie takiej perspektywy interpretacyjnej, w której to czas i zmiana mają prymat nad przestrzenią i stabilnością, pozwala lepiej rozumieć nową rzeczywistość, bo czas i zmiana odgrywają znacznie ważniejszą rolę niż bezrefleksyjne odwoływanie się do geopolityki.

Nie znaczy to, że fundament i spoiwo Europy, czyli jej tożsamość i cywilizacja, nie mają głębokich korzeni historycznych. Wyrastają one z judeochrześcijańskiej tradycji oraz z kultury starożytnej Grecji, z filozofii i norm prawa rzymskiego oraz ze wspólnej spuścizny renesansu i oświecenia.

Dzisiejsza Europa wyrasta też na pamięci o niezliczonych wojnach „wszystkich ze wszystkimi” – domowych, religijnych, buntach, powstaniach, a zwłaszcza na straszliwych doświadczeniach obu wojen światowych XX stulecia. Były to wojny globalne, choć zapoczątkowane w Europie i wywołane przez europejskie mocarstwa.

To poszukiwanie sposobów zapobieżenia nowym konfliktom zbrojnym było w swej istocie głównym motywem, który skłonił Ojców Założycieli Unii do poszukiwania takiej formuły europejskiej integracji, która uniemożliwiłaby wybuch wojny między uczestnikami nowego unijnego porozumienia. Takie były początki.

By uświadomić sobie klimat i atmosferę pierwszych lat w Niemczech po zakończeniu II wojny światowej, odwołam się do „Raportu” Hannah Arendt, w którym dzieliła się z czytelnikami jesiennej edy-



Wspólnotowa koncepcja bezpieczeństwa

JAKA DUSZA DLA EUROPY

Unia jest odpowiedzią na nasze potrzeby i lęki.
Byłe myślenie o wspólnocie i racjonalizm brały górę nad egoizmami narodowymi.

Adam Daniel Rotfeld*



cji pisma „Commentary” (X 1950) swoimi refleksjami z podróży do Niemiec – pięć lat po zakończeniu wojny: „Widok zniszczonych niemieckich miast i wie-
dza na temat niemieckich obozów koncentracyj-
nych i obozów zagłady pogrążyły Europę w głębokim
smutku, sprawiając, że wspomnienie minionej woj-
ny stało się bardziej bolesne i nieustępliwe, a strach
przed przyszłymi wojnami – bardziej rzeczywisty.

Nie »problem niemiecki« – bo jest on tylko jed-
nym z narodowych problemów w ramach europej-
skiej „comitas gentium” [ogółu zwyczajów przyjętych
w stosunkach międzynarodowych] – ale niemiecki
KOSZMAR stał się w ogólnej atmosferze życia euro-
pejskiego elementem niemal równie istotnym, jak ru-
chy komunistyczne (...).

Obojętność – a także rozdrażnienie, które pojawia
się wtedy, gdy obojętność jest udawana – można prze-
testować na wielu intelektualnych poziomach. Naj-
prostszych sprawdzianem jest stwierdzenie expres-
sis verbis tego, co nasz rozmówca zauważył już na
początku naszej rozmowy, a mianowicie, że jesteśmy
Żydem lub Żydówką. Po takim stwierdzeniu zwykle
zapada na chwilę nieco niezręczna cisza (...).

Jeśli obiekt naszego małego eksperymentu jest
akurat osobą wykształconą i inteligentną, przecho-
dzi do ukazania równowagi pomiędzy cierpieniem
Niemców a cierpieniem innych, sugerując, że cierpie-
nia te nawzajem się znoszą i że wobec tego możemy
porozmawiać na jakiś przyjemniejszy temat”.

Hannah Arendt z sarkazmem kończy ten wywód
uwagą: „Przeciętny Niemiec nie szuka przyczyn mi-
nionej wojny w działaniach reżimu nazistowskiego,
ale w wydarzeniach, które doprowadziły do wygna-
nia Adama i Ewy z raju”.

(„Salon berliński i inne eseje”, przeł. Sebastian Szy-
mański i Mieczysław Godyń, Warszawa 2008).

Arendt trafnie konkluduje swój wywód, że uciecz-
ka ówczesnych Niemców i Niemiec od rzeczywistości
była „oczywiście ucieczką od odpowiedzialności”.

Uwaga ta, rzecz jasna, nie odnosiła się ani nie od-
nosi tylko do Niemców i Niemiec, ale do wszystkich

innych europejskich i pozaeuropejskich
państw i narodów. Głęboki sens powola-
nej z inicjatywy Roberta Schumana, jako mi-
nistra spraw zagranicznych Francji, Euro-
pejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (1952) otworzył
drogę do Europy Wspólnego Rynku i Europejskiej
Wspólnoty Gospodarczej, która ostatecznie prze-
kształciła się w dzisiejszą Unię Europejską. Coś, co
w czasie podróży Arendt do Niemiec w 1950 r. było
niewyobrażalne, stało się rzeczywistością.

Unia jest odpowiedzią na potrzeby i lęki, ryzyka
i zagrożenia – przy założeniu, że wspólnotowe myśle-
nie i racjonalizm wezmą górę nad narodowymi ego-
izmami. W istocie samo powstanie Unii, jej rozwój
i stan osiągnięty w poszukiwaniu wspólnotowych
rozwiązań jest największym do tej pory osiągnięciem
politycznym, społecznym i gospodarczym w całych
działach Europy.

Pierwszą polską wizję zbioru praw przyszłej wspól-
noty narodów europejskich sformułował i opubliko-
wał w czasie powstania listopadowego jego uczest-
nik, a zarazem myśliciel, wybitny uczonego, przyrodnik,
a na gruncie polskim pionier pacyfizmu – Wojciech
Bogumił Jastrzębowski.

Art. 2 jego projektu „Konstytucji dla Europy” gło-
sił: „Rękojmnią równości ludzi, składających jeden na-
ród, będą prawa narodowe, rękojmnią zaś równości
narodów europejskich będą prawa europejskie, któ-
re mają stanowić podstawę wiecznego przymierza
w Europie”. Art. 12 projektu postulował: „Wszystkie
narody, należące do wiecznego przymierza w Euro-
pie, winne są równą uległość prawom europejskim”.

Od napisania tych słów minęło ponad 190 lat. Wy-
stawiają one świadectwo odwagi w myśleniu i wizjo-
nerstwie autora.

Późniejsze prognozy i postulaty formułowane
w drugiej i trzeciej dekadzie XXI wieku były mniej
optymistyczne. Były to opracowania z kategorii „do-
brych rad” i ostrzeżeń dyktowanych dobrą wolą i za-

• **Manewry
lotnicze NATO
„Ramste-
in Flag 24”
odbyły się
na początku
października
2024 roku
w Grecji.
Wzięły w nich
udział m.in.
polskie my-
śliwce F-16
i węgierskie
Gripeny (na
zdj. dwie takie
maszyny pod-
czas jednego
z lotów szko-
leniowych nad
Grecją).
Tego typu
ćwiczenia
zorganizowano
w Europie po
raz pierwszy.
Regularnie
przeprowadza-
ją je natomiast
na Alasce siły
powietrzne
armii USA**

FOT. NATO - MICHAEL
LINNENEN

*Bardzo trudno zmienić nacjonalistyczne
stereotypy, które stały się dla części europejskich
społeczeństw trwałym elementem ich mentalności
i tożsamości narodowej*

pewne najlepszymi intencjami, ale podporządkowa-
ne doraźnym reakcjom na aktualny bieg zdarzeń.
Tak np. dwaj kompetentni autorzy – Bułgar i Brytyj-
czyk – postulowali w drugiej dekadzie bieżącego stu-
lecia zapoczątkowanie „europejskiego trialogu bez-
pieczeństwa” – postnarodowej Unii Europejskiej, po-
stimperialnej Rosji i postkemałowskiej Turcji (Iwan
Krastew, Mark Leonard, „Widmo Europy wielobiegu-
nowej”). Ten trialog miałby wypracować plan dzia-
łania do zmniejszania napięć na kontynencie euro-
pejskim. Już wtedy – po wystąpieniu Putina w Mo-
nachium w lutym 2007 r. oraz rosyjskiej napaści na
Gruzję w 2008 r. i wobec demonstrowanej krytycz-
nej postawy prezydenta Turcji Erdoğan’a wobec UE
– myślenie kategoriami trialogu UE-Rosja-Turcja na-
leżało zaliczyć do kategorii rozumowania oderwane-
go od życia.

Od napisania tego swoistego „raportu z ostrzeże-
niami” minęło blisko 15 lat. W tym czasie Unia i ca-
ła Europa przeżyły wiele kryzysów. Ale źródłem żąd-
nego z nich nie był problem wielobiegunowości we-
wnątrz Unii. Kryzysy miały swe źródła w czynnikach
wewnętrznych państw europejskich (finansowym,
społecznym, etnicznym) i w zewnętrznych pozaeu-
ropejskich (niekontrolowany napływ migrantów, na-
paść Rosji na Ukrainę) oraz zjawiskach globalnych
(zmiany klimatyczne, pandemia).

Przezwyciężenie każdego z nich wymagało in-
nowacyjnego podejścia. W efekcie prowadziło to do
umocnienia, a nie rozluźnienia wewnętrznej spoisto-
ści Unii. Nowa tożsamość oparta na potrzebie roz-
szerzonej koncepcji bezpieczeństwa, obejmującej
obok spraw społecznych, gospodarczych, ekologicz-
nych również bezpieczeństwo wojskowe i obronność
kształtuje dziś nową jakość wspólnotowego myślenia
o Europie i jej przyszłości.

Na kształtowanie wspólnej cywilizacji i tożsamości
europejskiej oddziałuje w istotnej mierze pamięć hi-
storyczna, często sprowadzana do tzw. polityki histo-
rycznej.

Różnica między pamięcią a polityką historyczną
jest taka, że pamięć odwołuje się do wszystkich fak-
tów i wydarzeń, które w sposób naukowy poddawane
są ocenie i weryfikacji na podstawie kryterium praw-
dy. Natomiast polityka – określana wymogami i po-
trezbami dnia dzisiejszego – zakłada ze swej natury
odwoływanie się do faktów wybranych selektywnie
dla realizacji określonego celu politycznego.

W tej mierze często przywoływana jest senten-
cja Cicerona: „historia magistra vitae (est)”. Tak zre-
dukowane pojęcie sprowadza się do tego, jakoby zda-
niem Cicerona historia miała być nauczycielką ży-
cia. Podczas gdy pełny cytat z traktatu Cicerona „De
oratore” miał inne przesłanie: historia – mówił Cyce-
ron – to „świadek czasów, światło prawdy, pamięć ży-
jąca, nauczycielka życia, zwiastunka przeszłości; czyj
głos, jeżeli nie mówcy, ją unieśmiertelnia?” (przeł.
Erazm Rykaczewski).

Innymi słowy, historia to światło prawdy, pamięć
życia, zwiastunka przeszłości, którą unieśmiertelnia
głos mówcy.

Historia nie może być instrumentalizowana w taki
sposób, że czyni negatywne i fakty zbrodni, które po-
winny być napiętnowane, są wymazywane z pamię-
ci społeczeństw. Odpowiedzialność polityków euro-
pejskich za nauczanie oparte na prawdzie historycz-
nej nie może akceptować odrzucania wydarzeń i fak-
tów niewygodnych i prezentowanie historii wypranej
z brudów – „oczyszczonej”, w której dzieje narodów
nie odzwierciedlają prawdy.

W starożytnej Grecji tych, którzy spisywali po pro-
stu fakty i wydarzenia, nazywano logografami, nato-
miast zadaniem tych, którzy określani byli jako histo-
rzy, było ustalanie logicznych związków między wy-
darzeniami, ustalanie prawidłowości i norm opar-
tych na powtarzalności. Historia była i jest wykorzy-
stywana przez polityków. Zafałszowana buduje fał-
szywą politykę.

Samo pojęcie polityki historycznej zyskało popu-
larność w kontekście sporu historyków niemieckich
z końca lat 70. i 80. ubiegłego wieku, gdy Ernst Nol-
te i wspierająca go grupa historyków nacjonalistycz-

nej proweniencji podjęła proces relatywizacji zbrodni hitlerowskich, które w ich opinii miały być odpowiedzialnością na groźbę bolszewizmu i stalinizmu.

Istotą tego zabiegu była próba zdjęcia z narodu niemieckiego odpowiedzialności za nazizm i jego bestialską zbrodniczą politykę wobec całej okupowanej Europy oraz Zagładę europejskich Żydów. W tym ujęciu hitleryzm jawił się jako jeden z „normalnych” przejawów europejskiej historii.

W tym kontekście przemieszczanie ludności niemieckiej z dawnych obszarów wschodnich Prus i Dolnego Śląska w obowiązującej oficjalnej niemieckiej terminologii określone zostało jako „wypędzenia”, a postępowanie aliantów, w tym Polaków – zrównane z czynami III Rzeszy na terytoriach okupowanej Europy.

Takie tezy zmierzające do swoistego usprawiedliwienia i „podzielenia się odpowiedzialnością” za zbrodnie hitlerowskiej Rzeszy dominowały głównie na skrajnej prawicy. Napotykały sprzeciw socjaldemokratów i Zielonych.

W dzisiejszych Niemczech spadkobierczynią partii neonazistowskich i nacjonalistycznych, która sięga do retoryki używanej przed 20 laty przez Erikę Steinbach, jest Alternative für Deutschland (Alternatywa dla Niemiec).

20 lat temu pisałem: „Jesteśmy teraz świadkami trzeciej fali pamięci o drugiej wojnie światowej i sposobu reagowania na nią. W niektórych społeczeństwach problem rozliczania z przeszłością – jak np. na Słowacji z osobą i rządami ks. Tiso, w Rumunii z Ionem Antonescu, w Chorwacji z Ante Paveliciem, w Ukrainie ze Stepanem Bandera, Jewhenem Konowalcem, Romanem Szuchewyczem – to problem aktualnej polityki. I dopiero dzisiaj niektóre sprawy są traktowane z powagą, rozważa, z pewnym dystansem i obiektywizmem”.

Oceny te nadal zachowują aktualność. Świadczy to o tym, jak trudno zmienić utrwalone nacjonalistyczne stereotypy, które stały się dla części europejskich społeczeństw trwałym elementem ich mentalności i tożsamości narodowej.

Prawda historyczna jest konieczna do budowania również nowej tożsamości politycznej społeczeństwa polskiego. Tylko w ten sposób można kształtować społeczeństwo obywatelskie – silne, bez kompleksów, które potrafi przyjąć do wiadomości, przyswoić i wyciągnąć samodzielnie wnioski zarówno z pozytywnych, jak i negatywnych faktów i zdarzeń własnej historii.

W różnych państwach Europy proces kształtowania nowej politycznej tożsamości nie przebiega równocześnie i jednakowo. Przecież zacieranie pamięci o zachowaniu większości społeczeństw Europy w czasie II wojny światowej dotyczyło nie tylko Niemiec i Austrii, ale również Francji, Włoch, Belgii czy okupowanej przez III Rzeszę Norwegii, że nie wspomnę o Europie Środkowej – Węgrzech, Rumunii, Słowacji, Bałkanach: Serbii i Chorwacji, krajów bałtyckich (Litwy, Łotwy, Estonii), Ukrainy czy wreszcie Polski. U nas od czasu odzyskania pełnej suwerenności w 1989 r. trwają nieustanne spory zarówno wokół faktów historycznych, jak też koncepcji kształtowania postaw społecznych z myślą o przyszłości.

Naiwne jest przekonanie tych, którzy uważają, że ukrywanie prawdy może sprzyjać formowaniu demokratycznego społeczeństwa nowoczesnego i odpowiedzial-



***Krzysztof Lisowski** - poeta, krytyk literacki, redaktor. Urodzony dziewięć lat po wojnie w Krakowie, gdzie dotąd mieszka. Ostatnio wydał tom wierszy „Trzeba czasu” i razem z Kazimierzem Orłosiem książkę „Rozmowy o ludziach i pisaniu”.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

nego za podejmowanie decyzji o bezpieczeństwie własnego państwa i całej Europy – zjednoczonej w Unii Europejskiej.

Dwa poważne ryzyka, zagrożenia i wyzwania sprawiły, że jedność unijnej Europy poddana została testowi trwałości i spójności Wspólnoty Europejskiej i jej zdolności do skutecznego przeciwdziałania groźnym niebezpieczeństwom. To epidemia COVID-19 i niczym niesprowokowana napaść Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. W obu przypadkach Unia wniosła się na taki poziom solidarności i umiejętności skutecznego przeciwdziałania, który był zaskoczeniem dla wielu krytycznych obserwatorów.

Blisko 70 lat temu Karl Deutsch [politolog] sformułował główne elementy, które składają się na koncepcję pluralistycznej wspólnoty bezpieczeństwa. Są to „suwerenność i niepodległość państw; kompatybilność podstawowych wartości, na których strażą stoją wspólne instytucje i wzajemna gotowość do współpracy, poszanowanie tożsamości i lojalności; zintegrowanie państw do tego stopnia, że w praktyce prowadzi to do »współzależnych oczekiwań związanych z pokojowymi zmianami« (dependable expectations of peaceful change)”.

Do tego katalogu zawartego w definicji Deutsch'a można by dodać system wartości

WIER SZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Krzysztof Lisowski*

Kino japońskie

*Aki z wyspy Sikoku z małą córeczką Kino
Odwiedzają teraz nasze królewskie miasto
Spędzają tu parę dni i nocy
Pojawią się u mnie na niedzielnym obiedzie
Smakuje im gęsta zupa pomidorowa
Chwalą kaszę gryczaną
Jedzą z ogromniejącym zapalem jakby
Na zapas*

*Rodzice Aki niedawno odeszli
Ktoś sprzeniewierzył jej pieniądze
Ojciec Kino wrócił po ich spotkaniu
do kraju pochodzenia na Bałkany*

*Na piąty dzień we wtorek
Kiedy listopad skraca bardziej ciemne dni
Aki prosi o odwiezienie na obrzeże miasta
Tam gdzie parkują tiry
Ma ze sobą dziecko czerwoną walizkę na kółkach
Fotelik do samochodu i plecak
Stąd wielkie ciężarówki jadą w kierunku Pragi Wiednia
I dalej do Włoch gdzie można też kogoś spotkać
Pomieszkać przez chwilę*

Człon „ki” w obu imionach oznacza nadzieję

23 LISTOPADA 2023

i powiązania informacyjno-komunikacyjne, które cementują wspólnotę bezpieczeństwa (Adam D. Rotfeld, „Towards a pluralistic security system”, w „SIPRI Yearbook 1996”, Oxford University Press 1996).

W tym ujęciu Unia Europejska znacznie bardziej odpowiada kryteriom wspólnoty bezpieczeństwa niż Sojusz Północnoatlantycki, NATO, który obejmuje główne polityczno-wojskowe aspekty obrony i bezpieczeństwa państw członkowskich. Ewolucyjne zmiany w NATO i w ramach Europejskiej Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony zmierzały do tego, by zapobiec swoistej „renacjonalizacji” bezpieczeństwa.

Dotyczy to głównie potencjalnej zmiany w polityce Stanów Zjednoczonych w ramach koncepcji Donalda Trumpa MAGA, Make America Great Again. U podłoża zmian zachodzących we wszystkich krajach Europy jest coraz większa świadomość współzależności państw wielkich i małych, której towarzyszą obawy, że wspólnota obronna może prowadzić do swoistego uszczuplenia suwerenności państw członkowskich i narodów.

Rozwiązanie tego dylematu będzie kamieniem węgielnym skutecznego zapewnienia bezpieczeństwa demokratycznej wspólnoty państw Europy i Ameryki Północnej.

Europa stoi wobec wielu nowych wyzwań i ryzyk. Dotychczasowe doświadczenia były swoistym testem. Unia w ostatnich dekadach była przedmiotem wielu krytycznych ocen.

Po każdym kryzysie – finansowym, imigracyjnym, pandemicznym – stawiała się silniejsza i skuteczniejsza w przewyżczeniu trudności, które napotykała na drodze swego rozwoju. Dziś na porządku dziennym sprawą najważniejszą i priorytetową jest zapewnienie bezpieczeństwa terytorialnego całej Unii, bezpieczeństwa każdego z państw członkowskich i wszystkich jej obywateli. Przyczyną napaści Rosji na Ukrainę – wbrew często głoszonym sądom – jest

nie tyle geopolityka (cokolwiek ten termin znaczy), ile wojna o wartości.

W tej wojnie siły zbrojne Ukrainy i wszyscy jej mieszkańcy bronią wartości europejskich. W tym zmaganiu politycznym i moralno-etycznym obowiązkiem Europy i wszystkich jej obywateli jest dać świadectwo determinacji, skuteczności i zdolności do obrony prawa Ukrainy do stanowienia o swoim losie, o swobodzie wyboru własnej drogi rozwoju.

Przed 20 laty, 17 marca 2004 r., podczas spotkania Grupy Refleksyjnej zwołanego z inicjatywy prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, w odpowiedzi na postawione pytanie: „Czy Unia Europejska potrzebuje Wspólnej Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (WPBiO)?” przedstawiłem swoje stanowisko w formie Dziesięciu Tez.

Sprowadzały się one w skrócie do tego, że nowa instytucja „nie powinna zastępować ani dublować zadań i funkcji Sojuszu Północnoatlantyckiego” (teza I).

Wyraziłem też pogląd, że instytucja ta powinna stanowić „najskuteczniejszy instrument zapobiegania renacjonalizacji polityki bezpieczeństwa” (teza II).

Jakkolwiek wszystkie państwa wyrażają troskę o bezpieczeństwo europejskie, to „mają na względzie przede wszystkim własne bezpieczeństwo” (teza III).

Nowa instytucja, jaką jest WPBiO, powinna być płaszczyzną poszukiwania „z jednej strony równowagi interesów, a z drugiej – przewyżczania istniejących w Europie podziałów i zapobiegania nowym” (teza IV).

Oczekiwaniem wobec tej instytucji powinien być jej wkład w „budowę nowego porządku międzynarodowego opartego na skutecznym multilateralizmie” (teza V).

Nie należy żywić złudzeń, że powołanie tej instytucji w UE sprawi, że w ramach wspólnego bezpieczeństwa zanikną różnice zdań między państwami członkowskimi (teza VI).

Kolejna teza (VII) sprowadzała się do tego, że czas składania „wielkich nowych deklaracji” minął. Nadszedł okres wcielania w życie projektów i obietnic.

Wyraziłem też wówczas pogląd (teza VIII), że zasada jednomyślności powinna dotyczyć spraw o znaczeniu strategicznym i nie może być przeszkodą w podejmowaniu decyzji o charakterze wykonawczym.

Uważałem także, że „należy uznać ścisły związek i współzależność między rozwijanymi w Unii zdolnościami operacyjnymi a rzeczywistymi potrzebami i możliwościami ich zastosowania” (teza IX).

Wreszcie przedstawiłem opinię, zgodnie z którą (teza X) „przyjęcie Strategii Bezpieczeństwa UE zapoczątkowało w praktyce proces tworzenia wspólnej europejskiej kultury strategicznej”.

Wiele z tych sądów i oczekiwań zachowuje aktualność po dziś dzień. ●



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Adam Daniel Rotfeld

• minister spraw zagranicznych w rządzie Marka Belki (2005), dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem – SIPRI (1990-2002). Pracuje na Wydziale Artes Liberales UW.

Tekst to esej adresowany do uczestników Open Eyes Economy Summit (Kraków, 19-20 listopada 2024). Ukazał się on w zbiorze „Dusza Europy” pod red. Jerzego Hausnera i Jarosława Kuisza, Fundacja GAP, Kraków 2024. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Informacja o wykorzystanych przez autora publikacjach: Wyborcza.pl/magazyn

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



• **Prof. Jan Grabowski, historyk, pracuje na uniwersytecie w Ottawie. W 2022 roku został uhonorowany przez Kanadyjską Radę ds. Badań Nauk Społecznych i Humanistycznych (SSHRC) najbardziej prestiżową nagrodą naukową w tym kraju – SSHRC Impact Insight. W zeszłym roku uniwersytet w Lund przyznał mu honorowy doktorat, a w 2023 był nominowany do Nagrody Szymona Wiesenthala z walkę z antysemityzmem i edukację o Holokauście**

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Polska W WYBIEŁACZU

Zgadzam się z Janem Grabowskim, gdy twierdzi, że część naszego społeczeństwa dopuściła się wobec Żydów czynów niegodnych. Nie zgadzam się, gdy uogólnia, pisząc: „Polacy mordowali”. Bo jedni mordowali, a inni ratowali.

Jarosław Kurski

Wieczorem 30 maja 2023 roku poseł Konfederacji Grzegorz Braun zerwał w Warszawie wykład profesora Jana Grabowskiego. Wtargnął na trybunę, walił mikrofonem o blat mównicy, rozbijając go na kawałki. Potem zabrał się za przewracanie głośników i wrywanie kabli ze wzmacniacza. Powstał rwetes. Ludzie protestowali, wołali: „Hańba!”. Ktoś płakał. Wezwano policję, która... nic nie zrobiła.

Braun wymachiwał legitymacją poselską, wykrzykiwał coś o Żydach, po godzinie nieniekuszony triumfalnie opuścił budynek Niemieckiego Instytutu Historycznego. Taki mieliśmy klimat za rządów

Prawa i Sprawiedliwości. Irena Grudzińska-Gross napisała wtedy:

„W Polsce nie ma już rozpoznawalnych grup Żydów, napaść na Jana Grabowskiego stanowi symboliczny ekwiwalent pogromu. Niewytłumaczalne inaczej zniszczenie własności stanowi część pogromowego repertuaru”.

To tylko jedna z najbardziej jaskrawych, pośród licznych, przygód Jana Grabowskiego. Profesor próbuje nam opowiedzieć historię, której trudno słuchać bez uruchamiania mechanizmów obronnych podobnych do tych towarzyszących nam, gdy Jan Tomasz Gross opisał jedwabieńską zbrodnię na sąsiadach Żydach.

Grabowski w swych pracach naukowych dowodzi, że po tym, gdy naziści najpierw zagnali Żydów do gett, a później wymordowali w komorach gazowych Bełżca, Treblinki, Auschwitz, Chełmna nad Nerem, Majdanka i Sobiboru, nastąpiła w Polsce trzecia faza Holocaustu, którą nazwał polowaniem na ukrywających się Żydów. Otóż według mało

precyzyjnych szacunków przy życiu pozostało ok. 250 tys. Żydów – głównie uciekinierów z gett i tych, którzy do getta nigdy nie poszli. Jak dowodzi Grabowski, ich los całkowicie zależał od dobrej lub złej woli aryjskiej ludności – na terenach okupowanej II RP głównie Polaków, ale też Ukraińców i Białorusinów. Bez donosu sąsiada, dozorczy czy szmalcownika Niemcy nie mieli pojęcia, gdzie ukrywają się Żydzi.

W znakomitej i raczej przemilczanej w Polsce książce „Judenjagd” Grabowski odtworzył historię polowania na Żydów w powiecie Dąbrowa Tarnowska w latach 1942-45, a w książce „Na posterunku” dociekał udziału polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów. Z Barbarą Engelking był współredaktorem. głośnej monografii „Dalej jest Noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”, a z Dariuszem Libionką – książki „Klucze i kasa” traktującej właśnie o różnych aspektach trzeciej fazy Zagłady.

Grabowski stawia pytania, a na podstawie twardych dokumentów próbuje odpowiedzieć: >

➤ dlaczego spośród ok. 250 tys. pozostałych przy życiu Żydów w trzeciej fazie Holocaustu ocalało jedynie ok. 30 tys.? Wszak los tych ludzi zależał zasadniczo od ich nieżydowskich sąsiadów. Jaka była rola w niemieckim planie zagłady narodu żydowskiego polskiej granatowej policji, straży pożarnej, junaków z Baudienstu, sołtysów, chłopów organizujących oblawy, partyzantów, a zaraz po wojnie tzw. żołnierzy wykłėtųch? Czy mogło ich ocalić więcej? Co my, Polacy, z tą wiedzą zrobimy?

Czy siłą naszej wspólnoty ma być infantylna identyfikacja z jasnymi jedynie kartami naszej historii, czy też jej dojrzałym dopełnieniem będzie poczuwanie się do pamięci i do odpowiedzialności za karty czarne?

DLACZEGO PORZUCIŁ ŚWIĘTY SPOKÓJ

Marian Turski w 75. rocznicę oswobodzenia Auschwitz apelował: „Nie bądźcie obojętni, jeżeli widzicie kłamstwa historyczne. Nie bądźcie obojętni, kiedy widzicie, że przeszłość jest naciągana do aktualnych potrzeb polityki”.

Na ogół wszyscy się zgadzają, że nie wolno pozostawać obojętnym, że nie wolno naciągać przeszłości, ale w istocie niewielu nieobojętnymi pozostaje. Próbą charakterów dla niezależnych badaczy było osiem lat rządów PiS, rządów narodowej tromtadracji, samochwalstwa i bezwstydnego propagandy zwanej „polityką historyczną”.

Grabowski mógł pozostać obojętny i wieść wygodne życie profesora Uniwersytetu w Ottawie. Mniej więcej do przełomu wieków z sukcesem zajmował się historią Kanady, a w szczególności losem Indian. Temat niekontrowersyjny zwłaszcza w czasach powszechnej chęci zadośćuczynienia za winy białych przodków wobec first nation.

Dlaczego więc Grabowski porzucił święty spokój? Myślę, że potrafię to zrozumieć, bo tak jak on uosabiam ów polsko-żydowski splot, który na stosunki polsko-żydowskie nakazuje patrzeć sprawiedliwie, ze zdwojoną empatią i bez plemiennej i etnicznej solidarności.

By lepiej wyrazić, o co mi chodzi, przytoczę osobiste doświadczenie. Zbierając materiały do książki „Dziady i dybuki” trafiłem, na drzewo genealogiczne rodziny Bernsteinów. Mój prapradziadek Jakub Bernstein tylko w trzecim związku, z Balbiną Wilner, miał 13 dzieci, które wyrosły na znanych adwokatów, lekarzy, działaczy społecznych, właścicieli ziemskich, bankierów, muzyków etc. Drzewo sporządzone w latach 70. XX wieku przez jedną z moich nieżyjących już ciotek obejmowało kilka pokoleń i było wielkie jak baobab. Jednak większa część konarów tego drzewa w latach wojny obumarła. Osiemnaścioro członków rodziny Bernsteinów zginęło bowiem w obozach zagłady i w warszawskim getcie. Jaśniało tylko kilka zielonych młodych listków. Ku memu zdumieniu jeden z nich opisany został jako „Jaruś Kurski”.

W tej jednej chwili znane z książek abstrakcyjne pojęcie Zagłady stało się sprawą osobistą i dało przywilej podwójnej perspektywy, spojrzenia na los Żydów oczyma Polaków i spojrzenia na los Polaków oczyma Żydów. Wytworzyło też potrzebę pamięci o tych, o których pamiętać nie ma już niemal komu.

To doświadczenie unaocznilo mi, jak głęboko trafne są słowa Grabowskiego, że nigdy nie dojdzie do pojednania polsko-żydowskiego, jeśli my, Polacy, nie spojrzymy na Holocaust jako na część naszej własnej, polskiej historii. Ja właśnie, widząc częściowo obumarłe drzewo Bernsteinów – zasymilowanych polskich inteligentów – rozumiałem, że to głęboko polska historia. Tak jak śmierć zadana przez polskiego chłopca czy polskiego partyzanta rodakowi – polskiemu Żydowi – jest na wskroś polską, tragiczną historią.

Julian Tuwim w przejmującym utworze „My, Żydzi polscy” uzasadniał, dlaczego jest i czuje się Polakiem. „Polak – bo moja nienawiść do faszystów »polskich« jest większa niż do faszystów innych narodowości. I uważam to za bardzo poważną cechę mojej polskości”.

Tak samo jest z Janem Grabowskim i autorem tego tekstu.

Samek Abrahamer postanowił po wojnie pozostać przy swoim nazwisku, w odróżnieniu od swego brata, który przyjął nazwisko czasów wojny – Czesław Grabowski – i był dziadkiem prof. Jana Grabowskiego. Samek wojnę przeżył w ukryciu, potem schronił się na Węgrzech, skąd, uniknąwszy deportacji do Auschwitz, powrócił po wojnie do Polski, by odzyskać przedsiębiorstwa swego ojca Izraela Abrahamera. Został zamordowany wraz ze swoją sekretarką, gdy opuszczał swój młyn w Zielonkach na przedmieściach Krakowa. 8 kwietnia 1946 roku tuż po godzinie 18 trzech uzbrojonych mężczyzn zatrzymało dorożkę, woźnicy polecieli usunąć się na



Grabowski przez osiem
pisowskich lat był
w samej szpicy walki
z fałszerzami historii.
**Z własnego wyboru
opuścił bezpieczne
i zaciszne mury archiwów
i stanął do debat niekiedy
nawet samotnie**

bok. Dokonali egzekucji bezbronných ludzi, po czym ukradli ofiarom wszystko, co tylko się dało: pieniądze, zegarki, ślubną obrączkę, torebkę i płaszcze...

Zabójcami Samka Abrahamera i jego sekretarki Zofii Scheinborn okazali się „żołnierze wykłėti” należący do podziemnej siatki Józefa Kurasia „Ognia”, którzy likwidowali i Żydów i komunistów, utożsamiając jednych z drugimi. Samek i Zofia nie byli komunistami.

Nie wiem, czy akurat ta przygnębiająca rodzinna historia mordu na stryjecznym dziadku Grabowskiego, opisana w jego nowej książce „Wybielanie: Polska wobec zagłady Żydów”, zdecydowała o tym, że profesor naukowo zajął się zagładą Żydów w okupowanej Polsce w aspekcie sprawstwa, współsprawstwa i pomocnictwa części Polaków. Ale z pewnością miała poważny na to wpływ.

OSZUSTWO Z ZAZDROŚCI O HOLOCAUST

Tragedia zagłady narodu żydowskiego i hitlerowskiej okupacji Polski nie zbliżyła do siebie Polaków i Żydów. Po wojnie uruchomiła wręcz konkurencję cierpienia i martyrologii. Uczono nas w szkole, że wojna pochłonięła życie 6 mln Polaków. Nie wspomniano, że w istocie chodzi o obywateli polskich i że połowa z nich to Żydzi. Nie wspomniano też, że estymacja rozmiaru ofiar jest, oględnie mówiąc, nieścisła.

Grabowski pisze: „Na początku 1946 roku według oficjalnych danych z rąk Niemców miało zginąć

około 3 milionów polskich Żydów i 1,8 miliona etnicznych Polaków. Pod każdym względem były to szokujące liczby. Ale wielka różnica między polskimi i żydowskimi stratami sprawiła władzom komunistycznym kłopot. Komuniści byli powszechnie postrzegani jako sowieccy agenci i »żydowskie pacholki«. Władze obawiały się, iż podanie informacji, że polskie straty są dużo niższe od żydowskich, może wywołać gwałtowną i nieprzewidywalną reakcję obywateli przeciwko rządowi. Jakub Berman, szef budzącego grozę aparatu bezpieczeństwa, wydał więc polecenie, żeby zrównać wysokość polskich i żydowskich strat. (...) W notatce służbowej zatytułowanej »Ustalić liczbę zabitych na 6 milionów« Berman zażądał, żeby polskie i żydowskie straty zostały zrównane po 3 miliony ofiar po każdej stronie. Nie miało to nic wspólnego z historyczną ścisłością, ale było pierwszym przejawem zjawiska znanego dzisiaj jako »zazdrość o Holocaust«. Szacunki polskich strat wyczarowane przez Bermana szybko weszły do oficjalnego obiegu i nawet dzisiaj, 78 lat później, nadal stanowią część zniekształconej, chociaż powszechnie akceptowanej wizji przeszłości”.

Konkurencja cierpienia, utrwalanie jedynie słusznej, niepokalanej wersji polskiej historii przybrała w czasach rządów populistycznej prawicy w Polsce niespotykane, a czasem wręcz groteskowe rozmiary. To wręcz ofensywa pamięci o Polsce niewinnej. Służyły temu zorkiestrowane działania: IPN, Instytutu Pileckiego, Instytutu Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego, licznych suto dotowanych przez ministra Głirskiego fundacji, Reduty Dobrego Imienia, Instytutu do Walki z Antypolonizmem „Verba Veritatis”, Instytutu Strat Wojennych, służyła temu narracja licznych muzeów, m.in. Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów w Markowej, dwa muzea „wykłėtųch” i wiele innych miejsc pamięci.

Wszystkie te działania miały potwierdzić, że cierpienie narodu polskiego w czasie II wojny było co najmniej równe cierpieniu żydowskiemu i że pomoc, jaką nieśli Żydom Polacy, była powszechna, a postawa solidarna, że Polacy zrobili wszystko, co tylko można, by ratować swoich żydowskich współbraci, że Sprawiedliwych było milion lub więcej, a przypadki szmalcownictwa i denuncjacji były sporadyczne i jednoznacznie napiętnowane przez podziemne sądy, że najwięcej drzewek Sprawiedliwych mają w Yad Vashem Polacy i że wielu z nich poniosło śmierć, ratując Żydów.

To oczywiście miły naszemu sercu obraz. Ale co najmniej, niepełny i tylko częściowo prawdziwy.

Czy częściowa prawda nadal pozostaje prawdą, czy jest już fałszem? Grabowski uważa, że fałszem, a nawet więcej – zaprzeczaniem Holocaustowi przez jego przeinaczanie. Pisz, że indoktrynacja historyczna dokonana przez polskich nacjonalistów „doprowadziła do tego, że dziś Polskę można uważać za lidera negacji historii Holocaustu”.

WIDZI WIĘCEJ, CZUJE MOCNIEJ

Obok wspomnianego już tożsamościowego polsko-żydowskiego spłotu Grabowski ma jeszcze coś, co sprawia, że temat polsko-żydowskich okupacyjnych stosunków jest mu tak bliski, że niemal obsesyjny. W archiwach, w których spędził 20 lat, słysząc głosy dybuków ludzi pomordowanych, których nie słyszy nikt inny. Patrzy więc na świat inaczej – przez lzy zapomnianych ludzi. Chcąc nie chcąc, stał się strażnikiem ich pamięci. Widzi więcej.

Zapytałem go kiedyś, kim byli ci Żydzi z miasteczek. To na ogół żydowska biedota. Nędza i smutek tonącego w błocie sztetla. Drobní sklepikarze, rzemieślnicy, rzeźacy, krawcy, obwoźni handlarze, drobní pośrednicy, pobożni, prości wschodnioeuropejscy Żydzi.

Nie będę ukrywał, że się znamy. Jechaliśmy kiedyś z Janem Grabowskim przez podkrakowskie Słomniki. To miasteczko leżące przy dawnej ruchliwej drodze Warszawa – Kraków. Przeciętny kierowca zauważył jedynie teren zabudowany i nakaz ograniczenia prędkości. Nieco mniej skupiony na drodze rozejrzył się i pomyślał „ładne typowe miasteczko”. Ja właśnie tak pomyślałem i zauważyłem też stojący przy samej drodze opuszczony budynek dawnej synagogi. Stoi przy wyjeździe z miasteczka w stronę Krakowa, opodal łąk nad rzeczką Szreniawą.

Jan Grabowski jednak w tym sielskim krajobrazie dostrzegł jeszcze to, czego nie widać, a co opowie-działy i pokazały mu dybuki zamknięte w archiwach. Tam to, co umarłe i zapomniane, pulsuje życiem, słysząc szepty i lamenty, widać dramat opuszczenia i sąsiedzkiej zdrady. A w wypadku Słomnik – mroczny rewers tej małopolskiej sielanki. 29 sierpnia 1942 roku Żydzi ze Słomnik, Skalbmierza, Opotowa, Książa Wielkiego, Skały i innych miejscowości

◀ **Poseł Konfederacji Grzegorz Braun (z prawej) podczas chuligańskiego wybuchu w Niemieckim Instytucie Historycznym, gdzie 30 maja 2023 roku przerwał wykład prof. Grabowskiego (stoi z lewej). Brauna próbue wyprosić z Sali dyrektor Instytutu dr hab. Milos Reznik (drugi od lewej)**

FOT. ADAM STEPIEN /
AGENCJA
WYBORCZA.PL

powiatu Miechowskiego zostali zapędzeni przy pomocy niemieckiej żandarmerii, polskiej policji granatowej, Sonderdienst (paramilitarna formacja pomocnicza złożona z folksdojców) oraz junaków z Polnischer Baudienst (Polska Służba Budowlana) na malownicze szreniawskie łąki.

Dziś biegnie tędy ul. 3 Maja. Dziesięć tysięcy ludzi stało przez pięć dni i nocy w oczekiwaniu na selekcję: albo śmierć na miejscu, albo transport do Bełżca, gdzie czekała ich rychła śmierć, albo transport do obozu pracy w Płaszowie, gdzie czekała na nich śmierć odroczone. Pięć dni na grzęzawisku, w upale, okopani rowem i pilnowani przez polską granatową policję i 400 dzielnych polskich junaków, którzy wchodzili w tłum i okradali wyczerpanych ludzi, bili kijami ciężarne kobiety, polowali na uciekinierów, których zatłukiwali na miejscu. Ludzie tratowali się w walce o dostęp do beczki z wodą. Przy wydawaniu skąpych racji żywności granatowa policja biła ludzi pałkami po głowie. Wyciągano z tłum i gwałcono bezbronne Żydówki. Przedsionek piekła. Kilkunastu niemieckich żandarmów – resztę robili mieszkańcy i polscy członkowie paramilitarnych formacji.

Gdy dwóch na to samo patrzy, nie muszą widzieć tego samego. Dlatego bądźmy wdzięczni Grabowskiemu za jego wyostrzony wzrok, bo to, co widzi, nie pozwala usnąć naszym sumieniom w fałszywym samozadowoleniu.

JEDNI MORDOWALI, INNI RATOWALI

Czas jednak na ważne rozróżnienie dotyczące terminologii. Zgadzam się z Grabowskim, gdy pisze, że „jakaś część naszego społeczeństwa dopuściła się czynów niegodnych, strasznych wobec bezbronnych i skazanych przez Niemców na śmierć Żydów”.

Nie zgadzam, gdy popada w pułapkę etnicznego wspólnego mianownika i pisze „Polacy”. „Polacy mordowali”. Tymczasem Polacy byli różni. Jedni mordowali, inni ratowali. Dlaczego Sprawiedliwi, którzy ryzykowali życie, ratując Żydów, mają teraz poczuwać się do winy za szmalcowników, delatorów czy zwykłych morderców? Wszak winą ma charakter indywidualny i odnosi się do występkupopelnionego przez konkretnego człowieka. Odpowiedzialność zaś to inna kategoria. Poczujemy się do moralnej odpowiedzialności za czyny popelnione przez przedstawicieli naszego społeczeństwa czy narodu, oczywiście tylko jeśli z tym społeczeństwem czy narodem się identyfikujemy. Winni jesteśmy pamięć i szacunek ofiarom i jako zbiorowość powinniśmy w miarę możliwości zadośćuczynić za krzywdy wyrządzone przez naszych rodaków.

Sprawa Jedwabnego jest tu świetnym polem do analiz. Polacy – bracia Laudańscy, którzy zaganiali Żydów do stodoły, czy Karol Bardoń, który ich zabijał – są winni morderstwa, a my, Polacy, poczuwamy się wobec potomków ofiar do współodpowiedzialności, do zadośćuczynienia, do pamięci i domagamy się historycznej prawdy o czynach naszych rodaków.

Niepokalana prawica zaś utrzymuje, że w Jedwabnem mordowali Niemcy, a jeśli już uznaje, że byli to polscy mieszkańcy, to sprawców wyrzuca poza nawias wspólnoty narodowej. W tym ujęciu umowni Bardoń i Laudańscy przestają być Polakami, a stają się przedstawicielami marginesu nieznanego pochodzenia.

W tekstach Jana Grabowskiego roi się od konkretnych nazwisk oprawców i donosicieli. Pełno ich w dokumentach. Powtórzmy, to oni są winni, my jeśli tylko poczuwamy się do tej polskiej wspólnoty, jesteśmy odpowiedzialni i zobowiązani, by pamiętać o tych wszystkich żydowskich ofiarach, których los zależał całkowicie od nieżydowskich sąsiadów i znajomych i którzy tej wojny nie przeżyli. Tak, to nasza odpowiedzialność.

WOJNA FAŁSZERZAMI HISTORII

Grabowski przez te osiem pisowskich lat był w samej szpiczy walki z fałszerzami historii. Z własnego wyboru stał się public historian – to znaczy takim historykiem, który opuszcza bezpieczne i zaciszne mury archiwów i staje do debat niekiedy nawet samotnie. Stał się dla polskich nacjonalistów czarnym ludem owładniętym antypolską fobią. Dla umiarkowanych historyków kłopotliwym kolegą po fachu, bo – jak twierdzą – brak mu wyczucia dla polskiej poranionej duszy, nie niuansuje i skłonny jest do przesady. A co przesadne – jak mówią Francuzi – wiadomo – jest nieistotne.

Sprzeciw wybija z komfortu, spycha w mniejszość, naraża na odrzucenie, ataki i nienawiść fałnatyków. Grabowski tego wszystkiego doświadczył.

Zapewne dlatego, że jest historykiem dysydentem, to znaczy, że będąc przekonany o swojej racji, nie owija w bawełnę i idzie sam przeciw wszystkim, także przeciw swoim niedawnym przyjaciółom. Skazuje się tym samym w Polsce na samotność pariasa, bez obrońców, bez sojuszników.

Grabowski jest więc jednym z najczęściej cytowanych i najlepiej znanych polskich historyków na świecie, cieszy się uznaniem badaczy Holocaustu wszędzie, tylko nie w Polsce.

Michał Sobelman po 1968 roku mawiał, że Polska okazała się dla niego jedynym krajem, w którym odmawiano mu być Polakiem. Grabowski może o sobie powiedzieć coś analogicznego: Polska to jedyny kraj, w którym odmawia mu się być badaczem Holocaustu, podważa naukowe kompetencje i odmawia uznania.

Spodziewam się, że po publikacji eseju „Wybielanie: Polska wobec zagłady Żydów” będzie jeszcze gorzej, jeśli gorzej w ogóle być może.

Dwie są strategię radzenia sobie z Grabowskim. Frontalny atak albo totalne przemilczenie.

Jeśli atak, to także fizyczny jak w wykonaniu Brauna, to także pozwy, np. skrajnie prawicowej Reduty Dobrego Imienia – Polskiej Ligi Przeciwko Zniesławieniom. W IPN za pieniądze podatników (budżet to 600 mln zł rocznie) powstał specjalny zespół, który skupił się na jednym tylko: na przyłapaniu Engelking i Grabowskiego, redaktorów „Dalej jest noc”, na kłamstwie. Spośród 3,5 tys. przypisów znaleziono jeden, by sądownie do-wieść pars pro toto, że nierzetelne jest całe dzieło. Tak oto w państwie PiS sądy miały rozstrzygać o „prawdzie” historycznej. Trwającemu trzy lata procesowi towarzyszyła fala sponsorowanego przez państwo hejtu w państwowych mediach i prawicowej prasie.

Były też niewarte cytowania zniesławiające wypowiedzi Ziobry i Czarnka. Obecny kandydat na najwyższy urząd w państwie, szef IPN Karol Nawrocki nazwał autorów „Dalej jest noc” „hejterami i akademickimi oszustami”. Ostatecznie w drugiej instancji historycy prawomocnie wygrali proces.

Tym razem jednak obstawiam scenariusz na przemilczeniu.

SZANTAŻYŚCI PATRIOTYCZNI

„Wybielanie” to polska wersja eseju, który ukazał się w sierpniu 2024 roku w amerykańskim czasopiśmie „Jewish Quarterly” pod tytułem „Whitewash: Poland and Jews”. To przez zągęszczanie przykładów i zagadnień dość mordercze podsumowanie metod „fałszowania historii Zagłady”. Ta ilość przechodzi w jakość.

Polska jest miejscem szczególnym na mapie Shoah. Tu zgładzono 5 spośród 6 mln Żydów. Tu niemieccy naziści ulokowali wszystkie obozy śmierci. Tu spośród 3 mln polskich Żydów wojnę przeżyło ok. 30 tys., to znaczy ok. 1 proc. Nigdzie indziej w Europie Holocaust nie był tak totalny i tak absolutny. Już tylko te trzy fakty nakładają na nas obowiązek szczególnej pamięci o żydowskim męczeństwie.

Jak pisze Grabowski, współcześni negacjoniści nie kwestionują istnienia komór gazowych, oni „jedynie” zaburzają proporcje, twierdząc, że całkowitą i wyłączną winę ponoszą Niemcy, i w najmniejszym stopniu nie dopuszczają udziału miejscowej ludności w likwidacji Żydów.

Grabowski w krótkich rozdziałach przypomina przejmowanie muzeów i instytucji pamięci, nie-szczęsną nowelizację ustawy o IPN, która zakładała karę trzech lat więzienia dla tych, którzy „przypisują narodowi polskiemu zbrodnie popelnione przez III Rzeszę Niemiecką”, a więc zakładającą kaganiec na badania nad Holocaustem. Po międzynarodowej awanturze rząd PiS musiał się z tego wstydliwego zapisu wycofać rakiem.

Pisz, o procederze obwiniania ofiar przez fałsze i przeinaczania. Służy do tego internet, a w szczególności Wikipedia. Pochyla się nad prawicowym kultem „żołnierzy wykłėtųch”. W latach 1945-47 zamordowano w Polsce od 1,5 tys. do 2 tys. Żydów, uzasadniając to walką z żydokomuną. Nie stanowi to przeszkody, by z „wykłėtųch” czynić bohaterów i wzór do naśladowania. Józef Kuraś „Ogień” (którego ludzie zamordowali wspomnianego Samka Abrahamera) doczekał się pomnika odsłoniętego przez Lecha Kaczyńskiego. Premier Mateusz Morawiecki w Monachium złożył wieniec na mogiłach żołnierzy kolaboracyjnej Brygady Świętokrzyskiej.

Bronisław Komorowski już w 2012 roku ustanowił 1 marca Dniem Pamięci Żołnierzy Wykłėtųch. W 2019 roku Polski parlament jednomyślnie zagłosował nad uchwałą uznającą żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej za „prawdziwych patriotów, którzy dobrze przysłużyli się Ojczyźnie”.



⌂ Jak widać, nawet demokraci nie są odporni na szantaż patriotyczny. Wszak o godność narodu polskiego zawsze mogą upomnieć się wyborcy. O godność dla pomordowanych Żydów upominają się wyborcy statystycznie nieistotni.

O CZYM NIE DOWIEMY SIĘ W MUZEUM ULMÓW?

Przejmujące są rozdziały, w których Grabowski opowiada o polonizowaniu miejsc żydowskiej kaźni, w szczególności obozów zagłady w Auschwitz i w Treblince. Polecam państwu opowieść o kolejarzu Janie Maletce, który został zastrzelony za dostarczanie wody konającym w wagonach Żydom.

Nie są znane okoliczności tego zdarzenia, ale Instytut Pileckiego jest przekonany, że Maletka pomagał z pobudek czysto altruistycznych. Tymczasem świadectwa ocalałych mówią, że w tym przedśionku piekła, na bocznicę kolejowej za zgodą Niemców, z którymi Polacy byli w zмовie, kubek wody sprzedawany był po horrendalnych cenach w szczególności za złoto, zegarki, biżuterię i dolary. Janowi Maletce i 900 tys. zamordowanych Żydów Instytut Pileckiego wystawił obelisk.

W historii Jana Maletki Grabowski wydobywa ów ważny kontekst, zakryte tło upamiętnień polskiego bohaterstwa. Tak właśnie jest w Markowej. W muzeum Ulmów nie dowiemy się słowem, nie przeczytamy świadectw ocalałych ze wsi Żydów, np. Jakuba Einhorna, o obławach, rabunkach i mordach organizowanych przez wymienionych z nazwiska mieszkańców i o tym, że następnego dnia po zamordowaniu rodziny Ulmów (z donosu polskiego granatowego policjanta) na polach Markowej znaleziono 24 żydowskie trupy.

Dopiero pokazanie tego kontekstu – to znaczy, że Ulmowie podobnie jak ukrywani przez nich Żydzi bardziej wystrzegać się musieli wścibskiego wzroku sąsiadów niż Niemców, którzy stacjonowali w mieście – ukazuje czyn tej rodziny w pełnym i jeszcze bardziej heroicznym wymiarze. Gdyby Ulmowie przechowywali partyzantów, mogliby liczyć na solidarność współrodaków. W sprawie przechowywania Żydów tej solidarności nie było. Jan Karski pisał w swych okupacyjnych raportach, że sprawa żydowska jest tą „wąską kładką, na której spotykają się Niemcy i niektórzy Polacy”.

BĄDŹMY SPRAWIEDLIWI DLA SPRAWIEDLIWYCH

Trzy są kwestie, które różnią mnie z Janem Grabowskim. O jednej już wspomniałem, pisząc, że wina ma charakter indywidualny i że nie należy operować zbiorczym pojęciem Polacy, bo Polacy jak inne narody byli różni.

Byli i bohaterami, i zbrodniarzami. Jedni z drugimi nie mieli nic wspólnego. Wobec konkretnych ludzi operujmy kategorią winy lub zasługi, a wobec społeczeństwa, a jak kto woli: narodu – kategorią dumy i odpowiedzialności.

Kwestia druga. Grabowski pisze: „Jeżeli chcemy czcić polskich Sprawiedliwych, to bądźmy najpierw gotowi uczcić pamięć Żydów zamordowanych przez Polaków. Wtedy i tylko wtedy, będziemy mogli zacząć celebrować zasługi własne”. I dodaje: „W Markowej trzeba najpierw upamiętnić rodzinę Tencerów, rodzinę Zeligów; żonę, córkę, braci i siostry Jakuba Einhorna; Taubę Szpechl, Ksyla

Hirszfelda i wiele innych anonimowych żydowskich ofiar zamordowanych i wydanych przez Polaków mieszkających w tej samej wsi”.

Nie mogą się zgodzić z takim warunkiem i tak zbudowanym następstwem. Dlaczego heroiczni Sprawiedliwi mieliby znowu czekać na uznanie do chwili, aż my jako społeczeństwo rozliczymy się z ponurym dziedzictwem szmalcowników, delatorów, sąsiadów, granatowej policji, „wyklętych” etc. Kiedy to nastąpi? Czy w ogóle nastąpi? I kto zdecyduje, że już nastąpiło?

Sprawiedliwi nazbyt długo czekali (chyba żaden z nich już nie żyje; żyją ich dzieci i wnuki). Sprawiedliwi nazbyt długo milczeli. Milczeli, przechowując Żydów, bo kryli się przed sąsiadami, milczeli wobec rodziny, bo tak było bezpiecznie, milczeli, bo bali się napiętnowania, bo społeczeństwo w tej sprawie nie było solidarne. Byli sami, bo na ogół ludzie nie pochwালali tego, co robili.

Milczeli też po wojnie, przez cały PRL, bo gdyby się wydało, że Żydów przechowywali, to jedni sąsiedzi patrzyliby na to z potępieniem, a inni z zazdrością, bo „dorobili się na Żydach, a przecież narażali nas wszystkich”.

Teraz wreszcie, gdy powstał społeczny i polityczny konsensus, który uznaje heroizm Sprawiedliwych, Jan Grabowski proponuje, by się wstrzymać z uznaniem dla nich, dopóki Polacy nie uhonorują 200 tys. Żydów zamordowanych przez część spośród nich.

To, oględnie mówiąc, niesprawiedliwe. Dlaczego Sprawiedliwi mają być zakładnikami niesprawiedliwych? Czy tylko dlatego, że cyniczni populiści używają Sprawiedliwych jak plaster na swoje zakłamanie sumienia? Uprawiają samochwalstwo, narodową tromtadrację, budują fałszywe mity.

Honorujemy jednocześnie jednych, napiętnujemy drugich. Nie wiążmy ze sobą tych dwóch spraw.

Nie poddawajmy się też, bo jest w takim warunku Jana Grabowskiego ziarno desperacji, a właściwie rezygnacji, że Polacy nie są gotowi na prawdę o postawie części społeczeństwa w czasie okupacji.

I kwestia trzecia: postulat eksterytorialności obozów zagłady w Polsce, oddanie ich pod kuratelę ONZ lub bliżej nieokreślonej międzynarodowej jurysdykcji, która według Grabowskiego ma być odpowiedzialna za polonizację Holocaustu.

Problem jest. Według badań prof. Marka Kuci, socjologa z UJ, niemal 50 proc. Polaków łączy dziś Auschwitz nie z żydowską, ale z polską martyrologią. 84 proc. Polaków uważa, że ich przodkowie z „całych sił” pomagali Żydom w czasie Zagłady. 71 proc. Polaków twierdzi, że w czasie II wojny światowej Polacy cierpieli tak samo, a nawet bardziej niż Żydzi.

Jednak ten postulat jest po prostu nierealistyczny. Żadne suwerenne państwo nie rezygnuje jednostronnie i dobrowolnie z władzy nad częścią swego terytorium! Żadne też państwo, łącznie z Izraelem, ani społeczność międzynarodowa nie będą się tego domagać, dopóki Polska będzie demokratycznym państwem, członkiem Unii Europejskiej.

Postulat eksterytorialności obozów zawarty jest w ostatnim rozdziale pt. „Co robić?”. Żądając niemożliwego, Jan Grabowski właściwie odpowiada, że nic się nie da zrobić.

Tymczasem sam jest znakomitym przykładem tego, ile można zdziałać, choć napotyka mur milczenia, wrogości, a w najlepszym razie obojętności.

Kropla draży skalę, Panie Profesorze, niech Pan nie ustaje, niech Pan nadal pracuje nad starannie przez historyków omijanymi ciemnymi plamami naszej historii najnowszej. Nie jest Pan z tym sam. ●

WSZED

Gabriel Ersler czytał o represjach w Rosji sowieckiej, o pokazowych procesach, rozstrzelanych. Dla dla niego ważniejsze było, że trwała wojna z faszyzmem.

Ewa Zarzycka-Bérard

Kto z nas nie pamięta filmu „Casablanca”: Ingrid Bergman i Humphrey Bogart, 1942 rok, przez ulice marokańskiego miasta przewijają się tłumy uciekinierów z Europy, wzrok skierowany ku bezpiecznej Ameryce, urzędnicy rządu Vichy, nazistowscy oficerowie, przemysłowcy i agenci wszelakich wywiadów.

Humphrey Bogart, elegancki właściciel baru nocnego niedawno jeszcze związany z wojskami Republiki Hiszpańskiej, korzysta ze swych znajomości, by zdobyć amerykańskie wizy dla Viktora Laszlo, bojownika podziemia czeskiego poszukiwanego przez Niemców, i jego żony, wykazując przy tym niezwykłą szlachetność ducha, albowiem serce jego należy właśnie do pięknej Ingrid Bergman. Film Curtiza wejdzie do trójki najlepszych filmów amerykańskich.

Dwa lata później, w kwietniu 1944 roku, do wolnej już Casablanki zarządzanej przez aliantów przybywa Gabriel Ersler, autor i bohater książki, o której tu mowa. Uciekinierów z Europy jest coraz więcej, i siatek wywiadowczych również. Ersler ma w kieszeni, do wyboru, polski paszport konsularny wydany w 1930 roku, dokumenty francuskie i angielskie. Jak każdy uciekinier przechodzi filtrację komisji francuskiej, angielskiej i amerykańskiej po to tylko, by udać się dalej... do konsulatu sowieckiego w Algierze. Po co? Otóż od paru miesięcy nadajnik założonej przez niego ze zgodą Kominternu siatki wywiadowczej, która wysyłała informacje z okupowanej Francji do Moskwy, przestał odbierać sygnały. Informacje wychodziły w eter, odpowiedzi nie było. Sytuacja wymagała wyjaśnienia.

Dziwna to maniera rozpocząć recenzję biografii z punktu, gdy bohaterowi wybiła trzydziestka, ale tak właśnie otwiera swą opowieść Gabriel Ersler. Z perspektywy lat pobyt w Casablance widzi mu się jak punkt zwrotny przebytej drogi: do Casablanki żył w Europie: Polska, Niemcy, Szwajcaria, Hiszpania, Francja; po Casablance – w Związku Sowieckim, a dokładniej w jego więzieniach: Łubianka, Lefortowo, Butyrki, Władimirowo. Po 1956 roku nastąpi powrót na Zachód: Polska, Izrael, Belgia i Francja. Zaczniemy więc od początku.

NIGDY TU NIE WRÓCĘ

Mamy przed sobą nie tyle biografię, ile zapis wielogodzinnej rozmowy, którą przeprowadził z nim, we Francji, w latach 80., Karol (Jean-Charles) Szurek, socjolog, syn Aleksandra Szurka, przyjaciela i towarzysza Elsnera z lat wojny hiszpańskiej i Brygad Międzynarodowych. Świetny aparat krytyczny pomaga śledzić zaskakujące losy naszego bohatera i losy Europy. Przychodzi na myśl rozmowa rzeka Czesława Miłosza z Aleksandrem Watem. Dwaj wybitni pisarze polscy szli przez życie różnymi drogami, lecz rozumieją się w pół słowa, tak wnikliwe są ich przemyślenia konwulsji XX wieku. Ersler nie pretenduje na tytuł intelektualisty. Jest czytany, włada biegle kilkoma językami, lecz unika rozważań filozoficznych, a rozterki wynikające z akcesu do partii komunistycznej i sowieckich służb wywiadowczych kwituje jednym stwierdzeniem „wszedłem w religię”.

ŁEM W TĘ RELIGIĘ



Lekarz, konspirator najwyższej próby, analizuje za to świetnie mechanizm funkcjonowania – czy to nielegalnej siatki podziemia, czy to przesłuchań NKWD, i magazynuje w pamięci detale, które znajdziemy we wspomnieniach, jakich mało.

Gabriel Ersler urodził się w 1913 roku we Włocławku, w zamożnej rodzinie żydowskiej, aktywnej w tamtejszej licznej wspólnotcie. Rodzice byli zupełnie spolszczeni, ojciec, zwolennik syjonizmu, z oburzeniem odrzucał socjalizm sowiecki, brak wolności i praw mniejszości narodowych. Gabriel będzie długo podzielał jego poglądy. Wybiera się na medycynę, ale przy panującym nieoficjalnym numerus clausus jest to projekt nierealny. Musiał wynieść z młodości bardzo gorzkie doświadczenia, by powtarzać raz po raz w toku rozmowy, że wyjeżdżając z Polski, obiecał sobie, że nigdy tu więcej nie wróci.

ŚWIĘTE PRZYKAZANIA

Jest rok 1930, Berlin okaże się równie mało przyjazny, co Polska. Studia kontynuuje więc w Szwajcarii, tam wiąże się z socjaldemokracją, i tam też, w 1936 roku, dowiaduje się o rebelii generała Franco, który maszeruje na republikański Madryt. Uzbrojony w dyplom lekarski zgłasza się do Brygad Międzynarodowych. W polsko-węgierskiej dywizji dąbrowszczaków spotyka dziesiątki Żydów i nie-Żydów, Polaków i nie-Polaków. Zawijają się przyjaźnie na całe życie, które niejedno życie uratują.

Walka z faszyzmem i przyjaźń – takie będą dwa święte przykazania jego egzystencji. W okopach Aragonu obserwuje odwagę i sprawność organizacyjną ochotników komunistów.

Niemalże całe uzbrojenie wojsk Republiki jest dostarczane przez Moskwę; Francja i Anglia uparcie odmawiają pomocy, ignorując to „preludium Apokalipsy”, jak napisze Artur Koestler.

Krótko mówiąc, wstępuje do hiszpańskiej partii komunistycznej. Owszem, wiedział niemało o tym, co się działo w Rosji sowieckiej, czytał w prasie o represjach, o pokazowych procesach, o rozstrzelanych, lecz te informacje pozostawały dla niego niezrozumiałe, nie do ogarnięcia; szła wojna z faszyzmem, nie było czasu na roztrząsanie moskiewskich problemów.

W 1938 roku Republika upadła, rozbrojeni ochotnicy przechodzą do Francji, gdzie czekają na nich obozy jenieckie. Rząd rozpoczyna „walkę z Hitlerem, internując wszystkich antyhitlerowców”, konstatuje Koestler (w następnych latach nieprzejeđnany demaskator mitu ZSRR). Wehrmacht napada na Polskę; Ersler ucieka z obozu, zaciąga się do armii Sikorskiego, nie na długo, bo klęska Francji zmusza generała do ewakuacji. Szuka więc kontaktu z komunistami i ruchem oporu, lecz Komintern mówi „nie”. Nie zdąży nawet się zastanowić, co oznacza ta dziwna

decyzja, bo oto Moskwa kieruje go na posadę ciecia w ambasadzie sowieckiej w Vichy.

„Byłem aktywistą, stałem się agentem”, tak skwituje ten awans.

POWITANIE W „CENTRUM”

Paryski oddział NKWD, czyli sowieckiego MSW, zajmuje się szpiegostwem na terenie Francji; Ersler działa wśród polskich emigrantów, z perspektywą zbudowania komunistycznego ruchu oporu w Polsce. Czerwiec 1941 roku, Hitler atakuje bylego sojusznika i sytuacja zmienia się dramatycznie. Personel ambasady ZSRR opuszcza Francję, a nasz bohater, pozbawiony maski ciecia, dostaje zadanie zająć się wywiadem.

Zwraca się o pomoc do towarzyszy z wojny hiszpańskiej, antyfaszystów pierwszej fali, i przy ich pomocy udaje mu się stworzyć własną Czerwoną Orkiestrę, jak Niemcy nazywali słynną antyfaszystowską siatkę szpiegowską działającą na terenie Niemiec i Belgii. I choć jego bojownicy, w odróżnieniu od Leopolda Treppera, nie przeszli zawodowego przeszkolenia, udaje im się zmajstrować radioodbiornik, opanować sztukę szyfrowania i, w sumie, przechytrzyć Gestapo. Wbrew moskiewskim zakazom zdobyte informacje służą nieraz do akcji sabotażowych. I oto w momencie, gdy jego kariera wywiadowcza sięgnęła zenitu, Moskwa zamilkła. Cenne wiadomości pozostają bez odpowiedzi.

Gdyby Ersler wiedział, że Stalin nie takie informacje wyrzucał do kosza, że czerwcem 1941 roku nie zareagował na ostrzeżenia Treppera i Sorge o planowanej operacji „Barbarossa”, może nie ruszyłby w długą podróż do „Centrum”. Ale nie wiedział; wojna hiszpańska nauczyła go solidarności, nie podejrzliwości. Nie wiedział też, i długo się nie dowie, że w miarę tego, jak Armia Czerwona zbliżała się do Berlina, Kreml zmieniał swe plany odnośnie do przyszłości Europy. Cztery miesiące po tym, jak dotarł do Casablanki, w wyzwolonym Paryżu otworzył swe podwoje konsulat ZSRR. Wywiad „starych” polsko-żydowsko-francuskich komunistów, pamięć Brygad Międzynarodowych, musiał zniknąć.

Ersler dociera więc do Moskwy, jest tam wspnianie przyjęty, szykuje się na szybki powrót do Paryża. Wzywają go na rozmowę na Łubiankę. Raz, drugi, trzeci, aż któregoś dnia oznajmniają mu, że jest zatrzymany.

BOHATER W WIĘZIENIU

Każdy Rosjanin wiedział, że przekraczając ten próg, więcej stąd nie wyjdzie. On stracił na to dużo czasu. Przez parę miesięcy przerzucają go po różnych mo-

• **Kwiecień 1939, Gabriel Ersler (1913-2006) przy ciężarówce wiozącej żywność dla Polaków, którzy walczyli w wojnie domowej w Hiszpanii znajdujących się w obozie Gurs w południowej Francji**
FOT. ZE ZBIORÓW SCHWEIZERISCHES SOZIALARCHIV

skiewskich więzieniach, aż decyduje się „przyznać” do działalności szpiegowskiej na rzecz Niemiec, by tylko położyć kres makabrycznym przesłuchaniom. Udało mu się, powie później, albowiem w porywie humanizmu (a raczej przygotowując „ruch pokoju”) Stalin zniósł w 1945 roku karę śmierci; wyrok opiewał tylko na 20 lat więzienia.

Pozostanie zagadką, dlaczego skierowano go do więzienia we Władimirowie, podczas gdy normą był syberyjski obóz pracy – Gulag. Kiedyś opisał to więzienie Aleksander Hercen, lecz jego stan dzisiejszy znany jest tylko z książki dysydenta Anatola Marczenko, który odsiedział w nim parę lat. Spostrzeżenia Erslera są o tyle szczególne, że jako lekarz miał taryfę ulgową u więźniów, włączając zatwardziałych kryminalistów, a jako „inteligent” zawarł znajomości z cudzoziemcami: Niemcami, Ukraińcami, Japończykami.... Jego internacjonalizm – który chętnie nazywa „kosmopolityzmem” – jest tak głęboko zakorzeniony, że wyklucza wszelkie pojęcie zemsty. Warunki są oczywiście lepsze niż w obozie, lecz zabija monotonia, nuda tak straszna, że więźniowie wynajdują sobie fałszywe zawody, by tylko być wysłanym do obozu, pracować i dzielić prycze z innymi więźniami. Kara śmierci, powie Ersler, jest lepsza niż wyrok 20 lat. Sam zresztą próbował popełnić samobójstwo...

WOLĘ MILCZEĆ

Marzec 1953 roku; śmierć Stalina. Rok później przewożą go do Moskwy, na Łubiankę. W znajomych biurach siedzą nowe twarze: stara gwardia NKWD została rozstrzelana. W maju 1956 roku sędzia wyciąga przyjazną dłoń i gratuluje mu zwycięstwa sprawiedliwości; w aktach sprawy znajdują się nazwisko donosiiciela, jak również podziękowania od „sowieckiej Ojczyzny” za okazane jej usługi.

Ersler nie stracił nigdy obywatelstwa polskiego, więc po krótkim pobycie w sanatorium nad Morzem Czarnym dla poprawy szaro-zielonkawej karnacji twarzy zostanie odesłany do socjalistycznej już teraz Polski.

I tak oto koło się zamyka. Żydowskie szczęście: człowiek przeżył grad kul w okopach Aragonu, działalność szpiegowską pod nosem Gestapo, przesłuchania NKWD i stalinowskie więzienie, by znaleźć się w kraju, który opuścił trzy dekady temu, obiecując sobie, że nigdy doń nie wróci. Przez wszystkie te lata żył w aurze tego kraju: armia Sikorskiego, komuniści polscy w Résistance, komunistyczny ruch oporu dla Polski, a w Moskwie spotkanie ze starymi towarzyszami z Hiszpanii i lokalnymi polskimi komunistami: Wasilewską, Bermanem. Ale nawet oni nie mogli, czy nie chcieli, wyrwać go z rąk NKWD.

Czy w Warszawie zdoła odbudować „polskie” życie? Był szczęśliwy, gdy przyjechał, gdy odnalazł język dzieciństwa i kadry młodości, starą matkę, hiszpańską żonę i przyjaciół z Brygad Międzynarodowych: Hibnera, Toruńczyka, Komara, Szurka i wielu innych. Dostał dobrą posadę w szpitalu. Jednak o „byłym” życiu milczał, by nie zdradzić swego zagubienia między tłącą się jeszcze wiarą w ideał komunizmu a sowieckim więzieniem i odwilżową Polską, by nie zdradzić wspomnień hiszpańskiej solidarności; milczał, bo życie konspiratora jest milczeniem.

W 1967 roku, gdy rozległy się pierwsze akcenty państwowego antysemityzmu, nadal milcząc, nie czekał, jak większość jego żydowskich przyjaciół, by go wyrzucili z dokumentem podróży bez prawa powrotu, lecz załadował książki medyczne do bagażnika i z miną turysty przekroczył kontrolę na czeskiej granicy. ●

Ewa Zarzycka-Bérard

– ur. w Warszawie, studiowała socjologię na UW i rusycystykę na Yale University. Po polsku opublikowała m.in. „Burzliwe życie Ilii Erenburga” (Warszawa 1991) oraz artykuły i wywiady w „Gazecie Wyborczej” i w „Zeszytach Literackich”. Mieszka w Paryżu.



Gabriel Ersler. Des Brigades internationales aux prisons soviétiques, l'autre Orchestre Rouge

Jean-Charles Szurek

Paris: Éditions Hermann, 2023

Z PROF. HANSEM-JÜRGENEM
BÖMELBURGIEM ROZMAWIA
IGOR RAKOWSKI-KŁOS

IGOR RAKOWSKI-KŁOS: Istnieje opowieść, że 80 lat temu tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej niemieccy mieszkańcy Łodzi opuścili w popłochu miasto, zostawiając otwarte drzwi mieszkań, a na stołach niedojedzone obiady. To prawda?

PROF. HANS-JÜRGEN BÖMELBURG: Nie do końca. W maju 1945 r. mieszkało w Łodzi co najmniej 33 tys. Niemców, a jeszcze dwa lata później – 25 tys.

Spośród ok. 100 tys. Kto uciekł na wieść o zbliżaniu się czołgów, które zaledwie dwa dni wcześniej przejechały ruiny lewobrzeżnej Warszawy?

– W pierwszej kolejności Niemcy z Rzeszy, w drugiej – przesiedleni w czasie wojny z państw bałtyckich lub Besarabii. A także ludzie związani z władzą.

A kto został?

– Ci, którzy nie zdołali uciec, bo ewakuacja miasta była pośpieszna i nieprzemyślana. W dużej mierze kobiety i dzieci. Ale przede wszystkim zostali ci, którzy nie czuli się winni, w większości rdzenni łodzianie. Znamienny jest przykład Ludwika Radkego, przed wojną kierownika administracyjnego i prokurenta w zakładach Scheiblera oraz Grohmana. Urodził się w Łodzi w czasach, gdy należała do Rosji. Przeczytam panu, jak wyjaśniał powody pozostania w mieście: „Ja i moi rodzice mówiliśmy równie dobrze po niemiecku, jak po polsku i po rosyjsku. Po I wojnie światowej Rosjanie odeszli i powstało państwo polskie. Czy z tego względu, że miałem obywatelstwo rosyjskie, powinienem opuścić Łódź i udać się do Rosji? Zawsze czułem się łodzianinem, przyjąłem więc obywatelstwo polskie i pozostałem w moim rodzinnym mieście. Potem wybuchła II wojna światowa i do Łodzi wkroczyli Niemcy. Zostałem na miejscu, bo nie widziałem powodu, żeby wyjeżdżać do Generalnej Guberni.

Kiedy losy wojny odwróciły się i Niemcy uciekali z Łodzi, zostałem, bo nie czułem się Niemcem, tylko łodzianinem.

Dlaczego miałbym stąd wyjeżdżać, jeśli nie uczyniłem nikomu najmniejszej krzywdy?”.

**Dziś można byłoby odpowiedzieć: bo w mieście nie było bezpieczne. Docho-
dziło do gwałtów i samosądów.**

– W książce opisuję przykład Gustava Dedeciusa, przed wojną funkcjonariusza polskiej policji. Jego syn Karol, absolwent polskiego gimnazjum i późniejszy tłumacz na niemiecki wierszy Szymborskiej, Miłosza czy Różewicza, dopiero po latach opowiedział, że jego ojciec zginął z rąk sąsiada, który przyszedł go okraść.

Jaki był los tych łódzkich Niemców czy raczej niemieckojęzycznych łodzian?

– Dużo zależało od tego, kim byli. Jeśli ktoś był zamożniejszy, posiadał jakąś nieruchomość, to perspektywa życia w Polsce Ludowej była dla niego trudna. Ale jeśli był zwykłym robotnikiem, to raczej mógł zostać. Część Niemców została zamknięta w obozie na Sikawie. Inni pracowali przymusowo w podlódzkich gospodarstwach rolnych. Wielu wyjeżdżało do Niemiec, a inni byli do tego zmuszani. Ale według moich obliczeń około 15 tys. Niemców zostało, stając się polskimi obywatelami.

19 stycznia 1945 r. zakończyła się okupacja Łodzi – największego miasta II RP włączonego do Rzeszy. Jaki był pomysł hitlerowców na Litmannstadt?

– Władze okupacyjne chciały się pozbyć charakterystycznej dla Łodzi wielokulturowości. W ciągu roku przemocą dokonały segregacji na „Niemców”, „Polaków” i „Ży-



• Żołnierze niemieccy na dworcu w Łodzi w 1940 roku FOT. SCHUFTER, ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

NIEWINNI *zostali*

Niemcy w Łodzi po polsku rozmawiali nawet między sobą.

dów”, która ogarnęła wszystkie sfery życia zawodowego i prywatnego. Tutaj powstało pierwsze getto dla ludności żydowskiej, dziesięć miesięcy przed utworzeniem dzielnicy zamkniętej w Warszawie. Były też plany stworzenia getta dla Polaków na południu miasta. W lutym 1940 r. „Lodscher Zeitung” wydrukował nawet mapę z obszarem przeznaczonym na ten cel.

Kim byli łódzcy Niemcy przed wojną?

– Trudno mi mówić o historii Łodzi w kategoriach narodowych. W polskiej

historiografii mocno zakorzeniony jest warszawocentryzm naznaczony zaborami, pamięcią o represjach ze strony Rosjan i Niemców oraz mitem odbudowy. Reprezentowana jest w niej również optyka krakowska, która silniej nawiązuje do dawniejszych tradycji i kulturowego konserwatyizmu, a także lubelska, o rysie katolickim. Z kolei w Łodzi w XIX wieku mamy miasto, w którym elity były niemieckie, rosyjskie albo żydowskie. Brakowało polskojęzycznych inteligentów, a uniwersytet powstał dopiero po

II wojnie światowej. Łódź ze swoją wielokulturową i wielojęzyczną historią po 1945 r. miała się stać miastem polskiego proletariatu, a równocześnie po raz pierwszy zaczęła powstawać warstwa polskiej inteligencji. To wszystko jest bardzo nietypowe dla polskiej pamięci. I podobnie nietypowo było z Niemcami w Łodzi.

W jakim sensie?

– Łódzcy Niemcy pochodzili ze Śląska, z Czech i Saksonii. Ich rodziny emigrowały przed powstaniem II Rzeszy. Identyfikowali się z niemiecką kulturą, ale z państwem niemieckim już niekoniecznie. Mówili inną niemiecką niż Niemcy z północy, często byli wielojęzyczni, bo to pomagało w handlu i polityce.

Nawet przed 1918 r. niemieccy radni co do zasady przemawiali po polsku.

Mieszczanie byli raczej konserwatywni – głosowali na sanacyjny Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, a robotnicy popierali lewicę. W wyborach do rady miejskiej niecały rok przed wybuchem II wojny światowej Łódź wybrała socjalistyczną większość obejmującą PPS, członków żydowskiego Bundu, lewicowych syjonistów i Emila Zerzego



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

• (ur. w 1961 r.) – historyk, specjalista od dziejów Europy Wschodniej, wykładowca na Uniwersytecie im. Justusa Liebiga w Giessen. Współprzewodniczący Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. W latach 1994-2003 był pracownikiem, w tym kilka lat wicedyrektorem, Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Ze strony niemieckiej pełnił funkcję pełnomocnika ds. współpracy między Uniwersytetem Łódzkim a uczelnią w Giessen. Po polsku ukazała się jego książka „Polska myśl historyczna a humanistyczna historia narodowa (1500-1700)”, a ostatnio „Łódź. Historia wielokulturowego miasta przemysłowego w XX wieku”.

jako przedstawiciela niemieckich socjalistów. Sprawa klasowa była ważniejsza niż narodowa.

Syjonіści z Poalej Syjon zapowiadali: „Będziemy razem z proletariatem polskim i niemieckim dążyć do polepszenia warunków mas pracujących naszego miasta”. Ale popularność faszyzmu już była widoczna.

– Moim zdaniem dopiero wtedy dwie trzecie niemieckiej ludności popierały Hitlera.

Dopiero?

– Jeszcze w 1934 r. nazistowski akademik dr Wilhelm Gradmann z Niemieckiego Instytutu ds. Zagranicy w Stuttgarcie uważał, że „pewność polityczna” łódzkich Niemców budzi wątpliwości. Pisał, że nawet na spotkaniach niemieckich stowarzyszeń ludzie tylko śpiewają po niemiecku, a przemówienia są wygłaszane po polsku. Niemcy w Łodzi zostali „właściwymi Niemcami” dopiero pod koniec lat 30. albo w trakcie II wojny światowej.

Co się wydarzyło?

– Popularny stał się ruch volkistowski, atrakcyjny zwłaszcza dla młodych, którzy szukali czystej tożsamości. Czasem te poszukiwania mogą się dziś wydawać zaskakujące, bo zdarzało się, że osoby pochodzące z niemieckojęzycznych rodzin, jak Willy Schmitz, Waldemar Kautz czy Franciszek Sz wajdler, stawały się wprawdzie aktywnymi członkami ruchu narodowego, ale polskiego. Dla wielu kategoria „polskiego Niemca” była niejasna: korzenie na Śląsku albo w Saksonii, kilka pokoleń dorastało w Imperium Rosyjskim, do tego polskie obywatelstwo. A więc skąd ta niemieckość? Dla nich atrakcyjna była wizja, że Łódź jest w rzeczywistości niemieckim miastem. To Niemcy je zbudowali, oni są jego elitą i oni są jego właścicielami.

To atrakcyjna opowieść, bo tkwi w niej ziarno prawdy. W XIX w. niemczyzna była językiem technicznym w fabrykach. – Równocześnie gdy w czasie I wojny światowej państwo niemieckie pierwszy raz pojawiło się w Łodzi, to miejscowi Niemcy wcale nie byli zadowoleni.

Dlaczego?

– Gospodarczo Łódź podupadła i się wyludniła. Przemysł został odcięty od rosyjskich rynków, a niemieckie władze okupacyjne nie były zainteresowane jego rozwojem i wywoziły maszyny, metale, zapasy. Niemcy skonstatowali, że lepiej żyło im się w państwie rosyjskim niż w niemieckim. Chociaż dopiero po rewolucji 1905 r. carat pozwolił na założenie szkół z wykładowym niemieckim.

Mieszczañską elitę ekonomiczną wyróżniało posługiwanie się trzema lub czterema językami, co było koniecznością zawodową.

Niemiecki sklepikarz, który miał klientów mówiących po polsku i w jidysz, musiał się z nimi porozumiewać. Jerzy Grohman, potomek łódzkich fabrykantów, zauważył, że Łódź była tym, czym dziś jest Unia Europejska.

W 1905 r. wybuchła rewolucja przeciwko caratowi i fabrykantom. Dla niemieckich robotników ważniejsza była opcja klasowa czy narodowa?

– Bez wątplenia klasowa. Bo czym była opcja narodowa? Granica Rzeszy Niemieckiej była 100 kilometrów dalej, a kontakty z tamtejszą rodziną bardzo utrudnione.

W walkach w czerwcu 1905 r. według urzędowych danych zginęło 55 Polaków, 79 Żydów i 17 Niemców.

– Te dane są wysoce wątpliwe, bo opierają się na niepewnych wyliczeniach według domniemanych kryteriów religijnych oraz nazwisk. Wielu uczestników wydarzeń obracało się jednocześnie w kilku kręgach kulturowych.

Zarówno PPS, jak i SDKPiŁ wydawały gazety i ulotki w języku polskim, jidysz oraz niemieckim. Wyraźnie apelowano, zwłaszcza w SDKPiŁ, o międzynarodową współpracę. Łódzka opozycja robotnicza była wielojęzyczna i kosmopolityczna. Do miasta zjeżdżali m.in. Róża Luksemburg i Feliks Dzierżyński. W obiegu były języki niemiecki, polski i rosyjski.

Wielojęzyczność była widoczna na początku I wojny światowej, gdy miasto raz po raz przechodziło z niemieckich do rosyjskich rąk. Wtedy sytuację w mieście stabilizował Komitet Obywatelski. Czym był?

– Główny Komitet Obywatelski był jednym z wielu gremiów tego typu powstałych w miastach dotkniętych działaniami wojennymi, ale dzięki szczególnym łódzkim warunkom zyskał wyjątkową pozycję. Oparł się na zasobach przedsiębiorstw i związków wyznaniowych, które dysponowały odpowiednimi strukturami i miały doświadczenia organizacyjne. Początkowo działania Komitetu skupiały się na zamrożeniu cen, stworzeniu tanich jadalni i utrzymaniu porządku publicznego przez powołanie miejskiej milicji. Komitet zapewniał także otwarte konsultacje i organizował publiczne dyskusje na temat najpilniejszych zadań oraz sposobów ich realizacji w mieście. W Komitecie zrzeszyli się czołowi fabrykanci (Alfred Biedermann jako przewodniczący, ponadto: Gustaw Geyer, Leon Grohmann, Stefan Barciński i Stanisław Silberstein), przedstawiciele wszystkich wyznań (pastor Rudolf Gundlach, proboszcz Henryk Przeździecki, duchowny prawosławny Protorej Wolamowski i rabin miejski Eliezer Lejb Treistman), kupcy i działacze społeczni oraz gospodarczy (Antoni Stamirowski, Mieczysław Hertz, Eugeniusz Krasuski).

Jeden z działaczy napisał, że po raz pierwszy zrozumieli, że Łódź to ich miasto i mają obowiązek się nim opiekować.

Współpraca wielokulturowej elity wytworzyła społeczeństwo obywatelskie, które wzięło losy miasta w swoje ręce bez udziału władz państwowych czy wojskowych. Doniosłość tego wydarzenia była niezaprzeczalna.

W jakim języku rozmawiali członkowie Komitetu?

– Z reguły wywodzili się z rodzin dotychczas lojalnych wobec władz carskich, kształcili się w rosyjskojęzycznych instytucjach oświatowych. W Komitecie Obywatelskim kwestie językowe powracały wielokrotnie, wszak wielu jego członków oprócz rosyjskiego posługiwało się również polszczyzną oraz niemczyzną wyniesioną z domów lub szkół.

W końcu zwyciężyła koncepcja szeroko rozumianej polskości – porozumiano się co do używania języka polskiego w obiegu oficjalnym i podczas narad.

Gdy na początku wojny rozeszła się wieść o pierwszych brutalnych starciach Milicji Obywatelskiej z szabrownikami, Komitet zaapelował: „Obywatele całego miasta, Polacy, Rosjanie, Niemcy i Żydzi, dziś stanowią jednolitą armię pokojową, która miasto całe ocalić potrafi”. ●

Łódź. Historia wielokulturowego miasta przemysłowego w XX wieku



Hans-Jürgen Bömelburg

tłum. Łukasz M. Płes

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Wczoraj, czyli dziś

Gastrodyplomacja

Podczas polskiej prezydencji unijnych przywódców nakarmimy gęsina. Ale kapusta kiszona zabroniona.



Gęsiną, bo ma długą tradycję, a poza tym „nie wszyscy są za mięsem, za dziczyzną, więc drób, w tym nasza gęsiną, wchodzi w taki fajny standard” – tłumaczy oficjalny kucharz polskiej prezydencji w Unii.

Menu nie jest jeszcze ustalone, ale wiadomo, kto ma pewne miejsce w polskiej reprezentacji kulinarnej, a kto odpadł w eliminacjach. Kucharz Tomasz Duda ogłosił na antenie Polskiego Radia 24, że gęś, grzyby i oczywiście jabłko jako owoc prezydencji pojawią się na stołach, ale ogórki i kapusta kiszona nie dostąpią tego szczytu, bo „dla niektórych jest to produkt zepsuty”, a chcemy, żeby wszyscy byli zachwyceni.

Za gęsią przemawiają długa tradycja i zmiana tendencji żywieniowych, tłumaczył Tomasz Duda.

„Coraz więcej osób jest wegetarianami, weganami, więc będziemy się dopasowywać. I na pewno gęsiną byłaby produktem, który nas ukaże z fajnej strony” – mówił kucharz polskiej prezydencji.

To wprawdzie nadzwyczaj optymistyczna wizja kompromisu między mięsożercami a roślinożercami, ale w dyplomacji wszystko jest możliwe, nawet uznanie gęsi za niskokaloryczne warzywo.

W XVIII-wiecznej książce kucharzkiej Wojciecha Wielądki „Kucharz doskonały” zamieszczono przepis na gęś nadziewaną pieczonymi kasztanami (oraz mięsem z pokrojonych kielbas, wątróbką gęsią i sadłem, ale na tym się nie skupiamy), przyprawioną szalotką, czosnkiem i pietruszką, więc wystarczy argumentów, żeby potrawę sklasyfikować jako roślinną. Precedensy już mamy, bo przecież nasi przodkowie w czasie postu mięsa nie jedli, choć na ich stoły podawano dzikie kaczki, wydry, bobry i żółwie. Wystarczyła odpowiednia interpretacja. Jak pisał książdź Jędrzej Kitowicz, „te zwierzęta mają więcej przyrodzenia zwierzęcego niż ziemnego”, więc w ten sposób kaczka stawała się rybą, a ryba mięsem nie była i wszyscy byli zadowoleni.

Stare przysłowie mówi, że „najlepsza gęsiną na św. Marcina”, bo niedługo 12 listopada, dzień po św. Marcinie, zaczynał się 40-dniowy adwent. A adwent oznaczał post, przed którym należało się porządnie najeść. Tradycyjnie w Dzień Świętego Marcina podawano na stół pieczone gęsi, które nasi przodkowie najwyżej cenili wśród drobiu i które specjalnie tuczyli galkami ulepionymi z jęczmienia.

Smakosze poszukiwali szczególnie ptaków z nadzieniem jabł-

kowym, o czym wspomina nawet „Pochwała gęsi” opublikowana w 1859 roku w „Tygodniku Ilustrowanym”: „Miły z onych odorek na cały dom bucha, a nie zabacz im jablek wydłubać ze brzucha”.

Jabłka plus gęś to idealne połączenie, nawet mniszki nie potrafiły się oprzeć takiej potrawie. „Rosół z kury, cielęcina na żółto z kłuskami, pieczenia krzyżowa duszona z limonią i oliwkami, bulszruki nadziewane w migdałowym sosie, po ćwierci gęsi pieczonej z jabłkami, kapusta w szczepy z wieprzowiną, chleb szary” – takie było menu niedzielnego obiadu, który 10 listopada 1675 roku został podany w klasztorze bernardynek krakowskich. We wtorek był już post adwentowy i zakonnice jadły kluski z grzybami oraz kaszę jagłą.

Co do kiszzonej – prawdą jest, że cenione są głównie na wschód od umownej linii Berlin – Wiedeń nazywanej Pickle Meridian, ale jest okazja, żeby je rozpropagować. Na liście produktów tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa niedługo jest ziorowy ogórek kiszony, który jest dumą Kalisza Pomorskiego. W latach 60. rejonowa spółdzielnia ogrodniczo-pszczelarska zaczęła produkować przetwory dla jednostek wojska polskiego, radzieckiego i zakładów karnych. Wysyłano je też do NRD. Okoliczne gospodarstwa dostarczały ogórki, które kiszono w świerkowych beczkach. Beczki topiono zacumowane w jeziorze, gdzie spoczywały od 3 do 24 miesięcy, by w niskiej temperaturze i bez dopływu powietrza ogórki nabierały niepowtarzalnego smaku i aromatu.

W najlepszych dla przetwórnictwa czasach w jeziorze topiono grubo ponad 100 beczek. Do dziś na dnie znajdują się beczki z ogórkami, które od czasu do czasu wypływają na powierzchnię, przypominając o historii miasta, i co roku odbywa się tu Święto Ogórka, więc szkoda, że tak znaczny specjal nie trafi na stół podczas przyjęć dyplomatycznych.

O tym, że kuchnia jest ważną częścią polityki, nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

„Dajcie mi dobrych kucharzy, a podpiszę korzystne traktaty” – obiecywał książę Talleyrand zarówno Napoleonowi, jak i królowi Ludwikowi XVIII i wiedział, co mówi.

Zatrudniał najprzedniejszych kucharzy epoki, Bouché'ego, Avicé'a i Carême'a, a podczas kongresu wiedeńskiego zasłynął zarówno jako sprytny negocjator, jak i organizator wystawnych przyjęć.

Pałac Kaunitzów, w którym miał swą siedzibę, był jedynym wiedeńskim pałacem, w którym miejscowym gliniarzom nie udało się zainstalować wtyczki, więc można było ucztować i rozmawiać bez ograniczeń. Żadnych tańm, znakomite jedzenie i jeszcze lepsze wina, czyli gastrodyplomacja w najlepszym wydaniu. ●

Beata Maciejewska

Polityka z wykopalisk

Archeologia jest nauką silnie upolitycznioną, czego dowodzi jej historia na wszystkich kontynentach.

Przemysław Urbańczyk

Wszędzie ludzie władzy wykorzystują badania archeologiczne i archeologów w bieżącej polityce i geopolityce.

Zinterpretowana zgodnie z ich oczekiwaniami przeszłość może być poważnym argumentem w dyskursie politycznym i dotyczy to nie tylko najnowszej historii, ale też pradziejów.

Archeologów angażowano do legitymizowania pretensji terytorialnych, dowodzenia starożytności korzeni etnicznych, rozstrzygania o cywilizacyjnej wyższości skonfliktowanych narodów, uzasadniania ustroju, kształtu granic czy strategii geopolitycznej.

Nie musi to się łączyć z fałszowaniem lub przeinaczaniem dawnych dziejów, wystarczy je jedynie odpowiednio zinterpretować i umiejętnie wyselekcjonować fakty.

Badacze przeszłości często nie są świadomymi uczestnikami tej „gry z przeszłością o teraźniejszość”, bo nie zdają sobie sprawy z rozgrywek toczących się ponad ich głowami. Korzystając z łaskawości państwowego sponsora, nie zastanawiają się, jakie może być polityczne uzasadnienie jego szczodrości.

Dzieje polskiej archeologii są dobrym przykładem powtarzającego się uwikłania w spory polityczne, które nie miały wiele wspólnego z obiektywnym badaniem odległej przeszłości. Działo się to w rytm zachodzących w skali kontynentalnej wydarzeń, które sprawiły, że Polska w pierwszej połowie XX wieku dwukrotnie przywracana była na mapę Europy – w nowych kształtach granic, w całkowicie innych okolicznościach geopolitycznych i z radykalnie innym systemem polityczno-ideologicznym. Takie zmiany zawsze wymagają pilnego uzasadnienia, a argumentów mogą dostarczyć badacze przeszłości, nawet bardzo odległej.

STĄD NASZ RÓD

Po I wojnie światowej badania nad prasłowiańszczyzną zapoczątkowane już w XIX wieku jako polityczna alternatywa dla skompromitowanej ideologii sarmatyzmu I Rzeczypospolitej miały wykazać niedorzeczność niemieckiej propagandy o pragermańskich korzeniach ziem położonych w dorzeczu Odry i Wisły. W tym sporze polskich i niemieckich archeologów jedni i drudzy posługiwali się tymi samymi metodami, chociaż dochodzili do przeciwnych wniosków.

Emblematycznymi reprezentantami tych dwóch nurtów interpretacji pradziejów byli profesorowie Gustaf Kossina i Józef Kosztrewski. Ten pierwszy ukazywał Słowian jako późnych przybyszów, którzy zajęli ziemie opuszczone wcześniej przez germańskie plemiona Gotów, Gepidów i Wandalów. Drugi dowodził odwiecznego autochtonizmu Słowian, wywodząc ich co najmniej z epoki brązu, kiedy nasi praprzodkowie wzniesli „prasłowiański” gród w Biskupinie.

Po II wojnie światowej polska archeologia – z jej cennym doświadczeniem w walce



• Wykopaliska w Tumie pod Łęczycą w 2009 roku. Archeolodzy odkryli tam grodzisko, którego początki datowane są na VIII wiek

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

o „odwieczną” słowiańskość naszych ziem – stała się naturalnym, choć chyba nieświadomym sojusznikiem dla propagandy PRL-u gwałtownie poszukującej społecznie nośnych argumentów do uzasadniania nowego kształtu granic i zmiany układu geopolitycznego. Kierunek badawczy ukształtowany w atmosferze emocji towarzyszących odzyskaniu niepodległości w 1918 roku wykazał więc swoją przydatność w nowych warunkach, a autochtonizm Słowian między Odrą a Wisłą przez półwiecze zdominował nauczanie akademickie i szkolne.

KIEDY ZACZEŁA SIĘ POLSKA?

Drugim politycznie słusznym kierunkiem badań okazało się zainteresowanie początkami polskiej państwowości. I w tym przypadku naukowy walor takich rozważań znalazł niespodziewane poparcie najwyższych władz PRL, co przejawiało się hojnym wsparciem dla realizacji badań milenijnych. Pretekstem do rozpoczęcia już pod koniec lat 40. tej prawdopodobnie największej w historii światowej archeologii kampanii badań wykopaliskowych było zbliżanie się tysięcznej rocznicy przystąpienia Mieszka I do grona cywilizowanych władców Europy.

Na te badania, które miały też udowodnić polskość Ziemi Odzyskanych, skierowano niemal cały wysiłek polskiej archeologii przed 1966 rokiem.

W politycznym tle tych badań przewijał się też drugi, trudniej wtedy dostrzegalny wątek, tj. wykorzystywanie ich do podważania chrześcijańskich początków Polski, a więc i autorytetu Kościoła. Służyło temu wykazywanie, że państwo polskie miało korzenie znacznie starsze od symbolicznej daty chrztu Mieszka I w 966 roku, który miał być tylko epizodem w znacznie dłuższej historii kształtowania się polskości.

To powojenne ponowne zbliżenie nauki z polityką wynikało więc z niezwykłego zbiegu okoliczności. Zaangażowani w tamte badania archeolodzy nie zdawali sobie zapewne sprawy ze wszystkich niuansów politycznych naglej hojności państwowego skarbnika. Polscy archeolodzy już przed wojną wierzyli przecież w pradawną słowiańskość naszych ziem, a badacze Ziemi Odzyskanych odkrywali przecież rzeczywiste słowiańsko-piastowskie korzenie tamtejszych miast i stwierdzali oczywistą ciągłość tradycji kulturowej sięgającej daleko przed datę chrztu Mieszka I.

Ten korzystny zbieg okoliczności politycznych sprawił, że polska archeologia nie tylko szybko odrobiła wojenne straty, ale też znacznie zyskała na znaczeniu. Przełożyło się to na tworzenie katedr uniwersyteckich i finansowanie etatów niezbędnych do prowadzenia szeroko zakrojonych badań terenowych. Polityczna przydatność archeologów, kontynuujących przedwojenne kierunki badań, sprawiła, że powojenna archeologia doznała chyba najmniejszych represji spośród wszystkich nauk humanistycznych.

PRODUKT PRZYPADKOWY

Przełom ustrojowy 1989 roku, który zlikwidował cenzurę i polityczny nadzór nad nauką, sprawił, że pod koniec XX wieku ponownie odżyły demony sporu o autochtoniczną albo imigracyjną obecność Słowian w dorzeczu Odry i Wisły. Ta dyskusja miała też wyraźny podtekst polityczny, chociaż bez innych niż emocjonalne konsekwencji dla zwolenników dwóch radykalnie różnych wizji odległych dziejów. Dwa obozy – autochtonistów i migracionistów – okopały się na swoich stanowiskach, co sprawiło, że nastąpiła stagnacja stosownych badań.

Na szczęście dzisiaj dominuje już spokojne szukanie czysto naukowych argumentów, wśród których pojawiła się też ostatnio hipoteza o Słowianach jako o „przypadkowym produkcie” niezwyklego zbiegu okoliczności spowodowanego katastrofą klimatyczną i epidemią dżumy w VI wieku naszej ery.

Nie znaczy to, że archeologia uwolniła się od nacisku oczekiwań dostarczania argumentów użytecznych w sporach politycznych. Współcześnie dotyczy to przede wszystkim badania miejsc obciążonych traumatyczną pamięcią o tragicznych zdarzeniach z nieodległej przeszłości. Specjalistyczne umiejętności archeologów są bowiem regularnie wykorzystywane w takich badaniach. Największe emocje wzbudza ekshumacyjne odkrywanie materialnych świadectw masakr wojennych, np. zbrodni katyńskiej i pogromów wołyńskich, a także zbrodni komunistycznych, np. warszawskie badania tzw. łączki powązkowskiej i terenu więzienia przy ul. Rakowieckiej.

Szczególnym przypadkiem są sytuacje skutkujące zaangażowaniem archeologów w proces badania zdarzeń jak najbardziej współczesnych.

Udział ekipy archeologicznej w rozpoznaniu świeżego jeszcze miejsca katastrofy

smoleńskiej w 2010 roku nie tylko był dla nich przeżyciem traumatycznym, ale też uczynił z nich biernych uczestników gorącej rozgrywki politycznej, w którą próbowano ich wciągnąć.

W każdym z tych przypadków dotyczących zdarzeń niedawnych lub wręcz dzisiejszych decyzje podjęcia tam badań archeologicznych były siłą rzeczy obciążone politycznie. Nie inaczej będzie w przypadku zawarcia negocjowanego porozumienia z Ukrainą o wznowieniu ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej, w czym niezbędny będzie udział specjalistów od systematycznego wydobywania z ziemi materialnych świadectw przeszłości. Metodyka prowadzenia takich prac jest taka sama zarówno w przypadku pochówków sprzed tysięcy lat, jak i tych niedawnych, ale ich polityczna otoczką jest zupełnie inna.

SKAZANI NA POLITYKĘ

Wydaje się więc, że archeologia jest skazana na upolitycznianie, choćby przez swoje uzależnienie od państwowego sponsora badań wykopaliskowych, dokumentacyjnych i laboratoryjnych, które są bardzo kosztowne, wymagają zaangażowania dużych, często wielodyscyplinarnych zespołów badawczych wspieranych logistycznie i aparaturowo.

Stopień uwikłania archeologii zarówno w potrzeby związane z obchodami rocznicowymi, jak i w bieżące spory polityczne był i będzie znaczny. Jego skutki zależą od zbiorowej odporności środowiska badawczego na ewentualne naciski zewnętrzne, w tym na oczekiwanie od archeologów wyników „odpowiednich”, tj. spełniających oczekiwania zleceńodawców. ●

Prof. dr hab. Przemysław Urbańczyk



• Mediewista, archeolog; pracuje w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i w PAN. Właśnie nakładem PWN ukazała się jego najnowsza książka „Korzenie Polski”.

Historia krzepi

Zachwiana potęga imperium

W 1905 roku historia Rosji i Polski gwałtownie przyspieszyła.

Nałęcz



Świat wkracza w nowy rok 2025 z przekonaniem, że przyniesie on rozstrzygnięcie w wojnie toczonej przez Rosję przeciwko Ukrainie już blisko od trzech lat. Historykowi przypomina to sytuację sprzed lat 120. Wtedy też dworska kamaryła skupiona wokół cara Mikołaja II postanowiła rozładować mnożące się kłopoty wewnętrzne za pomocą zwycięskiej wojny, rozbudzającej nacjonalistyczne emocje Rosjan i pokazującej siłę rządzących. Ofiarą rosyjskiego niedźwiedzia padła Japonia, próbująca blokadować jego ekspansję na Dalekim Wschodzie. Wydawała się Moskwie łupem łatwym do zdobycia.

TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ

Jednak, podobnie jak w przypadku Ukrainy w 2022 roku, trafiła kosa na kamień. Armia rosyjska zamiast zwycięstw ponosiła kompromitujące klęski. Po roku walk, trwających od lutego 1904, stało się jasne, że role wyglądają zupełnie inaczej niż planowała Moskwa. Z ofiary polowania japoński samuraj przeistoczył się w myśliwego osaczającego krwawiącą rosyjską bestię. Rok 1905 zaczął się dla monarchii Romanowów najgorzej jak mógł. 2 stycznia skapitulowała najważniejsza twierdza na Dalekim Wschodzie, Port Artur, oblegana przez Japończyków od ośmiu miesięcy. Do niewoli dostał się kilkudziesięcioletni garnizon, a chroniąca się w porcie duma Rosji, jej dalekowschodnia flota, prawie cała poszła na dno.

Imperium rosyjskie, także wtedy największe na świecie, posiadało wystarczająco dużo zasobów, w tym militarnych, by dalej toczyć wojnę, ale sytuację nieoczekiwanie skomplikował bunt cesarskich poddanych. Carat sam zgutował sobie ten los. Obiecał zwycięstwa krzepiące dumę Rosjan, a zafundował im upokarzającą klęskę. Dokuczliwa była też coraz większa bieda, bo wojna pochłaniała znaczną część budżetu. W rosyjskim kotłе gwałtownie rosła temperatura, groząc wybuchem.

Zdetonowały go 22 stycznia 1905 wydarzenia w Petersburgu, które przeszły do historii pod nazwą „krwawej niedzieli”. Tego dnia ruszył pod siedzibę władcy, Pałac Zimowy, 150-tysięczny pochód, aby przedstawić monarsze petycję z propozycją umiarkowanych reform. Mikołaj II opuścił jednak miasto a demonstrujących zmasakrowały karabinowe salwy licznie zgromadzonego wojska. Padło kilku set zabitych i kilka tysięcy rannych. Rzeź bezbronnego tłumu zszokowała społeczeństwo, ale go nie zastraszyła, jak tego oczekiwali autorzy krwawej łaźni. Za to narastające przez ca-



• Pochód narodowy w Warszawie podczas rewolucji 1905 roku FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

ły 1904 rok niezadowolenie sięgnęło apogeum. Imperium ogarnęła potężna fala strajków i demonstracji, zapoczątkowując pierwszą w dziejach Rosji rewolucję.

ROBOTNICY WKRAZAJĄ NA SCENĘ

W nieokiełznane tsunami zamienił się ten żywioł na ziemiach polskich, wcielonych do rosyjskiego imperium ponad sto lat wcześniej, w czasie rozbiorów. Stało się tak nieprzypadkowo. Polacy cierpieli bowiem w dwójnasób. Jak wszystkich poddanych Romanowów krępował ich archaiczny system carskiego samowładztwa, nie dopuszczający żadnych swobód politycznych i obywatelskich, powszechnych w Europie. Ale równie dotkliwy był ucisk narodowy, boleśnie raniący polskie uczucia patriotyczne.

Ogromna rzesza protestujących wielokrotnie przewyższyła liczbę osób zaangażowanych w kolejne powstania narodowe, od kościuszkowskiego po styczniowe

Działal tu też jeszcze jeden czynnik. Najdalej na zachód położona część imperium, od 1815 roku nosząca nazwę Królestwa Polskiego, w wyniku trwającej od drugiej połowy XIX wieku rewolucji przemysłowej stała się największym centrum przemysłowym cesarstwa. Jak na drożdżach rosła tu nowa klasa: robotników prze-

myslowych, która właśnie w 1905 roku wkroczyła na scenę polityczną, nadając jej nową, nieznaną wcześniej dynamikę. Wszystko to sprawiło, że Królestwo Polskie stało się największym bastionem rewolucji w skali imperium i to na wszystkich jej etapach, od 1905 do 1907 roku.

Porażony nawałnicą carat cofał się pod naporem protestów. Nie miał innego wyjścia, bo stanowiące najważniejszy atut władzy wojsko walczyło na froncie japońskim, ponosząc kolejne, kompromitujące klęski. Aby przetrwać, reżim musiał zakończyć wojnę, nawet na bardzo niekorzystnych warunkach. Rosyjskiej dyplomacji chodzilo już tylko o jedno, by traktat pokojowy zaoszczędził monarchii upokorzenia w postaci kontrybucji wojennej.

DESPOTA SIĘ COFA

Pomocną dłoń największemu despotcie, jakim był władca Rosji, podał przywódca największej demokracji, czyli prezydent Stanów Zjednoczonych Theodore Roosevelt. Dzięki jego pośrednictwu, na amerykańskiej ziemi, w Portsmouth, 5 września 1905 roku podpisany został rosyjsko-japoński traktat pokojowy. Tokio dostało wszystko czego chciało, poza kontrybucją, co pozwoliło Rosji uratować resztkę twarzy. Powód do satysfakcji miał Roosevelt, nagrodzony w 1906 roku pokojowym Noblem.

Carat mógł w końcu ściągnąć armię z Dalekiego Wschodu i użyć jej w starciu ze zbuntowanymi poddanymi. Zanim jednak zdążył to uczynić, w październiku 1905 imperium ogarnęła fala protestów jeszcze większych od pierwszej kulminacji, ze stycznia-lutego. Bunt był tak intensywny, że nawet Mikołaj II zrozumiał, że jego rzą-

dy uratować może tylko zadeklarowanie reform. 30 października 1905 ukazał się manifest cesarski zapowiadający przebudowę Rosji w duchu monarchii konstytucyjnej, z rozległymi swobodami obywatelskimi. W cesarstwie zapanował karnawał wolności.

PRZEBUDZENIE MAS

Nie trwał długo, bo uratowany od klęski carat z każdym miesiącem czuł się coraz pewniej i uszytniał swój kurs, aż w połowie 1907 roku przeszedł na otwarcie kontrrewolucyjne pozycje.

Porewolucyjne represje ze szczególną gwałtownością dotknęły ziemie polskie, proporcjonalnie do skali największych tu protestów. Nic już jednak nie wyglądało tak jak dawniej, bo nigdy wcześniej w dziejach Polski tak wiele osób nie było aktywnych na scenie publicznej. Ogromna rzesza protestujących wielokrotnie przewyższyła liczbę osób zaangażowanych w kolejne powstania narodowe, od kościuszkowskiego po styczniowe. Było to możliwe dzięki przebudzeniu nieobecnych wcześniej w życiu politycznym mas plebejskich: robotników i chłopów. Ich aktywność sprawiła, że wielki bunt z lat 1905-1907 stał się próbą generalną poprzedzającą wskrzeszenie Polski w listopadzie 1918.

Rzecz jasna, świat po 120 latach wygląda zupełnie inaczej. Najważniejsza jego cecha jednak się nie zmieniła. Nadal stanowi on system naczyń połączonych i warto o tym pamiętać zwłaszcza wtedy, kiedy losy Rosji i Polski gwałtownie przyspieszają. Tak jak w 1905 i 2025 roku. ●

Tomasz Nałęcz

za tydzień obszerna rozmowa z prof. Nałęczem o rewolucji 1905 roku.



Rewolucja 1905 roku. Próba generalna wskrzeszenia Polski

Tomasz Nałęcz
Muzeum Historii Polski

Tomasz Nałęcz
– historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



Nam polędwica oraz schab, nie smakuje tak jak szczaw” – śpiewał przed laty niezrównany kabaret TEY. Dziś słowa popularnej piosenki wybrzmieć powinny w szczególności.

Dlaczego? Bo właśnie 11 stycznia w Polsce obchodzony jest Dzień Wegetarian. Nie jest to rzecz jasna jakieś jednostkowe wydarzenie – mamy tu na myśli promowanie postaw wegetariańskich, proekologicznych i wspierających ochronę życia zwierząt i poszanowanie naszych braci mniejszych. Bo od końca lat 70. obchodzony jest, 1 października, Światowy Dzień Wegetarian. Święto ustanowiła Północnoamerykańskie Stowarzyszenie Wegetariańskie (NAVS) w 1977 roku, a w roku kolejnym zaadaptowane przez Międzynarodową Unię Wegetariańską.

Ów dzień inicjuje zresztą Wegetariański Tydzień, podczas którego odbywają się liczne imprezy czy festyny, podczas których można nie tylko spróbować bezmięśnych potraw, ale też dowiedzieć się, dlaczego w ogóle z jedzenia mięsa warto zrezygnować. Na Tydzień Wegetariański składają się m.in. Światowy Dzień Zwierząt Hodowlanych, obchodzony w dzień urodzin Mahatmy Gandhiego, jednego z pionierów wegetarianizmu, Światowy Dzień Zwierząt – 4 października, w dzień wspominania w Kościele św. Franciszka z Asyżu, patrona zwierząt.

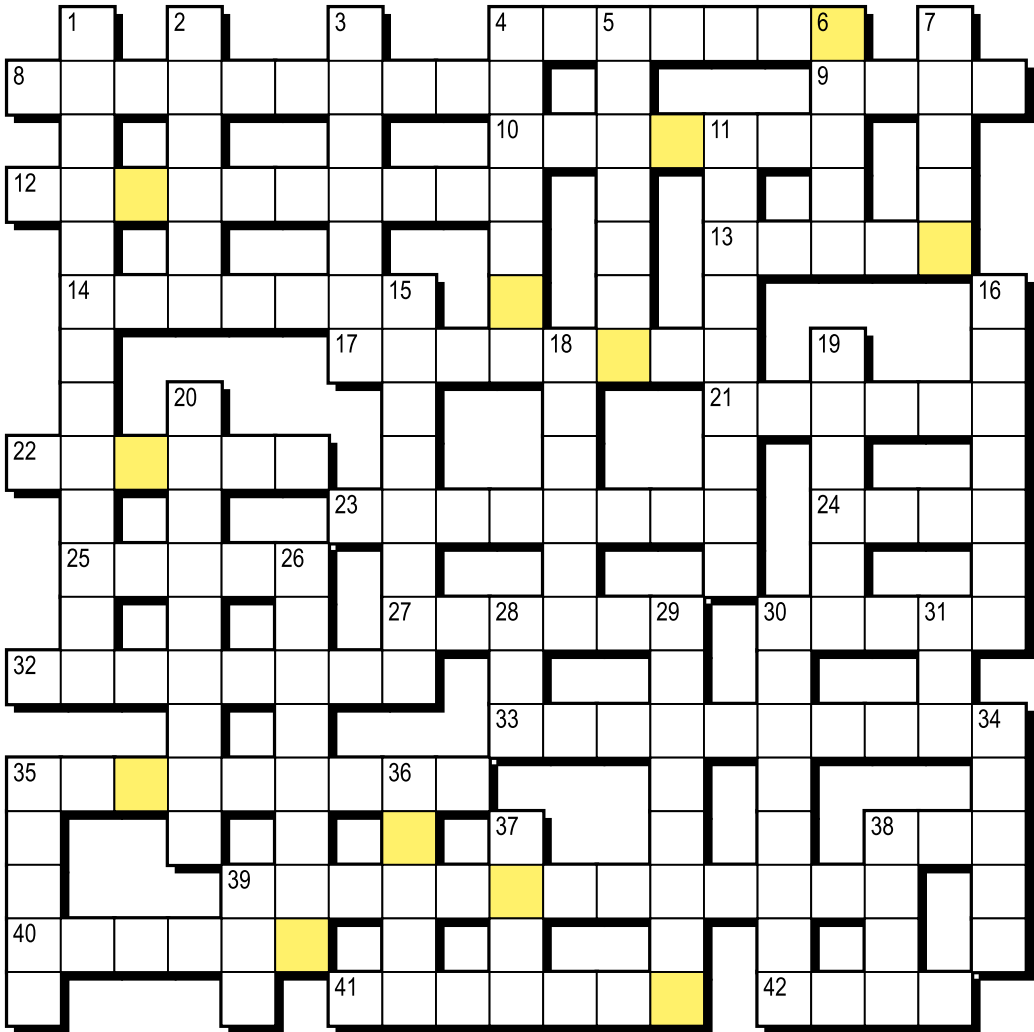
1 listopada zaś obchodzony jest Światowy Dzień Wegan, którzy nie tylko wyeliminowali ze swojej diety produkty mięsne, ale generalnie te pochodzenia odzwierzęcego, wiążące się z wykorzystaniem zwierząt, jak np. jaja czy miód. Jako że w Polsce 1 listopada to niezwykle uroczyste święto Wszystkich Świętych, wega nie celebrują swój dzień 1 października.

Ale uroczystości uroczystościami, a kwestią bezsporną jest, że 11 stycznia coraz więcej osób będzie mogło o sobie powiedzieć: „o, to mój dzień”.

Pamiętam, jak swego czasu pojechaliśmy w liceum (lata 90.) na wycieczkę szkolną, to chęć stołowania się wg zasad wegetariańskich zgłosiła... jedna osoba. A teraz zestawmy to choćby z deklaracjami bezmięsnego konsumowania potraw podczas przyjęć weselnych. Coraz częściej i coraz bardziej świadomie decydujemy się mięso ograniczyć, bądź w ogóle z niego rezygnujemy. Wegetarianizm to już bynajmniej nie żadne „nieszkodliwe dziwactwo”, a po prostu styl życia. Rzecz jasna zwolennicy mięsa wiedzą i tak swoje, ale ważne, że coraz więcej z nas zastanawia się, co je. I jak to, co konsumują, wpływa nie tylko na nich, ale i na planetę.

Z okazji 11 stycznia zapraszamy więc do „Weekendówki” warzywnej – oczywiście zaproszenie nie jest wystosowane li tylko do wegetarian, żeby nie było. Wszak nie od dziś wiemy, że „Weekendówka” łączy, nie dzieli.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 136 z 4.11:

Poziomo:
7) okazy, 9) Gherardini, 11) kradzież, 12) Papa, Dance, 13) zwiedzanie, 14) król, 16) Francja, 17) Izrael, 18) Piotr, 19) portret, 22) rzeźba, 23) Gioconda, 24) uśmiech, 25) artysta, 26) rzeka, 29) kalwini, 30) rupieć, 31) sala, 32) Apollo.

Pionowo:
1) skrzydła, 2) dzieła, 3) Delacroix, 4) Rafael, 5) Edward, 6) Nike z Samotraki, 8) Belfegor, 10) da Vinci, 15) patrycjuszka, 16) Florencia, 18) piramida, 20) Wenus z Milo, 21) Richelieu, 23) Georges, 27) Karol, 28) Lisa

HASŁO:,
GALERIA, KLASYKI

JARZYNÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** Popeye’owi z kreskówki dawał nadludzką moc
- 8)** zupa na wczorajszym rosole
- 9)** naczynie na ogórkową, fasolową, kapuśniak
- 10)** oberki ziemniaków, cebuli
- 12)** tytuł baletu Igora Strawińskiego
- 13)** „Smażone zielone pomidory” albo „Stowarzyszenie Miłośników Literatury i Placka z Kartoflanych Obierek”
- 14)** zasadził rzepkę w ogrodzie
- 17)** warzywo kojarzące się z piosenką Taco Hemingwaya „Szlugi i ...”
- 21)** wilczy, czyli wielkie łaknienie
- 22)** coś z zegarmistrzowskiego ogródka

- 23)** ... warzywne, przechowywane w chłodniach
- 24)** w sushi, obok warzyw, grzybów, owoców morza (nori)
- 25)** jeśli dobrze się sprzedaje, to powiemy o nim: bestseller!
- 27)** jedzenie, strawa
- 30)** „Żucie surowej ... żuchwom dodaje krzepy” (w wierszu Ogdena Nasha, wpisujemy w mianowniku)
- 32)** „Ogórek wąsaty” Fasolek albo „Kompot z rabarbaru” Starego Dobrego Matężństwa
- 33)** dwuletnia roślina warzywna; wężymord czarny korzeń
- 35)** kto ją uprawia, może liczyć na dopłaty unijne
- 38)** pomidorowy – na pizzę, do gołąbków
- 39)** odżywianie się wyłącznie pokarmem roślinnym i nabiałem
- 40)** Magdalena, nie została prezydentem RP
- 41)** ... endywia, roślina warzywna

- 42)** dawniej: całodienne wyżywienie, utrzymanie (... i opierunek)
- Pionowo:**
- 1)** Andrzej, autor piosenki „Wywar z przywar”
- 2)** wolę te sałaty niż tabletek...
- 3)** konserwowy strączkowy
- 4)** warzywna – np. z majonezem, jajkiem na twardo i przyprawami
- 5)** warzywa takie jak czuszki
- 6)** „... kalafiora”, powieść Małgorzaty Musierowicz (cykl „Jeźcycjada”)
- 7)** „Owoce i warzywa” w hipermarkecie
- 11)** przestarzałe: płody ogrodowe lub rolne
- 15)** rzecz by można: anemiczny burak
- 16)** młode liście i todaygi buraków ćwikłowych
- 18)** ulubione warzywo Rowana Atkinsona?

- 19)** może zalecić pacjentowi owocowo-warzywną dietę
- 20)** popularna marka keczupów, koncentratów pomidorowych (wieś w Wielkopolsce)
- 26)** niewielkie naczynie kuchenne z rączką
- 28)** gryz
- 29)** jarzyny konserwowane w occie
- 30)** wśród nowalijek
- 31)** warzywo o białej cebulce i długich zielonych liściach
- 34)** trujący pierwiastek chemiczny, może odkładać się w owocach i warzywach
- 35)** wstawiać czas, bo ogary poszły w las (bez kapusty ani rusz)
- 36)** przecierane zupy jarzynowe
- 37)** pora największego wysypu warzyw
- 38)** zmyśl kojarzący się z kubkami
- 39)** stój z kompotem

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34354617